

HISTORIA INSPIROWANA PRAWDZIWYMI WYDARZENIAM I

# MAGDALENA ADASZEWSKA



KOCHANKOWIE  
Z AUSCHWITZ

A-13

MAGDALENA  
ADASZEWSKA

KOCHANKOWIE  
Z AUSCHWITZ



# Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Lato 1942 – jesień 1944

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Od autorki

Copyright © by Magdalena Adaszewska, 2023

Projekt okładki: Maria Bożycka

Przygotowanie okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Redaktor prowadząca dział fiction: Małgorzata Hlal; mhlal@grupazpr.pl

Redaktor nadzorująca: Anna Sperling

Redakcja: Anna Rozenberg

Korekta: Urszula Gac

Zdjęcia: Shutterstock

Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2023

ISBN 978-83-8343-088-1

Wydawca: TIME SA, ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

Więcej o naszych autorach i książkach:

[facebook.com/hardewydawnictwo](https://facebook.com/hardewydawnictwo)

[instagram.com/hardewydawnictwo](https://instagram.com/hardewydawnictwo)

[tiktok.com/@harde.wydawnictwo](https://tiktok.com/@harde.wydawnictwo)

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: [harde@grupazpr.pl](mailto:harde@grupazpr.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

1

Dziadek Albert mówił, że kiedy człowiek się rodzi, wskakuje w biegu do pociągu i od tej pory jest w podróży. Wysiada na różnych stacjach, by po jakimś czasie znów złapać plecak i jechać dalej. Czasem zatrzymuje się gdzieś na dłużej, a czasem z jednej stacji nie rusza się przez większość życia, ale nawet wtedy jest w drodze, bo wciąż się zmienia, podlega cyklom przyrody i własnego bytu. Bywa, że zostaje całkiem sam, bo ci, których kochał, właśnie wysiedli. Jedni pojawiają się w naszym życiu na chwilę, inni zostają w nim na zawsze. Wszyscy zostawiają wspomnienia, dobro i szczęście albo rany i ból. Wszyscy są potrzebni, by człowiek stał się tym, kim jest, gdy podróż dobiega końca.

Spośród wszystkich stacji, na których wysiadłam w moim trzydziestoczteroletnim życiu, ta była najważniejsza.

Wiedziałam to od pierwszej chwili, gdy wyszłam z pociągu, a gwałtowny podmuch wiatru rozwał moje włosy. Mały peron był pusty. Wyglądał jak miejsce dla zagubionych dusz. Nikt nie siedział na ławce, nie opierał się o latarnię, nie biegł z walizką wzdłuż budynku stuletniego dworca. Wiatr narastał, w powietrzu fruwały pajęczka sieć i czerwone liście, na drzewach zawieszała się mgła. Wszystko zapowiadało melancholijną jesień, a po niej zimowy sen. W tym misterium było jednak coś więcej, coś nieokreślonego, budzącego niepokój i drzenie serca.

Wciągnęłam mocno powietrze. Chwyciłam bagaż i zesłam po schodach do podziemnego przejścia, po drugiej stronie torów minęłam dwie wieżyczki dworca i zniknęłam w wejściu w kształcie łuku opatrzonym tablicą informacyjną: „Stara Skala”.

Dworcowa posadzka była popękana. Pamiętała stopy matki, która jako dziewczynka maszerowała ze swoim ojcem do kasy po bilet. Jeździli do Warszawy na pączki do Bliklego albo podziwiać neony: kieliszek nad Coctail Barem, sznur jaskółek nad Modą Polską i krowę przy mlecznym barze. Kasjerka, od lat wciąż ta sama, tylko chudsza i bledsza, spojrzała najpierw na mnie, następnie z zadziwieniem przez szybę.

„Co to za dźwięk?”, pytałam, gdy byłam mała. „Boję się”.

„To wiatr”, odpowiadał dziadek Albert. „On chce nam coś powiedzieć.”

Teraz hulał na dobre za wielkim, prostokątnym oknem zwieńczonym łukiem. Uderzył w drzewa i zgiął je w pół, potem nastąpiła majestatyczna cisza. Wyszłam z budynku, spojrzałam w niebo, nie było na nim ani jednej chmury. Rondo przed dworcem i postój taksówek wyglądały na wymarłe, przebiegł jedynie pies i zniknął za zakrętem.

Skierowałam się ku drodze prowadzącej wzdłuż lasu i torów kolejowych, pełnej zakrętów i dziur. Szłam, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, w poczuciu, że to nie jest ten sam, dobrze znany kilometr, tylko że ta droga nie ma końca, czas zwalnia, a kontury świata zaczynają się rozmazywać, jakbym podążała szlakiem, którego w rzeczywistości nie ma. Wstrząsnął mnie dreszcz. Przystanąłam i otuliłam się swetrem, choć popołudnie znów zaczęło palić słońcem.

Nie chciałam wspomnień, nie po nie tutaj przyjechałam. Wspomnienia powodują ścisk gardła, pompują do oczu łzy. Wiedziałam jednak, że one zawsze tu wracają.

Odkąd skończyłam siedemnaście lat i po rozstaniu rodziców wraz z matką wyjechałam do Warszawy, żyłam z wyrwą w sercu. Każdego dnia obserwowałam, jak moje ciało wstaje, ubiera się i robi różne rzeczy, moje serce bije, mimo że nauczyłam się je zamrażać. Wiedziałam, że każdy w swoim ułomnym człowieczeństwie ma osobną opowieść, trudną i poplątaną, a ja powinnam zrozumieć, że cokolwiek zrobili moi bliscy, nie chcieli źle, i pójść w życiu dalej. Skończyłam liceum, po nim studia dziennikarskie i rozpoczęłam swoją pierwszą pracę. Wtedy pojawił się Louis Duval, za którego wyszłam za mąż i z którym wyjechałam do Paryża.

Do Starej Skały przyjeżdżałam do dziadka, który po naszej wyprowadzce i śmierci babci Klary został tu sam. Tamtego dnia przyjechałam prosto z lotniska zaniepokojona doniesieniami pani Elizy Berg, że starszy pan sobie nie radzi i powinien być pod stałą opieką. Przypomniałam sobie, że gdy byłam u niego ostatnim razem, przyglądał mi się, jakby zobaczył ducha. „Sara? To ty?”, zapytał. „Nie, dziadku, to ja, Lena”, odparłam.

Jego pytanie złożyłam na karb starości i zmęczenia, szybko o tym zapomniałam. Teraz czekałam na sygnał od matki, która w ostatniej rozmowie telefonicznej, mówiąc o swoim ojcu, nagle zaczęła szlochać, a teraz miała przylecieć z Londynu.

Nasz rodzinny dom stał na wyspie. Samotny, jeden jedyny, otoczony lasem. Wyspa była oddzielona od miasteczka kanałem, a po drugiej stronie skarpą i kilkoma zejściami do rzeki. Były dwa sposoby, by przedostać się na wyspę. Pokonać pieszo lub autem wąski, stary most albo przepłynąć kanał łodzią. Przy brzegu stał mały drewniany dom, w którym mieszkał przewoźnik. Tym razem jednak go nie było, a jego przystań stała zamknięta na głucho.

Willi z napisem „Leszczyńscy Stara Skała 1910” nie sposób było dostrzec z oddali. Wyłaniała się dopiero za ostatnim zakrętem, za rozłożystą sosną, pod

koniec drogi, za którą rozpościerał się ciemny las i wznosiła się skała. Nikt nie wiedział, skąd wzięła się w krajobrazie płaskim jak deska, ale pewne jest, że swoją nazwę wyspa i miasteczko zawdzięczały właśnie jej.

Przeciągnęłam dłonią po złotych liściach brzozy rosnącej przed bramą. Niskie drzewo o gałęziach sięgających ziemi zasadził mój ojciec, gdy przyszedłam na świat. Dorastałam wraz z nim, stawałam na palcach, by uchwycić moment, gdy jesienią liście z jasnozielonych i nieco lepkich stawały się suche i złote. Rozejrzałam się. Dom już dawno temu zmałał, a napis wypłowił, elewacja poszarzała, niewiele zostało z jej szykowności z początku wieku, wszystko było podupadłe i zwyczajne. Był taki od lat, ale teraz zobaczyłam to wyraźnie. Wokół domu panowała cisza. Przecinało ją jedynie stukanie dziecięcia i szelest traw.

Wiatr zjawiał się ponownie i smagał to zanurzone w lesie odludzie, a ja pomyślałam, że wychowałam się na jednej z nielicznych wysp na świecie, która ma prywatną prognozę pogody i tylko jeden dom, która żyje odwiecznym rytmem natury, czasem cicho i spokojnie, a czasem walcząc o przetrwanie. Uderzył, kiedy stałam przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w szare okna. Otoczył dom, jakby chciał go zgnieść.

To nie był zwykły wiatr.

Szumiał nieznaną tęsknotą, opowieścią o czymś, co się zakończyło albo miało się wydarzyć.

Na twarzy poczułam delikatny ruch powietrza, taki sam jak wtedy, gdy byłam dzieckiem, a świat podskakiwał, by dosięgnąć nieba. Szare okna przykuwały mój wzrok, nie mogłam przestać na nie patrzeć. Wydało mi się, że widzę w nich całe swoje dzieciństwo, tanto cudowne życie.

Były w nich melancholijne oczy matki, Laury Rey, malarki i mistrzyni wyobraźni o duszy urokliwej jak muzyka, która mówiła, że szczęście żyje w prostych rzeczach, i sprawiła, że nauczyłam się dostrzegać piękno w drobiazgach.

„Lenka, kiedyś zrozumiesz, że zbieranie chwil jest ważniejsze od posiadania rzeczy”, mówiła. „I pamiętaj, nigdy nie czuj się samotna, bo w dłoni masz cały wszechświat”.

Była drogowskazem, osią Ziemi, biegunami, Słońcem i Księżycem. Wrózką, która przemienia ból w moc, a zło w miłość. Najbardziej autentyczną osobą na Ziemi, którą znałam i którą w myślach nazywam Laurą.

„Patrz”, wyciągnęła pewnego dnia dłoń i wyczarowała złotą kulę wyłaniającą się znad rzeki. „To słońce, oświetla nasze życiowe drogi. Oświetla też ciebie. Nawet wtedy, gdy go nie widzisz”.

W oknach był też uśmiech ojca, dziennikarza Roberta Reya, który mawiał, że świat jest książką, a podróżowanie jak czytanie – napełnia człowieka czymś lepszym od najlepszego snu.

„Podróżować to życie!”, mówił, brał moją twarz w dłonie i pytał: „Kto to powiedział?”, a ja wrzeszczałam: „Hans Christian Andersen!!!”.

Zobaczyłam w nich też opiekuńcze skrzydła babci Klary, kobiety silnej jak latarnia morska podczas sztormu, kobiety, która zamaszystą spódnicą zagarniała cały wszechświat.

I skrzydła dziadka Alberta, przybysza znikąd, od którego były na zmianę blask i mrok, co sprawiało wrażenie, jakby po ciemnej stronie ukrył swoje nieopowiedziane nikomu życie. Nazywał mnie księżniczką i obdarzał specjalnymi względami.

Szaleństwa na trawniku przed domem z Joy, ukochaną wilczycą, która zjawiała się po to, by mnie uratować.

Amelię, przyjaciółkę o oczach wiecznie zdziwionych i wielkich jak u dzieci na obrazach Margaret Keane.

I pierwszy pocałunek z Piotrem, jego piegi rozsypane na nosie i oczu, dwa lustra, w których się przeglądałam, gdy mówił, że to, co pierwsze, będzie we mnie żyło najsilniej ze wszystkiego, co mam, i dopadnie mnie w najmniej oczekiwanych chwilach, w autobusie, w sklepie, przy robieniu kanapek. Skąd to wiedział? Miał osiemnaście lat.

Na furtce usiadł ptak, duży biały gołąb. Przyglądał mi się ciekawie. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Rozejrzał się dokoła, jakby sprawdzał, czy wszystko jest takie, jak być powinno, na swoim miejscu. Odfrunął, a ja pchnęłam furtkę, skrzypiącą i oplecioną bluszczem. Przez chwilę szarpałam się z walizką, której kółko utknęło w trawie. Zarośnięta ścieżka wiodła między przekwitłymi magnoliami i krzakami róż, prowadziła wprost na kępę chwastów, które wdarły się na schody. Dzwonek przy drzwiach nie działał, od lat był atrapą, zastukałam mocno kilka razy. Dom tonął w ciszy.



– Dziadku! – zawołałam – To ja, Lena!

Nikt nie odpowiedział, ze środka nie dobiegł też żaden dźwięk. Zawołałam ponownie. Nacisnęłam klamkę, drzwi nawet nie drgnęły. Rozejrzałam się dokoła,ostałam przez chwilę i postanowiłam pójść do ogrodu. Dziadek go kochał, spędził w nim niemal całe życie, pewnie teraz tam był, doglądał winorośli, orzechów, pomidorów.

Ogród od zawsze wyglądał na dziki i porzucony, co wcale nie odbierało mu urody, bo był jak wyjęty z odrealnionej akwareli matki. Gęstwina krzewów i drzew łączyła arkadyjską afirmację życia z atmosferą dziwności i tajemnicy. Zachęcała do szukania zapomnianych ścieżek i sekretnych miejsc. Kiedyś tonął w różach. Białych, w wyjątkowo cudnych odmianach o dużych, pachnących kwiatach. Dziadek sadził je dla Klary. W imię miłości i jako symbol jej kobiecego piękna. Nie pochodził z rodziny hodowców kwiatów, nie posiadał majątku ziemskiego, ale zachowywał się jak potomek właścicieli hektarów pokrytych najpiękniejszymi okazami róż. Był przekonany, że kwiatowy ogród swoją niezwykłość zawdzięcza muzyce Klary, że kwiaty rozwijały się bujnie, gdy ona w otwartych drzwiach grała w salonie na pianinie.

Nie widziałam róż. Teraz i w ubiegłych latach. Nie kwitły już od dawna.

Nad całością górował czerwony dąb. Wciąż stał na straży. Ku pamięci dawnych dni.

Dziadka w ogrodzie nie było. Pomyślałam, że pewnie wyszedł z domu na chwilę, przecież zostawił otwartą furtkę.

– Dziadku! – wrzasnęłam, jak tylko potrafiłam najgłośniejszym, wybiegając na drogę przed domem. Odpowiedział mi szum wiatru.

Krzyknęłam jeszcze kilka razy, zagłuszając strach. Zaczęło do mnie docierać, że dziadek nigdzie nie wyszedł, bo dokąd miał pójść na pustkowiu, gdzie w promieniu kilometrów nie ma nic poza lasem, a on przecież ostatnio nie czuł się najlepiej. Dlaczego więc nie otwiera drzwi?

*Coś się stało*, pomyślałam z przestraszonym i w tej samej chwili zaczęłam się uspokajać, że dziadek jest w domu i najzwyczajniej w świecie, zajęty czymś, nie słyszy mojego wołania. Wpadłam jednak w panikę i zaczęłam stukać do okien, walić

w szyby, krzycheć coraz głośniej, zdając sobie sprawę, że taka reakcja nigdy nie pomaga. Pobiegłam raz jeszcze wokół domu, potykając się o kamienie, które razem zwoziliśmy na taczce z lasu, gdy byłam mała. Zaglądałam do środka przez każde okno i sprawdzałam, czy jednak gdzieś w zaroślach nie ujrzę ogorzałej od słońca twarzy, uśmiechniętej, z siateczką bruzd.

Szarpałam klamką drzwi wejściowych, z góry wiedząc, że się nie otworzą. Przeklęty klucz. Zawsze miałam go w torebce, w bocznej kieszeni zamykanej na suwak, ale dwa miesiące temu dałam go matce, gdy poprosiła, tłumacząc, że zapodziała gdzieś swój.

Telefon omal nie wypadł mi z dłoni, gdy wybierałam numer pani Elizy z nadzieją, że ona rozwieje mój strach. Pani Eliza nie wiedziała, co mogło stać się z dziadkiem Albertem, ostatni raz widziała go wczoraj, przywiozła mu zupę jarzynową i pierogi z grzybami, ucieszył się, ale nie wyglądał dobrze. Ogarnęła mnie jeszcze większa panika. Poczułam, że jestem cała mokra od potu, zrzuciłam z siebie sweter, bluzka przylepiła się do skóry. Wpadłam do ogrodu od strony tarasu, szukając wzrokiem czegoś na tyle solidnego, by mocno uderzyć, znalazłam leżący w trawie żelazny pręt, chwyciłam go i z impetem zbiłam nim szybę w drzwiach od tarasu. Odskoczyłam, szkło rozsypało się na drobne kawałki, dwa duże osunęły się na ziemię. Ostrożnie włożyłam rękę do pustej drewnianej ramy, uważając, by się nie skaleczyć, wyczułam palcami zamek, a w nim okrągły klucz. Przekręciłam go błyskawicznie, otwierane drzwi wydały cichy jęk.

Przeszłam do przedpokoju, ponurego i ciemnego nawet w najbardziej słoneczne dni. Zapaliłam lampę, światło przebiło się przez pokrywę kurzu na białym żyrandolu.

– Dziadku? – zapytałam drżącym głosem.

Albert miał swój pokój na parterze, blisko wejścia. Wybrał go wiele lat temu, tłumacząc, że to najlepszy punkt obserwacyjny, który jego zdaniem ze względów bezpieczeństwa jeden z domowników zawsze powinien mieć. Drzwi były niedomknięte, pełna złych przeczuć popchnęłam je lekko.

Minimalizm tego miejsca zawsze mnie zadziwiał, było pozbawione ciepła, zdobień, kolorów. Szafa, krzesło, biurko, białe ściany. Fotel o barwie ciemnej śliwki. Jedyne kolorowe punkty.

To właśnie w nim siedział teraz dziadek Albert. Jego ręce spoczywały na podłokietnikach, a głowa na wysokim oparciu. Wyglądał, jakby spał albo udając, że śpi, obserwował mnie spod wpół przymkniętych powiek. Jego twarz była spokojna i pogodna. W kącikach ust czaił się uśmiech. Stałam w drzwiach, bojąc się podejść, czułam całą sobą, że jeśli zbliżę się do niego, odkryję coś nieodwracalnego, zamkniętego, co będzie ostatnim wersem opowieści, napisami końcowymi w filmie. Stałam, czekając, aż on się obudzi i spojrzy z tym samym ciepłem w oczach, którym

obdarzał mnie, gdy byłam małą, i powie: „Witaj, księżniczko”. Nazywał mnie tak, odkąd sięgałam pamięcią.

Wydało mi się, że dziadek się poruszył, a w jego nozdrzach zadrżało powietrze. Podeszłam na palcach, bezszelestnie, by nie spłoszyć swojej nadziei i jego uśmiechu w kącikach ust.

Nie spojrział na mnie i nie zmienił pozycji. Tkwił w fotelu z zastygłym uśmiechem. Dotknęłam jego ramienia, raz, drugi, przeciągnęłam dłonią wzdłuż całej ręki, pozbawionej miękkości, ciepła ciała. Była twarda i sztywna, jak wyciosana z kawałka drewna. Spod rękawa koszuli wystawała blizna. „To pamiątka z dzieciństwa, jechałem na rowerze i upadłem”, – odpowiedział, gdy kiedyś go o nią zapytałam, i zasłonił ją rękawem.

Zbliżyłam twarz do jego twarzy. Dopiero teraz zobaczyłam, że skóra na policzkach, czole, dłoniach jest żółta, a pod nią nie drgnie nawet jeden mięsień. Klatka piersiowa też była nieruchoma.

Dziadek Albert nie oddychał.

Wyglądał jak jedna z figur woskowych w londyńskim muzeum, w którym byłam dawno temu z ojcem, mając wrażenie, że to dom dusz zamkniętych w ciałach, które nagle postanowiły wyłączyć się z życia.

Cofnęłam się przerażona. Stałam w osłupieniu, po chwili zaczęłam spadać z najwyższego szczytu, Mount Everestu albo śnieżnego Giewontu, a może ze skały, która stoi za lasem, na którą, odkąd pamiętam, zawsze chciałam wejść i z niej skoczyć, pofrunąć jak najszybszy na świecie ptak, wędrowny sokół, którego dawno temu pokazała mi matka.

Poczułam, że nie mogę oddychać, wybiegłam do kuchni, wprost na blat z kubkiem niewypitej herbaty, w której taplała się mucha, i talerzem z niedojedzonymi, zaschniętymi pierogami Elizy Berg. Spojrzałam na piec w rogu przy drzwiach, brzuchaty, z kafli w kolorze złota, do którego w dzieciństwie przywierałam w mroźne dni, by ogrzać ciało i duszę. Zaskoczenie śmiercią, choć nie wymykało się wszystkiemu, co dotąd przeżyłam, i tak było ogromne.

Drżącymi palcami wybrałam numer Laury. Przez głowę przebiegła mi myśl, że to będzie jeden z najgorszych telefonów, jakie muszę w życiu wykonać. „Mamo, przyjedź zaraz, proszę, bądź tu natychmiast”, powiem za chwilę. Cisza po drugiej stronie powodowała ucisk w gardle, jednocześnie przyniosła ulgę. Połączenie było niedostępne. Pomyślałam, że mama nie odbiera, bo jest już w samolocie.

Z Louistem też nie mogłam się połączyć. Raz, drugi, trzeci, połączenia zrywały się jedno po drugim. Przypomniałam sobie, że na dzisiaj miał zaplanowaną operację, widocznie pochylał się skupiony nad czyjąś klatką piersiową i rozcinał precyzyjnie miejsce wokół serca.

*Czym wypełnić czas?*, myślałam w panice, stojąc na środku kuchni. Może umyć podłogę, wyrzucić stare pierogi pani Elizy, wyszorować zlew, pozbierać szkło przy drzwiach na taras? Ludzie w takich chwilach dzwonią, informują, zawiadamiają. Poza próbą połączenia z Laurą i Louisem nie byłam w stanie wykonać telefonu do nikogo, nie zniósłabym słów pocieszenia i wyrazów współczucia.

Weszłam do pokoju dziadka, przez okno wpadał promień słońca, otulał Alberta jak ciepły sweter, a ja pomyślałam absurdalnie: *Dlaczego słońce jest tak gorące, że nie można na nim zamieszkać.* Usiadłam na krześle przy biurku. W odrętwieniu wpatrywałam się w dziadka, potem w jego meble i książki, w gałąź za oknem. Przez głowę przelatywały mi miliony myśli. Wszystkie prędzej czy później wędrowały do czasów dzieciństwa.

Przyjrzałam się drzwiom, na framudze widniały czarne kreski i cyfry. Gdy byłam mała, dziadek co jakiś czas prosił, bym stanęła przy niej wyprostowana. Tuż nad moją głową rysował kreseczkę, a obok pisał, ile mam wzrostu i jak bardzo od ostatniego razu urosłam.

*Odszedł, pomyślałam. Nigdy więcej go nie zobaczę.*

Zdumiałam się, że moje oczy nie wypełniły się jeszcze łzami, były suche, mimo że moje serce biło mocno i szybko. Myślałam o różnych rzeczach, prostych, codziennych, niemających niczego wspólnego z misterium śmierci. Cisza stawała się tak gęsta, że nie mogłam się w niej poruszyć.

– Lena! Jesteś? Lena?!

Głos Laury dobiegł jak z innego wymiaru.

Ocknęłam się, pokój i okno były niemal ciemne. Nie miałam pojęcia, ile czasu upłynęło. Musiałam zasnąć i w pierwszej chwili nie wiedziałam nawet, gdzie jestem.

Wstałam i skierowałam się ku drzwiom. Stała w nich Laura, moja matka. Magiczna, nostalgiczna, pięknie smutna. Nad nią unosił się ciepły snop światła latarni oświetlający samochód, którym przyjechała, idący daleko w las i czerń nieba.

Przytuliła mnie i ucałowała tak, jak potrafi to tylko ona.

– Jak dobrze, że jesteś – uśmiechnęła się promiennie. – Możesz podać klucz do bramy? Wjadę na podwórko.

Klucz był schowany wraz z pękiem innych w skrzynce wiszącej przy drzwiach, razem z młotkiem, pudełkiem zapalek, kawałkiem świeczki i końską podkową. Kiedy auto zostało zaparkowane, a brama zamknięta, obie weszłyśmy do środka. Mama odgarnęła mi włosy z czoła i przyjrzała się mojej twarzy.

– Coś się stało? Wyglądasz na zmęczoną. Jak się czuje dziadek?

Jej miękki głos sprawiał, że nie mogłam wydusić z siebie słowa. Nie wiedziałam, jak przekazać wiadomość, chyba najgorszą w życiu mojej matki. Taką, która uświadamia, że oboje rodzice odeszli, a etap życia spędzony z nimi jest bezpowrotnie zakończony. Szukałam słów, które nie zabrzmiałyby ostatecznie. „Świat nie istnieje, dopóki go nie nazwiemy”, mawiała babcia Klara. „Uważaj na słowa – mają moc pioruna”.

– Mamo...

Zamilkłam, a do niej zaczęło docierać, że stało się coś strasznego.

– Dziadek...

– Tak...?

– Odszedł.

Wiedziałam, że słowo „umarł” nie przejdzie mi przez gardło. Spodziewałam się, że te słowa wywołają u niej natychmiastową panikę, szloch, łzy, lecz nic takiego się nie stało. Wstrzymała oddech i popatrzyła mi prosto w oczy z przerażeniem i niedowierzaniem.

– Gdzie on jest? Do jego pokoju szła powoli, jakby chciała opóźnić chwilę, w której ujrzy zastygłego w półuśmiechu ojca, i jak najdłużej sobie wyobrazić, że czytał *Grę anioła* Carlosa Ruiza Zafóna, podarunek od niej na osiemdziesiąte szóste urodziny, i swoim zwyczajem zasnął. Robił tak często, nikogo to nie dziwiło.

Stanęła w progu. Jej plecy zdrząły i się skuliły. Wyglądały, jakby spoczął na nich ciężar całego wszechświata. Była wstrząśnięta. Minęła mnie i wyszła na taras, nie zauważając niczego, nawet rozsypanych na podłodze kawałków szkła, a ja pobiegłam za nią i obserwowałam, jak usiadła na schodach, tuż przy skarpie zarosniętej paprociami, w pozycji embrionalnej, z głową wciśniętą w uda i kołysała się lekko.

– Nie zdążyłam mu powiedzieć.

– O czym, mamó?

– Że go kocham.

W jej głosie było słychać cierpienie. Milczałam. Byłam pewna, że obie z matką myślimy o tym samym.

Od lat lawirowaliśmy między własnym lękiem, obowiązkiem i ze strony matki zadrą w sercu a wolą starzejącego się pustelnika, który niewiele chciał od życia i odmawiał pomocy. Hardy i honorowy zapewniał, że świetnie sobie radzi i wszystko ma. „Ja jeszcze nie umieram”, powtarzał. „Jest jeden sposób, aby się dowiedzieć, czy twoja misja tutaj dobiegła końca: sprawdzić, czy żyjesz, a więc, moje drogie, ja jeszcze żyję”. Świadomość, że musiało mu być ciężko, a my mogłyśmy zrobić więcej, była nie do zniesienia. Hardość dziadka Alberta i chłód Laury Rey położyły się na ich relacji jak cień. Mimo że po pewnym czasie stosunki nieco się ociepliły, to już nigdy nie było jak dawniej. Nie mogłam tego zrozumieć. Kiedyś zapytałam osobno ją i dziadka, dlaczego tak trudno im ze sobą być, skoro się kochają. Oboje odpowiedzieli wymijająco. Byłam pewna, że coś się za tym kryje, jakaś historia, zdarzenie, i tych dwoje łączy zmowa milczenia.

Usiadłam obok niej i dotknęłam delikatnie jej ręki. Ona zawsze była zapachem. Ulotnym, trudnym do określenia. Wtuliłam się w niego, obejmując jej wiotkie ramiona. Przez moment zdawało się, że obok leży wilczyca Joy, szlachetna i lśniąca, o oczach mądrzejszych od ludzkich.

– Jest tu razem z nami, prawda? Kochana Joy – mama wychwyciła moją myśl.

– Tak, Joy zawsze jest z nami – pocałowałam ją w policzek.

– Chodź, zapalimy świece – wstała i skierowała się do salonu.

Kredens był ciemny i pojemny, babcia Klara trzymała w nim rzeczy jeszcze z czasów swojego dzieciństwa i młodości swojej matki, Melanii. Na jednej z półek stał zawsze rząd świec, zapalała je, mówiąc, że dom żyje, dopóki jest w nim światło. Bez zapalania lamp powoli umiera, a jego śmierć jest równie bolesna jak odchodzenie bliskich. Ten dom słucał jej poleceń i rad. Był na każde jej zawołanie.

To ona go stworzyła na nowo. Po wojnie. Po burzy. Stała się jego ostoją. Kiedy jej zabrakło, dom zmarnotniał, sposepniał. Powoli cichł. Nawet deski w podłodze nie trzeszczały jak dawniej. Okna stawały się bardziej szare.

Świece były białe i błyszczące. Zapaliłam jedną z nich, postawiłam obok książek na stoliku. Usiadłam na podłodze, tuż przy krześle, na którym siedziała mama. Głowę oparłam o jej kolano. Patrzyłam, jak płomień rozświetlił twarz dziadka. „Życie stale się przemienia, księżniczko”, powiedział ostatnim razem. „Dobrze, że przyjechałaś, piękny prezent na koniec. I wiesz co? Ta szarlotka jest świetna”.

Przywiozłam mu wtedy wraz z innymi zakupami jego ulubioną szarlotkę, podobną do tej, którą piekła babcia Klara, rozsiewając zapach w całym domu. Drżącą ręką sięgnął po czajnik i rozlał wrzątek na blat, przeproszał za cały ten bajzel i brak wszystkiego, tłumacząc, że jemu niewiele potrzeba do życia, a wszystko i tak ma swój koniec. Jego oczy błędziły po kuchni, jakby czegoś szukały.

Powinłam była wtedy zostać. Zagryzłam usta. Poczułam ucisk w gardle. Odwróciłam twarz w stronę okna, zbierało się na deszcz. Długo siedziałyśmy w pokoju, każda zatopiona w swoich myślach.

– Mamo – w końcu odezwałam się cicho. – Zjesz coś?

– Nie, nie przełknę niczego.

Wyjmowałam z torby produkty, które kupiłam dla dziadka, wiedząc, podobnie jak Laura, że jedzenie jest ostatnią rzeczą, o jakiej teraz myślę. Sałatkę, sery i jego ulubioną szarlotkę schowałam do lodówki, chleb i paczkę ciastek do drewnianej skrzynki stojącej tuż przy talerzu z owocami. Na koniec sięgnęłam do torby po puszkę z herbatą. Owocową, pełną płatków róż. Dziadek lubił jej smak i zawsze na nią czekał. Dotknęłam kartonika i szybko włożyłam do szafki, wiedząc, że nie będę w stanie jej zaparzyć.

– Szczerze mówiąc, chętnie napiłabym się czegoś mocniejszego – westchnęła Laura. – Ale pewnie niczego nie ma, chyba że została jakaś butelka z dawnych czasów. Chodź, poszukamy czegoś w kredensie.

Przyglądałam się, jak idzie przede mną, jakby nie dotykała ziemi, a za nią unoszą się w powietrzu perfumy, te same od lat, francuskie, których pierwszy flakon przywiózł ojciec z jednej z zagranicznych podróży. Była zachwycona prezentem i od tamtej pory nie używała innych perfum. Stały się jej zapachem, znakiem rozpoznawczym.

Oprócz perfum Robert Rey przywoził też butelki dobrych trunków. W salonie, w kredensie stało ich kilka, z Włoch albo Francji, Laura zdziwiła się, że wciąż tu są. Zatrzymała na nich wzrok, jakby nie mogła zdecydować, którą wybrać, albo zamieszkała na chwilę we wspomnieniach, w innym życiu, tak odległym, że aż nieprawdziwym. W końcu wręczyła mi Canettę Brunello di Montalcino, a sama

wyjęła z szafki kryształowe kieliszki. Postawiła je na kuchennym stole i napełniła winem o rubinowej barwie.

Usiadłyśmy pod witrażowym abażurem z wielkim barwnym motylem. Pierwszy raz od dawna, chyba nawet od czasów, gdy wszystko stanęło na głowie, a szczęśliwa rodzina przestała istnieć. Mama. Tata. Babcia. Dziadek. Joy. Dawno temu siadaliśmy tu wszyscy razem. Albo tylko we troje z ojcem, trzech muszkietierowie, niezłomni, nie do pokonania. Mama, tata i ja. Jako mała dziewczynka byłam pewna, że wszystko jest wieczne.

Przeszłość. Była cudownym, lecz obcym krajem.



## 4

– Dziadku, czy istnieją duchy?

Stał w kępach trawy, której nigdy nie kosił. Mówił, że skoro mieszkają pod lasem, w ich ogrodzie trawa ma być leśna, i pokazywał mi robaki, jeże, ślimaki. „To ich dom”, mówił. „Nie możemy go niszczyć.”

– Ciekawe pytanie. Nie wiem. Nigdy nie spotkałem żadnego ducha.

– A niebo. Czy istnieje niebo?

– Mam odpowiedzieć teraz?

– Tak! Muszę wiedzieć.

Uznał, że zanosí się na dłuższą rozmowę, westchnął i usiadł na pniu.

– Nie wiem. I nikt tego nie wie.

– No ale jeśli niebo jest....

– To co?

– To czy język do niego pójdzie?

– Na pewno tak.

– A my też tam pójdziemy?

– Ty na pewno. Ale czy otworzy wrota przed takim łotrem jak ja, tego nie wiem.

Czy mam szansę do niego pójść?

– No pewnie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– A załatwisz mi wejściówkę?

– Jasne. I nie jesteś łotrem.

Dziadek Albert tłumaczył świat i był zawsze, gdy go potrzebowałam. Podnosił mnie na wysokość gałęzi drzew, żebym lepiej widziała i mogła powąchać kwiaty bzu. Przytulał, ocierał łzy, miał dla mnie najwięcej cierpliwości i zrozumienia.

„Księżniczko, mawiał, „pamiętaj, że szczęście jest na wyciągnięcie ręki, nie omijaj go, nie czekaj, aż przyjdzie lepszy czas, gdy życie przestanie być trudne. Przeciwnie, ono nigdy nie będzie łatwe, a do szczęścia nie potrzebujesz fajerwerków, znajdziesz je w codziennych, drobnych rzeczach”.

Lubiłam spędzać czas z dziadkiem, był wesoły, nie można było się z nim nudzić. Czasem tylko zamyślał się i patrzył na mnie tak przenikliwie, że odwracałam wzrok.

Kiedyś uśmiechałam się do tych wspomnień, teraz poczułam w oczach łzy.

– Wypijmy za mojego ojca, a twojego dziadka – Laura podniosła kieliszek. – Za spokój jego duszy.

– Tak. Za jego spokojny sen – wyszeptalam.

Laura wypila od razu pół kieliszka, postawiła go na stole, położyła swoją dłoń na mojej dłoni. Zamrugalam, by zapanować nad falą łez.

– Przeżyłaś potworny szok, Leno – odezwała się po chwili Laura. – Przyjechałaś, a on nie żył. Trudno mi to sobie wyobrazić.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Nie teraz. Czułam, że Laura przez cały czas patrzy na mnie z troską o to, czy sobie radzę, czy uodporniałam się na śmierć po tragedii sprzed kilku lat. Nie zapytała jednak, bała się tego dotykać, bo wtedy, kilka lat wcześniej, po śmierci dziecka chciałam odebrać sobie życie.

– Powinnaś położyć się, zebrać siły – powiedziała łagodnie.

– Wszystko dobrze, mamo, nie martw się... – czułam, że pozorny spokój, który starałam się zachować mimo tego, co się stało, za chwilę się ulotni i nie będę w stanie nad sobą zapanować. Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Laura przejechała koniuszkiem palca po brzegu kieliszka.

– To cud, że te kryształki się zachowały. Tyle lat – zaczęła dla zmiany tematu. – Zostały tylko trzy. Babcia Klara je odzyskała.

– Jak to odzyskała? Nie znam tej historii.

– Nigdy ci nie opowiadałam? W tym domu przed wojną było pełno serwisów, pięknych szklanek, kieliszków. Podczas wojny rodzice babci, twoi pradziadkowie, zakopali je wszystkie w ogrodzie, głęboko w ziemi, w obawie przed Niemcami. Ale to Polacy je rozkradli, sąsiedzi, diabli wiedzą kto. Wtedy żyła jeszcze praprababka Eleonora, o mało nie dostała zawału serca, gdy po powrocie zobaczyła rozkopany ogród i ani śladu serwisów i pater. Ale jej córka, a twoja prababka Melania była sprytna, dzięki czemu ocaliła sporą część innych, ukrywając je pod podłogą w salonie. Tam złodzieje nie zdążyli wejść, może ktoś ich spłoszył. Kieliszki zobaczyła pewnego dnia babcia Klara już po wojnie, na jakiejś licytacji. Wykupiła je. Reszta rzeczy się nie odnalazła.

– Dlaczego nigdy nikt mi tej historii nie opowiedział? – zapytałam z wyrzutem.

– Niemożliwe, musiałaś już ją słyszeć – wzruszyła ramionami Laura. – Zapomniałaś.

Obie zachowywałyśmy się jak osoby usiłujące utrzymać pozory spokoju i wypierające fakt, że siedzą na tykającej bombie. Nie wyszłam z szoku, ale robiłam wszystko, by emanować opanowaniem i gotowością do działania. Laura wypila kolejny łyk wina, zagryzła usta. Sprawiała wrażenie, że o czymś intensywnie myśli.

– Wiesz, urządzimy piękne pożegnanie, godne mojego ojca – odezwała się po chwili. – Tyle możemy dla niego zrobić. Pożegnać go, podziękować za to, jaki był,

kim był. Wspominać dobrego człowieka, jakiego wszyscy pamiętają. Zgadzasz się?

Pokiwałam głową. Czułam, jak wzbiera we mnie rozpacz.

– Mam nadzieję, że nie cierpiał – powiedziałam cicho. – Że to się stało we śnie.

– Na pewno tak było. Siedzi w swoim ulubionym fotelu, niech się z nim pożegna do końca – Laura popatrzyła na mnie ciepło. – I posłuchaj, kochanie, twój dziadek miał dobre życie. Weź też pod uwagę, że długo żył, miał osiemdziesiąt sześć lat.

Z perspektywy stołu przez okno było widać wierzchołki sosen rosnących rzędem nad ogrodzeniem. Oświetlało je blade światło latarni. Kołysały się na wietrze. Zazwyczaj wystarczyło na nie popatrzeć, by odzyskać spokój. Nie tym razem. Czułam, jak wzbierają we mnie na zmianę rozpacz i gniew, falują w środku, krążą, przenikają każdą tkankę.

– Ale może gdybyśmy bardziej o niego dbały i przyjeżdżały częściej, to żyłby o wiele dłużej – powiedziałam cicho. – Miesiąc temu, kiedy byłam tu ostatni raz, wydawał się zmęczony, ale nadal dziarski. Wciąż mam tamten obraz przed oczami. Trudno go połączyć z umieraniem.

– Nie obwiniaj się, Leno. Dziadek miał nadciśnienie i kilka innych dolegliwości, może było też coś, o czym nam nie mówił – Laura westchnęła.

– A ty się nie obwiniasz, mamó? – wyrzuciłam z siebie jednym tchem i w tej samej chwili tego pożałowałam.

To nie był dobry moment na rozpoczęcie takiej rozmowy. Właściwie żaden nigdy nie był idealny. Zawsze starałam się oszczędzać matkę, bo milczenie pomagało w utrzymaniu jej wewnętrznego spokoju. Znałam ją dobrze i wiedziałam, że czasem trzeba chodzić koło niej na palcach, zwłaszcza przy jej zmianach nastroju, a już szczególnie w dniu takim jak ten. Laura miała w sobie siłę i wносиła spokój, ale były w niej zbytnia delikatność, kruchość, skłonność do melancholii. Bywały dni, kiedy potrafiła nie jeść, nie ruszać się, nie rozmawiać. Zawsze, kiedy zaczynały się kłopoty, zjawiałam się u niej natychmiast. Teraz jednak czułam, że niezależnie od chęci czuwania nad własną matką wzbiera we mnie coś, nad czym nie mogę zapanować. Wiedziałam, że jeśli się z tym nie zmierzę, z rozmową, taką, jakiej nigdy nie rozpoczęłam, na którą się nie odważyłam ze strachu przed tym, co usłyszę, już zawsze będzie we mnie coś niedokończonego, nieopowiedzianego, jakbym szła drogą, na której końcu urywa się ślad.

– Nie obwiniam nikogo. Bo nic złego się nie działo – odezwała się sucho Laura. –

Mam swoje życie, jak wiesz, sporo wyjeżdżam na wystawy, tu przyjeżdżałam, gdy tylko mogłam. Zatrudniłam Elizę, dziadek miał wikt i opierunek. Proponowałam mu kilka razy, by przeniósł się do Warszawy, przecież mam wystarczająco duże mieszkanie. Ale on nie chciał ode mnie takiej pomocy, zawsze mówił, że wszystko ma, niczego nie potrzebuje.

– Ale to nie to samo. Poza tym Eliza może i robiła zakupy czy dobrze gotowała, ale najwyraźniej miała jakiś problem ze sprzątaniami. Mamo... Dlaczego tak rzadko go odwiedzałaś? Nie zasłaniaj się tym, że był hardy. Co takiego się stało, że oddaliliście się od siebie? Przecież był twoim ukochanym ojcem.

– Tak, ale po rozstaniu z Robertem nie mogłam tutaj dłużej żyć. Dobrze o tym wiesz. Zauważ, że wtedy jeszcze żyła babcia Klara. Dziadek nie został sam.

– Ja mówię o tym, co stało się później, kiedy babcia zmarła.

– Nic złego się nie działo. Przecież dziadek to był silny człowiek, miał nieco ponad siedemdziesiąt lat i wciąż roztaczał wokół siebie aurę przystojnego, zadbanego mężczyzny. Jego siwiejące włosy nadal były gęste i mocne. Wyglądał imponująco.

– Ale starzał się z każdym rokiem. Na dodatek ty miałaś do niego jakąś pretensję, żal. Obraziłaś się na niego śmiertelnie.

– O czym mówisz?

– Powiedz mi, proszę. Nigdy mi tego nie wyjaśniłaś.

– Zbyt dużo było tutaj wspomnień – Laura sięgnęła po kieliszek wina. – Nie chciałam tu dłużej mieszkać. To wszystko.

– Ale był tu dziadek. Mamo, ile razy przyjeżdżałaś tutaj w ciągu ostatnich lat? Dlaczego zostawiłaś własnego ojca?

– Nie zostawiłam! Żyłam tylko gdzie indziej. Dajmy spokój, Leno – Laura lekko podniosła głos. – Dla mnie tamten czas nie był łatwy. Przeżyłam swoje. Musiałam urządzić się w nowym miejscu, zbudować siebie od nowa. Całkiem od nowa.

– Wiem.

– Nie, zapewniam cię, że nie wiesz.

– Miałam siedemnaście lat, mamo. Zawalił mi się świat. Najpierw ojciec przestał być moim ojcem, mimo że przysięgał być nim do końca świata. To łamie człowieka na pół – zawiesiłam na chwilę głos. – Potem zmarła babcia. A wcześniej Joy. I nagle zostałam wrzucona do nowej rzeczywistości, która była mi obca. Musiałam udawać, że jestem kimś innym.

– Wiem, Leno. To jest tak, że na życiowych zakrętach każdy dla siebie jest wyjątkowym wędrowcem, który zgubił drogę i bezustannie jej szuka. Mnie też zawalił się świat. Nigdy nie pomyślałaś w ten sposób? Że nie mogę tu dłużej żyć? Przyjeżdżać tu? – Laura była wzburzona. – Twój ojciec mnie zostawił. Odszedł. To jeden ból. Drugi to taki, że ja tu zostałam i wszędzie widziałam jego. Trauma boli. Podwójna jest miazdząca.

Zapadła cisza. Poczułam się jak tamtego dnia, kiedy najpierw płakałam, a potem rozpadłam się na tysiąc kawałków.

„Tata będzie przyjeżdżał, ty będziesz do niego jeździć, wszystko się ułoży”, powiedziała mama.

Ale ja chciałam, żeby był w domu jak dotąd, każdego dnia, żeby stanowił nierozdzielny element mojego świata. Marzyłam, by w szafie rodziców znów wisiały jego ubrania, a w łazience były jego szczoteczka do zębów i pędzel do golenia. Czekałam, aż wróci. Uświadomiłam sobie, że mimo upływu czasu i tego, że od dawna jestem już dorosła, nadal nie wiem, co z tym zrobić. Zastanawiałam się, czy gdyby moi rodzice się nie rozstali, moje życie potoczyłoby się tak samo. Może nigdy nie spadłaby na mnie śmierć dziecka. Może...

– Twój ojciec... On cię kocha. Szukał z tobą kontaktu, zależało mu na tobie.

– Nieprawda. Gdyby mu zależało, toby został.

– To wszystko nie było takie proste. On kocha cię przez cały czas.

Laura wstała od stołu i podeszła do mnie. Podała mi rękę, żebym też wstała, i przytuliła mnie mocno.

– Jesteś zmęczona. Przeszłaś w życiu swoje. Wiem. Nie zapomniłam. Już zawsze to w nas będzie. Twoja córeczka... nasza malutka... Teraz znalazłaś martwego dziadka, to był dla ciebie straszny szok, musisz odpocząć. I o nic się nie obwiniać. Nas nie obwiniać. Przyjeżdżałaś tu. Ja też, Leno. Wcale nie było tak, że go nie odwiedzałam i nie wiedziałam, co się z nim dzieje. Wiedziałam o wszystkim – Laura westchnęła głęboko.

– I tak tego nie rozumiem. To wyglądało tak, jakbyś chciała go za coś ukarać. Chyba że jest jeszcze coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć? – spojrzałam na matkę pytająco.

– To wszystko. Nie ma nic więcej. Koniec historii.

– To dlaczego dziadek był taki skryty, mamó? Nigdy nie mówił o sobie.

– Kiedy przeszłość boli, nie chce się o niej opowiadać. Czasem lepiej nie znać odpowiedzi na wszystkie pytania. Może chciał nas przed czymś chronić. Ja też nie rozmawiałam z tobą o przeszłości, bo chciałam, żebyś poszła w życiu dalej, przestała być traumą. W życiu człowieka przychodzi taki moment, że trzeba zrezygnować, odpuścić, zapomnieć, pójść naprzód. Po prostu trzeba, nieważne, jak cholernie by to było trudne – Laura umilkła na chwilę. – A teraz pozwolisz, że ja przejmę ster. Za dużo odpowiedzialności spadło na twoją głowę. Popełniłam wiele błędów.

– Kocham cię mamó, ja tylko....

– Wiem – głos Laury brzmiał stanowczo. – Wszystko wiem. I też cię kocham. Może nie byłam najlepszą matką, miałam swoje wzloty i upadki, ale pamiętaj, że zawsze chciałam cię chronić.

– Byłaś i jesteś najlepsza – spojrzałam na Laurę i pomyślałam, że sprawia wrażenie osoby, która robi wszystko, by nie poddać się rozpacz i trzymać się w pionie, a jest wyczerpana.

Niektórzy w reakcji na cierpienie płaczą. Przez lata nauczyłam się starannie ukrywać uczucia, by nie pozwolić im nad sobą zapanować. Pozorny spokój dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Przyszło mi też do głowy, że najlepiej mają ludzie, którzy przechodzą obok życiowych strat, zakopują ból na samym dnie i żyją, jakby nic się nie wydarzyło.

Zrobiło mi się głupio z powodu rozmowy, którą wywołałam. Niczego nie dała, była niepotrzebna. Tym razem ja przytuliłam Laurę.

– Mamo, przepraszam, poniosło mnie.

– Nie, nie przepraszaj. Są sprawy, o których nie potrafię rozmawiać – Laura otarła napływające do kącików oczu łzy. – To wszystko jest takie trudne.

Gdy zmarła moja córka, której nawet nie zdążyłam poznać i nadać wcześniej imienia, bo nie mogłam się zdecydować, wybrać, żadne mi się nie podobało, nie było dość dobre i ładnie brzmiące, czułam, jakby ktoś bez znieczulenia wyrwał mi serce. Też nie umiałam rozmawiać o jej śmierci. Choć czym innym jest żegnanie rodzica, a czym innym dziecka, to śmierć jest śmiercią i jest taka sama.

Obserwowałam, jak Laura wyjmuje z kosmetyczki swoje tabletki, te same od czasów, gdy zaczęła walczyć z pierwszymi objawami depresji, popija wodą i oddycha z ulgą. Zawsze czuła się po nich spokojna i senna. Weszłyśmy na piętro, do niedużego pokoju gościnnego z osobną łazienką. Spanie w dawnej małżeńskiej sypialni jej i Roberta było dla Laury niemożliwe, podobnie jak nie była ona w stanie zatrzymać się na dłużej niż kilka minut w swoim dawnym pokoju. Przyniosłam jej dzbanek herbaty i postawiłam na stoliku przy łóżku. Pocałowałam ją na dobranoc i zamknęłam za sobą drzwi.

Zeszłam na dół, ogarnęłam kuchnię, pozbierałam rozsypane szkło przy drzwiach na taras i zatrzasnęłam okiennice, zwłaszcza tam, gdzie widniała dziura po wybitej szybie. Uchyliłam drzwi wejściowe i zerknęłam na drogę przed domem. Było spokojnie i cicho. Zatrzasnęłam drzwi i zamknęłam je na dwa zamki i sztabę. Zajrzałam do dziadka, mając naiwną nadzieję, że jakimś cudem żyje, wstał, podszedł do okna i obserwuje, jak Arachne snuje na szybie misterną sieć. Lecz on siedział w fotelu niewzruszony. W ciemnym pokoju z lekką poświatą latarni wyglądał jak duch z opowieści babci Klary.

Babcia wierzyła, że dusza nigdy nie umiera, tylko przechodzi do innego wymiaru. Nawet teraz wydało mi się, że słyszę jej głos: „Wiesz, że on nie odszedł? W świecie duchów nie ma pożegnań”. Mawiała, że duchy zmarłych są wszędzie. Chodzą, obserwują nas i wachają. Siadają w fotelach, myszkują w lodówkach, wtulają się w rzeczy, które kochały i zostawiły. Grają z nami w kotka i myszkę, chowając nam różne przedmioty, które po pewnym czasie odnajdujemy w innych miejscach. Ich suknie i krawaty wiszą w szafach, buty stoją na półkach wypastowane. Noszą je

czasem, podobnie jak swoje okulary i zegarki. Zataczają kręgi nad stołem, dają nam znaki i przychodzą do nas pod różnymi postaciami. Czasem możemy je zobaczyć.

Zanim spełniłam obietnicę daną Louisowi, postanowiłam obejść zakamarki na parterze i piętrze i przejść się po pokojach, by sprawdzić, czy nie zamieszkały tam gdzieś zabłąkany ptak albo ciekawska kuna. Ten zwyczaj z dziecięcych lat wszedł mi w nawyk, uważałam go za ważny element rodzinnej tradycji. W dzieciństwie obchód domu robiłam zawsze z babcią Klarą, wyobrażając sobie, że stąkam po posadzkach pałacu, a każdy pokój jest komnatą pełną sekretów i tajemnych przejść. Klara miała zawsze te same kok i pęk kluczy. Rano wstawiała pierwsza, gdy wszyscy jeszcze spali albo budzili się ze snu. Pełna gotowości do codziennych zadań wstawiała wodę na kawę i przygotowywała śniadanie. Wieczorny obchód domu był jej ulubionym rytuałem.

W domu wszystko pozostało takie jak wtedy, gdy zapełniali go ludzie. Wyglądał, jakby rodzina, która w nim mieszkała, musiała nagle uciekać lub została wypędzona. Nigdy nie wyobrażałam go sobie innym. I nigdy nie miałam ochoty czegokolwiek zmieniać. Za każdym razem, gdy przyjeżdżałam, myślałam tak samo.

Okno w gabinecie ojca było jednym z moich pierwszych okien na świat. Zostały biurko i maszyna do pisania niemieckiej marki Mercedes z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Nie wiadomo, dlaczego Robert Rey jej nie zabrał. Może zostawił ją po to, bym pewnego dnia odnalazła ślady moich dziecięcych palców stukających klawiszami: „bdegawnarkstrtrspak” i w dorosłym życiu zajęła się, jak on, pisaniem. Zobaczyłam jego sylwetkę pochyloną nad biurkiem. Czasem zapisywał strony pięknymi zdaniami, a czasem słowa zwijał w pięść.

Pokój babci Klary zawsze był pełen niespodzianek ukrytych w zakamarkach trzydrzwiowej dębowej szafy z owalnym lustrem. Maszyna do szycia marki Singer, szkatułka z guzikami jak diamenty i pudło pełne kolorowych gałganków, bibeloty, fotografie pięknych kobiet o talii osy, w kapeluszach i sukniach. Wszystko to było nieodłączną częścią mojego dziecięcego świata, uwielbiałam tu przesiadywać i wyobrażać sobie, że jestem jedną z tych dam.

Sypialnia rodziców, świątynia kochania, też pozostała nietknięta. Wielkie łóże i widok z okna na ścianę soczysto zielonych drzew zawsze w moich oczach były czymś pięknym i bezpiecznym. Wiezorami, gdy wiatr niósł od strony kolei przejmujący i złowieszczy świst, pakowałam się do łóżka między jedwabistą



koszulę matki i bawełnianą piżamę ojca. Odczuwałam szczęście. Matka i ojciec. Całość. Pełnia. Uniwersum. Liczba całkowita. Oboje z tatą słuchaliśmy mamy, która wesołymi historiami o lokomotywach na parę, odnalezionych kufrach i zakochanych podróżnych próbowała przepędzić z mojej głowy zasłyszana przypadkiem od ciotki Marceliny historię kelnerki z miejscowego baru, która niczym Anna Karenina rzuciła się z miłości pod pociąg.

Pokój matki był najśliczniejszym pokojem, jaki kiedykolwiek widziałam. W dzieciństwie wyobrażałam sobie, że znalazłam się w pudełku białych czekoladek. Toaletka, flakon perfum, szkatułka na biżuterię. Szafa, do której jako dziecko wchodziłam, by wtulić się w ubrania matki i czuć jej zapach, gdy Laura wyjeżdżała. Starodawny sekretarzyk, na nim pióro, koperty, ozdobne papeterie. Mama pisała listy, dużo listów, których nigdy nie wysyłała. Kiedyś pokój był pełen obrazów, płócien, pędzli i farb. Mama siedziała przy sztaludze i magicznymi pociągnięciami pędzla zamieniała płótna w rajskie ogrody o barwach, jakich nigdy wcześniej nie widziałam.

Tuż za tym pokojem, w holu, stała na lwich łapach imponująca biblioteka z początku dwudziestego wieku. Dekoracyjna i bardzo bogata w zdobienia w formie kwiatów i maszkaronów, na które w dzieciństwie bałam się podnieść wzrok. Regały imponująco sięgały od podłogi po sufit. Książki i księgi szeleściły na półkach, czasem gadały – mogłam przysiąc, że nieraz słyszałam ich szept. Na podłodze leżał stos starych gazet. Przy lampie stały fotel i stolik z książką i filiżanką, jakby ktoś przed chwilą przerwał czytanie, wstał i wyszedł. Tak było od lat.

Drewniane schody, które wiodły na piętro, wydawały się mniejsze niż kiedyś. W dzieciństwie zjeżdżałam po nich, były takie ogromne, spadałam i nabijałam sobie guzy. Wtedy wszystko było większe.

Na koniec stanęłam w progu mojego pokoju. Naddarty plakat zespołu U2 na ścianie, biurko, szafa, łóżko. Zawsze, gdy przyjeżdżałam, zapełniałam go swoimi rzeczami, na biurku lądował laptop, siadałam przy nim o poranku, pisałam, patrzyłam przez okno na ogród i las.

Otworzyłam szafę. Na półce leżał gruby notes w sztywnej granatowej okładce. Dziadek Albert podarował mi go na czternaste urodziny, spowijając to w magiczną historię o zapiskach odnalezionych tysiące lat później. „Wszystko, co tu napiszesz, będą czytać ludzie z cywilizacji, które przyjdą po nas”, powiedział uroczyście i z poważną miną. „Na podstawie twoich zapisków poznają i odczytają nasz świat, to, kim byliśmy, co robiliśmy, zanim nasza cywilizacja się skończyła”.

Poczułam wtedy odpowiedzialność za całą ludzkość i jej dobre imię. Długo się zastanawiałam, co zrobić z notesem. W końcu wpadłam na pomysł, by zapisywać cytaty, złote myśli wielkich ludzi. Szperałam w bibliotece na piętrze, w książkach, gazetach, cudzych zapiskach, czasem podpowiedział ciekawą myśl tata. Na

pierwszej stronie napisałam słowa Alberta Einsteina: „Są dwie drogi, aby przeżyć życie. Jedna to żyć tak, jakby nic nie było cudem. Druga to żyć tak, jakby cudem było wszystko”. Wolałam jednak cytaty z Marka Twaina, którego książki podrzucał mi tata, zwłaszcza ten: „Dwa najważniejsze dni w twoim życiu: pierwszy to dzień, w którym się urodziłeś, a drugi to ten, w którym zrozumiałeś po co”. Od chwili, gdy zapisałam to zdanie w notesie, czekałam na ten drugi dzień.

Dotknęłam sztywnej okładki, przejechałam palcami po zapisanych kartkach.

– Odpoczywaj w pokoju, dziadku – szepnęłam.

Łazienka na piętrze była zimna. Zamknęłam za sobą drzwi. Niepewnie spojrzałam w lustro. Twarz, którą zobaczyłam, wydała mi się obca. Dwa profile, każdy inny. Między nimi pęknięcie biegnące wzdłuż nosa, przecinające czoło i usta na pół.

Rozpłakałam się. Nareszcie. Łzy przyniosły ulgę, płynęły po policzkach, kapały na dłonie i bluzkę, wielkie, słone, przezroczyste krople.

*Jeszcze chwila i weźmiesz się w garść*, pomyślałam, lecz one płynęły nadal, jakbym chciała wylać je z siebie wszystkie, do końca, by już nigdy więcej nie płakać.

Zrzuciłam z siebie ubranie, weszłam do wanny i odkręciłam kurek. Zanurzyłam w zimnej wodzie twarz i włosy, na całym ciele poczułam mrowienie lodowatych igieł. Siedziałam tak przez chwilę, obserwując, jak moja skóra drży i robi się czerwona.

Louis zadzwonił w chwili, gdy wycierałam się szorstkim ręcznikiem, który znalazłam w szafce o zapachu zwietrzałej lawendy. Zaczął po francusku, przeszedł na polski, by ponownie wrócić do francuskiego. Zawsze rozmawialiśmy językowym koktajlem, czasem wtrącaliśmy angielskie słowa.

– Przepraszam, miałem operację. Wszystko w porządku?

– Dziadek... Zasnął. Jest po wszystkim.

– Nie.

– Niestety. Znalazłam go.

– Ale... jak to, co się stało?

– Nie wiem. Przyjechałam, a on nie oddychał. Wiesz... on siedzi w fotelu.

– Boże... Zmarł w fotelu?

– Tak.

– Jak się czujesz?

– Jakbym spadała. Nie mogę się zatrzymać. Jeszcze do mnie nie dotarło, że to prawda.

– Szkoda, że nie mogę być przy tobie i cię przytulić.

– I jeszcze mama przeze mnie płakała.

– Za dużo przeżyć, kochanie. Połóż się, spróbuj zasnąć. Obiecuj.

– Tak, dobrze, obiecuję.

- Wiesz, to się wydaje niemożliwe. Jestem w szoku, nie wiem, co powiedzieć.
- Nie mówmy nic, po prostu przyjedź, bądź.
- Przyjadę jak najszybciej. Chcę ci pomóc. Na pewno przed pogrzebem będzie mnóstwo spraw do załatwienia.

Gdy trochę ochłonął, zaczął mnie uspokajać. Starał się mówić zdecydowanie i spokojnie, ale dobrze go znałam i wiedziałam, że to mały spektakl na mój użytek. W trudnych sytuacjach zawsze starał się zachować zimną krew. Wymusił na mnie obietnicę, że natychmiast położę się do łóżka i spróbuję zasnąć. Obiecał przyjechać za dwa dni. Marzyłam, by zjawił się teraz, za chwilę.

Tej nocy leżałam w swoim dawnym łóżku przy zaświeconej nocnej lampce, z naciągniętym po szyję pledem. Rozmyślałam o dziadku, który wyślizgnął się życiu. Dziękowałam mu za wszystko, co mi dał. Trudno mi było uwierzyć, że nie ma go już wśród żywych, nigdy się do mnie nie uśmiechnie i nie powie: „Witaj, księżniczko”. Zasnęłam dopiero nad ranem. Śnił mi się wiatr, huragan, który łamał drzewa jak zapałki, miasteczko zamienił w gruz. Nad powierzchnią ziemi wznosił się tylko nasz dom. Siedziałam na dachu wpatrzona w zrównany z ziemią krajobraz rozciągający się aż po horyzont i czułam powiew, który zniszczył wszystko wokół, a mnie i dom z niewiadomych powodów ocalił.

Inne? Jak to inne? Miałam wtedy chyba dziesięć lat, od zerkania w lusterko bardziej interesowało mnie wspinanie się na drzewa, nie zastanawiałam się, w jakim stopniu jesteśmy do siebie podobne i czy jedna z nas jest ładniejsza od drugiej. Babcia to babcia, mama to mama, a ja to ja.

Przewoźnik Jakub Malik miał inne zdanie.

– Trzy piękne kobiety. Ale takie niepodobne do siebie. Z jednej rodziny, a całkiem inne – pokręcił głową i przyglądał się nam przez chwilę, po czym zamachnął się wiosłem, aż ptaki poderwały się z brzegu i poniosły wrzask. Wsiadliśmy do łodzi, mama, babcia i ja. Przewoźnik trochę marudził, że ma zacząć padać i będzie burza, zerkał na nas spode łba. Z oddali usłyszeliśmy grzmot.

– Po co kobietom płynąć w taką pogodę do miasteczka? Poza tym trzeba uważać na kłusownika.

– Niech Jakub nie komentuje, tylko nas przewiezie – zarządziła stanowczym tonem Klara. – A ten kłusownik już został złapany. Na szczęście.

– Ach, tak. Ale... z całym szacunkiem, nie mogę być odpowiedzialny za to, że łódź się przewróci i panie utoną.

– Dobrze, w razie czego utonę na własną odpowiedzialność, panie Jakubie – Klara była niewzruszona. – A teraz popłynijmy już, proszę. Przecież pana łódź jest najlepszą i najszybszą łodzią na świecie.

– Ale nie mogę przewozić trzech osób naraz.

– Pan przecież może wszystko!

– Z panią nie wygram – westchnął Jakub, zakasał rękawy i zwrócił się też do Laury i do mnie: – Z paniami pewnie też nie...

– Tak, bo w tym jednym jesteśmy takie same – zaśmiała się Laura – a poza tym, jak pan powiedział, choć z jednej rodziny, jesteśmy całkiem inne.

Teraz przypominałam sobie tamtą chwilę, czekając w przystani na przewoźnika Jakuba. Chciałam popłynąć z panem Jakubem na drugą stronę, do miasteczka. Na stację kolejową, dokąd miał przyjechać z Warszawy Louis. Przypominałam sobie, że o Klarze rzeczywiście zawsze mówiono, że jest kopią swojej matki Melanii. Laura w niczym jej nie przypominała, była za to podobna do swojego ojca, dziadka

Alberta. A ja? Sama nie wiem. Rodzina i znajomi żartowali, że jestem niepodobna do nikogo.

Przystań była nieduża. Kilka łodzi przycumowanych do brzegu. Szopa do ich przechowywania w srogie zimy. I dom, a właściwie domek, stary, opuszczony, który Jakub Malik wyremontował i w którym zamieszkał. Był wysokim, starszym, ale wciąż przystojnym, dobrze zbudowanym mężczyzną, ogorzałym od słońca i wiatru. Miał szpakowate włosy, ręce zniszczone od pracy i trochę smutną twarz, ale niepozobawioną serdeczności i ciepła. Miał powodzenie, podobał się kobietom, lecz nikt nigdy go z żadną nie widział. Był zamknięty i tajemniczy. Wśród mieszkańców miasteczka krążyła opowieść, że wiele lat temu mieszkał daleko stąd. Odeszła od niego żona, co było dla niego ciosem, z którego do końca się nie podniósł. Pewnego dnia dom rodzinny przepisał na syna, a sam odnalazł skromne szczęście w maleńkim domku na wyspie. Ile w tej historii było prawdy, tego nie wiedział nikt. Dla ludzi był szyprem od zawsze, wrósł w to miejsce do tego stopnia, że krajobraz nad kanałem kojarzył się przede wszystkim z nim. Ludzie przeprawiali się na wyspę, na grzyby do lasu, niedzielne spacer. Pan Jakub najwięcej pracy przy przewożeniu ludzi łodziami miał w weekendy, w tygodniu zatrudniał się do pomocy w sklepie albo do prac remontowych.

Zaskoczył mnie, bo gdy dotarłam do przystani, wyszedł przed dom. Zwykle trzeba było go wołać, odrywał się od swoich prac albo nie odpowiadał, bo był akurat w miasteczku. A że nie miał telefonu, nie można się było do niego dodzwonić.

– Dzień dobry, pani Leno.

– Dzień dobry. Jest pan, to dobrze.

– A tak. Dzisiaj mam wolne od wszystkiego – uśmiechnął się. – Z wyjątkiem jednego kursu. Tego najprzyjemniejszego. Kursu z panią.

– Świetnie. Ale jeśli chce pan mieć rzeczywiście wolne, pójdę przez most.

– Przecież wiem, że pani woli popłynąć łodzią, dobrze znam moje stałe klientki – spojrzał pogodnie. – Poza tym na ten most trzeba uważać, wymaga remontu. Nie tak dawno pod panią Mirską załamała się deska, kobieta o mało nie wpadła do wody, na szczęście wszystko skończyło się na tym, że z nurtem rzeki popłynął jej but.

Wskoczyłam do łodzi, słońce prażyło, założyłam ciemne okulary, nabrałam powietrza w płuca. Wiatr całkiem ustał, pogoda nagle zmieniła się na letnią, jakby tam, na górze, ktoś bawił się powietrzem, dozował słońce i wiatr.

– Jak się żyje? – zwróciłam się do pana Jakuba.

– A dziękuję. Zdrowie dopisuje, na brak pracy też nie narzekam. Dzisiaj przyszły pod dom sarny. I pani przyjechała.

– Sarny... Trochę się za nimi stęskniłam.

– O tak, wiem, że pani kocha zwierzęta. I pani Laura też. Dobrze pamiętam, jak wieźliśmy do lekarza waszego psa.

– Tak, to była Joy.

Wspomnienie ukochanej psiny zawsze sprawiało, że znów czułam się bezradną dziewczynką, której umarła jedna z najbliższych istot na świecie. Dziewczynką, która nie wie, co z tą rozpaczą zrobić, bo wciąż widzi swoją Joy, ale nie może jej nawet dotknąć, bo dzieli je niewidzialna szyba.

– Ostatnio nie najlepiej dzieje się w Starej Skale – zagadał pan Jakub. – Znów grasuje.

– Kto?

– Kłusownik. Albo, jak kto woli, myśliwy. Jeden i drugi zabija.

W tej samej chwili ptaki podniosły wrzask, podobnie jak tamtego dnia, gdy byliśmy tu z mamą i babcią. Tym razem też zaczęło się zbierać na burzę. Pan Jakub spojrział w niebo i machnął mocniej wiosłem.

– Tak, tak... Kłusownik – pokiwał głową. – Znalazłem w lesie nieżywą sarnę. Ktoś ją zastrzelił. Pewnie dlatego ptaki znów wariują.

– Jak to? U nas ktoś zabił sarnę?

– No tak. Przyjechała policja, szukają teraz tego, kto to zrobił.

– Mam nadzieję, że szybko go znajdą.

Włożyłam dłoń do wody, poczułam krystaliczne zimno. Trawy zarastały dno kanału. Wśród nich sunęły drobne ryby. Myślałam o zabitej sarnie. Ta wiadomość mnie zasmuciła.

– Ja też mam taką nadzieję, temu bandycie należy się kara. Gdyby tylko wpadł w moje ręce.... przysięgam, miałby za swoje... – tu przewoźnik wykonał gest pokazujący, co czekałoby z jego rąk oprawcę saren, i złapał wiosło, które o mały włos wpadłoby do rzeki.

Drzewa nagle znieruchomiały. Powietrze było gęste. Stało. Nie było wiatru.

– Oho, coś się szykuje. Obyśmy tylko zdążyli wrócić – zauważył Jakub, wiosłując coraz szybciej.

Pomyślałam, że muszę zdążyć przepłynąć na drugą stronę, odebrać Louisa i wrócić razem z nim, zanim nadejdzie burza. Kamienne schodki, częściowo pokryte mchem, były coraz bliżej. Pamiętały mnie małą, gdy stawałam na nich boso, wypatrując łódki, a obok stały babcia Klara, która wtedy, a właściwie nigdy, nie wyglądała na babcię, i moja matka Laura w bujnym kobiecym rozkwicie, od której Jakub Malik nie odrywał wzroku. Często przewoził je do miasteczka. Babcia w tamtych latach prowadziła wraz z dziadkiem salon jubilerski. Zapamiętałam, że tamtego dnia poszłyśmy wszystkie trzy do salonu. Podczas gdy Klara oglądała nową dostawę kolczyków i podpisywała rachunki, moja matka przymierzała biżuterię i długo przeglądała się w lustrze.

– A wracając do tego kłusownika, to trzeba zachować czujność – głos pana Jakuba wyrwał mnie z zamyślenia. – Gdyby pani coś zauważyła albo czegoś potrzebowała,

jestem tutaj.

– Tak, dziękuję – chwyciłam jego rękę, którą podał, gdy wychodziłam z łodzi na brzeg. – Będzie pan tutaj za pół godziny?

– Będę – przytaknął i w tej samej sekundzie spojrział w niebo. – Chyba że rozpęta się nawałnica, wtedy wrócę do domu, a pani przeczeka burzę w miasteczku.

Miałam już odejść. Odwróciłam się i spojrzałam na poczciwego, dobrego przewoźnika. Uśmiechał się.

– Panie Jakubie, zmarł mój dziadek.

W jednej chwili jego twarz się zmieniła. Poblądł. Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Proszę wybaczyć... ale to aż nie do uwierzenia. Jeszcze niedawno byłem u pana Alberta. Zaglądałem do niego, prosił mnie o zakupy, gdy Eliza była chora.

– Dziękuję, że pomagał pan dziadkowi.

– Drobiazg, nie ma o czym mówić. Pamiętam, jak na początku lata cieszył się z kwiatów, które zakwitły. Akurat przyszedłem i znalazłem się wśród wielkich pąków, pod którymi uginały się krzaki.

– Rododendrony.

– O, tak. Pan Albert miał taką szczęśliwą twarz. Ale nie radził sobie z utrzymaniem ogrodu. Tam wszystko rosło, jak chciało – zamilkł na chwilę. – To nie może być prawda, że on nie żyje.

– Ja też nie mogę uwierzyć, panie Jakubie – powiedziałam cicho.

Biegłam na stację aleją, która wiła się jak wąż, miejscami tak wąską, że korony drzew splatały się, tworząc złote sklepienie. Jakże odległy wydawał mi się czas, kiedy wszystko było jasne i proste.

W mgnieniu oka świat dokoła pociemniał. Grzmot uderzył tak mocno, jakby roztrzaskało się niebo.

Byłam pewna, że gdyby Albert Wroński miał wybór, wcale nie spocząłby pod wiekiem trumny, tylko chciałby, aby jego prochy zostały rozsypane w lesie. Ponieważ nie zostawił żadnych zapisków, ostatniej woli, jego ciało leżało w skrzyni w kolorze wiśni na wysoki połysk, a jego dłonie zostały splecione w okolicy serca. Wiedział jednak i wszyscy też wiedzieli, że nie może zostać pochowany inaczej. W rodzinnym grobowcu czekała na niego ukochana żona Klara.

Kiedy leżał w kaplicy z zamkniętymi oczami i zastygłą twarzą, najdziwniejsze było to, że gdy patrzyło się na niego pod odpowiednim kątem, można było odnieść wrażenie, że spogląda spod przymkniętych powiek i uśmiecha się do świata, jego porządku i tego, co nieuchronne. Gdy podchodziło się bliżej, było widać czarno na białym, że jego powieki są zamknięte.

Przeszło mi przez myśl, że być może ludzie powinni odchodzić niezauważenie. Byli i nagle nie ma. Bez bólu, ceremonii, płaczu i pożegnań. Czy byłoby łatwiej? Może jednak wszystko jest tak urządzone, by człowiek dotknął śmierci, poczuł jej oddech. A po chwili ulgę, że ten, który był, w trumnie wygląda niemal tak jak za życia.

Niektórzy po śmierci bliskiej osoby likwidują jej pokój, wynoszą meble, pakują do kartonów osobiste przedmioty i ubrania, rozdają biednym suknie i koszule, tak jakby chcieli zresetować całe jej życie. W pierwszym odruchu wydaje im się, że tak będzie lżej, życie potoczy się dalej, wpychając zmarłych w miejsca odległe i zapomniane. Czasem rzeczywiście to pomaga. Na jakiś czas. Lecz potem ze zdwojoną siłą uderza tęsknota za tamtą suknią w groszki, za niebieską koszulą, które wynieśliśmy z szafy, by w ich miejsce powiesić coś innego.

Na ceremonię pożegnania przyszło całe miasteczko. Były kwiaty, wieńce, znicze, ziemia rzucona na wieko trumny. Każdy chciał zobaczyć, jak wygląda ten, który przez całe życie był mocny jak wielkie drzewo, a teraz wyrwano go z korzeniami. Albert Wroński. Człowiek znikąd. Jego trumna tonęła w kwiatkach.

Ludzie nie zapomnieli. Zawsze pomagał, widział więcej, wyciągał rękę do człowieka, na którego inni nie zwróciliby uwagi.

„Klaro, dzisiaj będzie u nas gość”, wołał od furtki, prowadząc na obiad jakiegoś biedaka. Niejednemu wsunął do kieszeni grosz.



Był omnibusem. Dobry ze stolarstwa i obznajomiony z literaturą. Potrafił porąbać drewno, zrzucić węgiel do kotłowni, naprawić kran i starą dętkę, a przy tym rozprawiać na tematy z zakresu filozofii, historii, przyszłości świata i z finezją czytać wiersze.

Gdy myślałam o nim, miałam wrażenie, że mój dziadek niczym legendarny i tajemniczy hrabia de Saint-Germain przybył z przeszłości albo przyszłości, był człowiekiem epoki renesansu albo kimś, kto zna inne wymiary. Czasem zachowywał się tak, jakby rzeczywiście je znał.

Z opowiadań rodzinnych wiedziałam, że pewnego dnia pojawił się w Starej Skale. Nie miał niczego. Rodziny, zdjęć, pamiątek, nawet jednego drobiazgu. Nie miał rodzinnych grobów, na które mógłby pójść. O jego przeszłości wiadomo było niewiele. Pytany o to, gdzie mieszkał, jak wyglądało jego dzieciństwo i co stało się z rodziną, odpowiadał krótko i zamykał temat.

„Wojna zabrała mi najbliższych”, tak brzmiała jego niezmienna odpowiedź.

Klara z miejsca się w nim zakochała. Łączył chłopięcy urok i poważną dorosłość. Trudno się temu oprzeć. Był małomówny, czasem na jego twarzy pojawiał się mrok. Zawsze w koszuli z długimi rękawami, nawet podczas największego upału. Tajemniczy wędrowiec. Dla romantycznej Klary idealny. Odwzajemnił uczucie, całym sercem pokochał też tutejszych ludzi i ich ziemię. Historię rodziny Leszczyńskich przyjął jak swoją. Zbudował sobie nowy świat. Napisał historię od nowa.

Być może było coś, o czym powiedział tylko Klarze. Być może ona sama się o czymś dowiedziała. Nigdy nie zdradziła się nawet słowem. Albert odzyskał przy niej spokój. Patrzył na nią zawsze tak, jakby widział swoje szczęście. Starał się być wzorem męża, wspierał ją we wszystkim, oddając w jej ręce władzę absolutną, bo w willi pod lasem to kobiety zawsze wiodły prym. Było w nich coś wzruszającego. Przeżyli razem dni, gdy słońce paliło zbyt mocno i takie, gdy za mocno padał deszcz. Przetrwali.

Klara umarła zimą. Śnieg tworzył zasy i skrzypiał pod butami, kiedy szli za trumną. Dla Alberta wraz z nią bezpowrotnie odeszło najlepsze, co miał. Nie wrócił do siebie. Żył wspomnieniami, uprawiał ogród, warzywa, owoce, kwiaty. Zawsze był małomówny, ale gdy został sam, zamknął się jeszcze bardziej. Żył jak pustelnik. Myśląc o dziadkach, uśmiechałam się z czułością, że jednak są pary, które Kochają się przez całe życie. Mają dla siebie nielimitowaną ilość szacunku i uczuć, oboje starzy, pomarszczeni, chorzy i wpatrzeni w siebie jak w obraz. Bo gdy jest miłość, wszystko inne nie ma znaczenia.

W dniu, w którym spoczął obok niej, wiatr nagle ucichł, nad rodzinnym grobowcem wyszło słońce.

Zarówno ja, jak i mama zdawałyśmy sobie sprawę, że ze względu na jego postać i całą rodzinę Leszczyńskich, która stała się symbolem miasta, nie unikniemy na pogrzebie ciekawskich spojrzeń.

Willa pod lasem zawsze była ostoją, od samego początku, od roku tysiąc dziewięćset dziesiątego, kiedy Eleonora i Tomasz Leszczyńscy przyjechali tu z Warszawy wybudować dom, początkowo służący za letnisko, z czasem za dom całoroczny, i szybko stali się miejscowymi aniołami. Podczas obu wojen światowych ukrywali z narażeniem życia ludzi, pomagali uciekinierom, opatrywali wojenne rany. Po nich nastali Melania i Jerzy. Potem Klara i Albert. Ten ostatni bezgranicznie szczęśliwy, że po miesiącach beznadziei i tułaczki trafił do takiej rodziny, odnalazł swój cel, drogę za zakrętem, którą chciał podążać już do samego końca.

Przed laty wokół mamy i mnie wybuchł skandal. Rozwód, zwłaszcza w tak zacnej rodzinie, w jakiej małżeństwa zawierało się na całe życie, był nie do wybaczenia. Kobiety w miasteczku pilnowały swoich gniazd, a mężczyźni nie odchodzili, dopuszczali się jedynie cichych zdrad. Siedemnaście lat temu cała okolica huczała od plotek, tygodniami snuła swoją nić. Małe miasteczka mają bystre oko i wielkie ucho. Łowią, co się da, chcą wiedzieć o wszystkich wszystko. Prawdę zamieniają na plotki. Plotki na prawdę.

Te wszystkie myśli przychodziły mi do głowy, gdy stałam przy grobie dziadka, mając po lewej stronie Laurę, po prawej Louisa, którego trzymałam pod ramię. Zastanawiałam się, czy gdzieś wśród ludzi jest ojciec. Miałam nadzieję, że przyjechał przez wzgląd na Alberta, który przed laty przyjął go pod swój dach i traktował jak syna.

Kondolencjom nie było końca. Składali je dawni znajomi, moje nauczycielki ze szkoły, matki szkolnych koleżanek, sprzedawcy z rynku i sklepików, burmistrz i władze miasta. Pani Eliza Berg przytuliła mnie, ocierając oczy chustką.

– Gdybym wiedziała, że tak się stanie, zabrałabym pana Alberta do siebie – powiedziała załamany głosem.

Jako ostatni zbliżył się do nas mężczyzna. Od początku wydał mi się znajomy.

– Wiele zawdzięczam panu Albertowi – przemówił uroczyście i tajemniczo. – Właściwie wszystko. Bo pan Albert uratował mi kiedyś życie. Dziękuję.

Odszedł, a ja usiłowałam sobie przypomnieć, skąd go znam, gdzie go widziałam, w jakich okolicznościach. Miał wrażliwą i trochę mroczną twarz, jak ostatni romantyk jakimś cudem uchowany do naszych czasów. Gdyby można było zamienić jego ciemną, sportową kurtkę na surdut, a włosy zaczesać bardziej do tyłu, można by pomyśleć, że przybył z dalekiej przeszłości, pełnej niepokoju i mroku, niczym odrodzony Cyprian Kamil Norwid, by pisać współczesne *Czasy skończone*.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Nie wiadomo, kogo miał na myśli, tajemniczego mężczyznę czy siebie. Nigdy nie wiedział, co powiedzieć w sytuacjach, które go przerastały. Mówił więc coś bez związku albo silił się na żarty, które nikogo nie śmieszyły.

Robert Rey. Mój ociec.

Wyrósł jak spod ziemi i patrzył mi w oczy. Zauważyłam, że przybyło mu zmarszczek, a jego włosy posiwiały. Podał mi rękę i zrobił gest, jakby chciał mnie przytulić. Wyszło niezgrabnie, jak zawsze. Zbliżył się do Laury. Złożył wyrazy współczucia, powiedział kilka miłych zdań o Albercie. Na końcu przywitał się z Louisem.

– Co u ciebie, Leno? – wyrwał mnie z zamyślenia.

Wychodziliśmy z cmentarza, szedł tuż przy mnie, Louis dyskretnie odszedł kilka metrów dalej i dotrzymywał towarzystwa Laurze. Zawsze wiedział, jak się zachować.

– Wszystko w porządku – odparłam głupio, nie wiedząc, co właściwie mam powiedzieć.

Przystanęliśmy za bramą. Odwróciłam się, spojrzałam w kierunku rodzinnego grobu. Kilku mężczyzn z zakładu pogrzebowego zasypywało trumnę dziadka ziemią.

Szliśmy dalej w milczeniu. Przed sobą widziałam plecy matki i męża. O czymś rozmawiali. Nagle się zatrzymali. Louis poszedł w kierunku samochodu, a Laura zwróciła się do Roberta:

– Jedziemy do domu. Może wstąpisz na kawę?

Spojrzałam na matkę zaskoczona. Laura była piękna i chłodno miła. Chyba właśnie to chciała pokazać – że może znaleźć się z nim w domu pełnym wspólnych wspomnień i unosić się ponad tym, mimo że kiedyś ją zostawił. Że już jej to nie dotyka, nie boli, stało się obojętne, a ona od dawna nie jest uzależniona od jego gestów, dotyku, zapachu perfum. A może po prostu uznała, że trzeba uczcić pamięć jej ojca choćby wspólną kawą. Kiedyś przecież byli rodziną.

Zawahał się. Na jego twarzy malował się cień tęsknoty.

– Dziękuję. Z chęcią, ale... muszę już jechać.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Laura wyciągnęła do niego dłoń. Przytrzymał ją jak coś, co miał i bezpowrotnie stracił.

– Chcę, żebyś wiedziała, że Albert był mi bardzo bliski – powiedział ledwie słyszalnie, a mnie się wydało, że załamał mu się głos. – Kochałem go, był kimś więcej niż ojciec. To tak, jakby odeszła cała epoka.

Odjechał swoim autem, a ja patrzyłam za nim, myśląc, że nigdy nie wrócą do Starej Skąły razem, to było pewne. Chociaż babcia Klara mawiała, że kiedy wybierzesz nadzieję, wszystko jest możliwe, w tym przypadku nie miałam złudzeń. Przyjęłam to do wiadomości dawno temu, lecz nigdy się z tym nie pogodziłam.

Była ósma rano, pachniało kawą, siedziałam przy stole w salonie. Wpatrywałam się w fotografię stojącą na komodzie, na której Klara i Albert siedzą nad brzegiem rzeki i wyglądają, jakby w księżycowej poświacie wyznawali sobie miłość. Zawsze gdy patrzyłam na to zdjęcie, myślałam o miłości. Wielcy ludzie poświęcili jej swoje dzieła, powieści, obrazy, utwory muzyczne, poematy. Jedni jej szukają, inni ją tracą. Czasem trwa całe życie, czasem gaśnie. Kiedyś wydawało mi się, że wiem o niej więcej niż ktokolwiek inny. Napisałam o niej kilka tekstów, z których nawet byłam zadowolona. Uświadomiłam sobie jednak, że tak naprawdę nie potrafię jej zdefiniować. Przeczytałam gdzieś, że miłość sprowadza się do dłoni drugiego człowieka, jego dotyku, bliskości i może być tak wielka, że się jej nie udzwignie.

Myślałam o rodzicach. O tym, że zobaczyłam ich po raz pierwszy razem od dawna. Matka, malarka, pisarka, szalona artystka, i ojciec, dziennikarz podróżnik, artysta innego wymiaru, bardziej poukładany. Zmienili się. Choć ona nadal była piękna, a on piekielnie przystojny.

Ich twarze nie zmieniały się tylko na fotografiach w rodzinnym albumie. Na ostatniej, ciemnej, sztywnej karcie było wklejone ich ostatnie wspólne zdjęcie. Pstryknęłam je, gdy stali na tarasie, rozmawiali, a pod nogami plątała im się Joy. Nie ma jej na zdjęciu, uciekła w ostatniej chwili. Tata gestykulował, mama coś mówiła. Na zdjęciu wyglądali jak zatrzymani w pół słowa. Ta fotografia zamykała album, podobnie jak zamknęło się ich wspólne życie.

Nie mieli więcej zdjęć. Ten kadr był ich ostatnim. Jakby przestali istnieć, umarli.

Może stało się to wtedy, gdy ojciec postanowił odejść i wyszedł drzwiami, w których zawsze stawał, gdy wracał z podróży, całował mamę, mnie, psa, i wypełniało go szczęście. Za każdym razem nie mogłam się go doczekać, wypatrywałam w oknie taksówki, zbiegałam po schodach, by rzucić mu się na szyję. Tata otwierał torby pachnące odległymi krajami i niczym magik wyjmował podarunki dla wszystkich. Najbardziej lubiłam czekoladki w pięknie zapakowanych pudełkach i szeleszczące, różnokolorowe papierki, które po zjedzeniu wszystkich czekoladek pieczołowicie składałam w pudełku.

A może rodzice umarli w dniu, kiedy bardzo się pokłócili, mama ciągle płakała, a tata nie chciał jej wyjaśnić, gdzie był.

– Laura, daj spokój... proszę – pocierał dłonią czoło.

– Nie. Wyłumacz mi – mama stała przed nim, patrząc mu w oczy, a on wiedział, że jeśli zostanie z nią chwilę dłużej, pograży się do końca. Mama, widząc, że odwrócił się, by odejść, odruchowo chwyciła go za rękę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Zawahał się. Po czym zdjął jej dłoń ze swojej.

– Przekraczasz granicę, Lauro. Nie widzisz tego?

Obserwowałam tę scenę przez uchylone drzwi. Nie mogłam uwierzyć. Patrzyłam na niego i wydawało mi się, że widzę go pierwszy raz. Przed moją matką stał całkiem obcy człowiek, który kiedyś, w epoce plejstocenu, mówił, że ją kocha, a teraz robił wszystko, by ją zniechęcić.

Może stało się to innego dnia, kiedy tata powiedział mi, że jego miłość do mamy się skończyła i on nie może już tak dłużej żyć. Prosiłam go: „Tato, zostań”. Byłam jak drżąca trzcina, moje serce wisiało na cienkiej nitce. Nie kocha? Jak to? Połykałam łzy. „Pamiętaj, odchodzę od niej, ale nie od ciebie”, powiedział na pożegnanie. Nie, tato, zostawiłeś także mnie.

Być może stało się to dużo wcześniej, kiedy sami jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy.

Ale na pewno nie stało się to wtedy, gdy stojąc na palcach, podglądałam ich przez dziurkę od klucza.

Miałam kilka lat, usta pomalowałam czerwoną pomadką, którą wykradłam z kosmetyczki mamy, i tańczyłam na korytarzu przed lustrem w jej sukni i szpilkach. Z pokoju rodziców dobiegała muzyka. Podeszłam do drzwi. Rodzice tańczyli przytuleni do *Black Coffee* Elli Fitzgerald. Nie odrywali od siebie twarzy i rąk. Muzyka przestała grać, płyta się skończyła, a oni tańczyli nadal, poza czasem, poza wszystkim. Nad ich głowami unosiły się kwiaty, fruwały motyle, jeden usiadł na włosach mamy. Wydała mi się najpiękniejszą kobietą na świecie, boso, w małej czarnej, z rozrzuconymi na ramionach włosami. To była najpiękniejsza scena miłosna, jaką dane mi było w życiu zobaczyć.

Tamtego dnia rodzice żyli.

Kiedy umarli, w domu zapanowały mrok i chłód. Poczułam się beznadziejna i niewarta uwagi. Złamana.

Ojciec nauczył mnie wszystkiego o tym, kim jestem, a teraz jego słowa straciły swoją moc.

Gdybym była młodsza, pewnie napisałabym do niego list: *Kochany tato, przesyłam ci rysunek: kwiatki i misia.*

Miałam jednak siedemnaście lat.

Zerwałam wtedy z Piotrem, pierwszym chłopakiem, nie umiałam z nim być. Nie potrafiłam dawać i brać. Coś się we mnie zmieniło. Czułam się gorsza, jakbym nie zasługiwała na miłość, wszystko wydawało mi się sztuczne i oszukane.

Minęło tyle lat, nauczyłam się z tym żyć, a właściwie obchodzić temat, omijać, nie dotykać. Kiedy pojawiał się ojciec, czy to w moich myślach, czy realnie, zawsze stawałam się małą dziewczynką i nastolatką, miałam przed oczami czas dobry i czas zły.

Na początku do nas przyjeżdżał. Podczas wizyt wydawało mi się, że on się męczy i ciągnie go gdzie indziej. Byłam przekonana, że ani ja, ani matka nie jesteśmy tak interesujące jak to, co miał tam, w nowym domu nad morzem. Czułam, że on już nie chce tu być i sam nie wie, po co przyjeżdża. Wszyscy to tolerowali, mieli nadzieję, że opamięta się i wróci. Babcia Klara gotowała obiady. Jedynie dziadek Albert patrzył surowo i zawsze ostentacyjnie wychodził do lasu. Po jakimś czasie Robert Rey przestał przyjeżdżać. Laura znalazła w skrzynce na listy pozew rozwodowy. Usłyszałam przez uchylone drzwi, jak zdenerwowana mówi babci Klarze, że Robert spodziewa się syna.

Czułam się z tym dziwnie, jak nie jego córka. Pomyślałam, że jego przyjazdy nie były powodowane tęsknotą, tylko poczuciem obowiązku, jakie sobie narzucił, a wszystko, co rodzice przeżyli razem przedtem, było jedną wielką uludą.

Mamę dopadała wtedy depresja. Bywały dni, gdy spała po kilkanaście godzin na dobę. Mówiła Klarze, że czuje się, jakby cały świat szczęśliwie płynął obok niej, odbywało się w nim wielkie, nieustające przyjęcie, na którym są wszyscy, tylko nie ona. Nie wychodziła z domu, snuła się czasem w ogrodzie, siedziała na tarasie z książką, ale jej nie czytała.

W końcu przyszedł dzień, kiedy Laura rano wstała odmieniona. Jakby egzystencjalna żałoba po utracie sensu życia nagle z niej wyparowała. Usiadła na brzegu łóżka, zawołała mnie i oznajmiła, że musimy wyjechać do Warszawy.

– Co robisz? – Louis wyrwał mnie z zamyślenia. Stał za mną i zerknął mi przez ramię na zdjęcie.

– Przestraszyłeś mnie – podskoczyłam. – Kiedy wszedłeś?

– Przed chwilą, ale wcześniej obserwowałem cię z ukrycia – szepnął mi do ucha i pocałował mnie w szyję. Miał na sobie piżamę i szlafrok, owinał się nim szczelniej. Zawsze gdy przyjeżdżał do domu w Starej Skale, było mu zimno i palił w kominku.

– Niedobry – uśmiechnęłam się.

– Masz rację, jak zawsze – chwycił mnie za rękę i poprowadził na górę, do mojego pokoju, gdzie zwykle spaliśmy, gdy przyjeżdżaliśmy tutaj razem.

To był siódmy i ostatni dzień pobytu Louisa w Starej Skale. Po południu miał wyruszyć taksówką na lotnisko do Warszawy, na wieczorny samolot do Paryża.

Wiedziałam, że Louis życzyłby sobie, bym poleciała razem z nim do miasta, które pokochałam i gdzie dobrze się czułam. Wiedziałam też, że nie mogę tak od razu

wyjechać, powinnam zostać dłużej w domu rodzinnym, pomóc mamie przetrwać trudny czas. I najzwyczajniej w świecie chciałam zostać. Rozumiał to i szanował.

– Sam też chętnie bym został, zwolnił tempo, na jakiś czas schował się na tym odludziu, końcu świata – westchnął. – Muszę jednak wracać, sama wiesz. A kiedy ty przyjedziesz?

– Nie wiem, niedługo – odparłam, myśląc, że jaka to różnica, przecież jego i tak nie ma całymi dniami.

Całował mnie mocno i długo, jakby chciał zostawić cząstkę siebie i uczucia na te dni, kiedy będę tu bez niego, a on miał mnie nie zobaczyć. Byłam tym zaskoczona, takiej namiętności nie czułam z jego strony od dawna. Czułość i bliskość były mi teraz bardzo potrzebne, pragnęłam ich i Louis to świetnie wyczuwał. Ale jednocześnie nie mogłam się im w pełni oddać.

Louis był wspaniałym mężczyzną. Gdy wychodziłam za niego za męża, znienawidziły mnie za to wszystkie jego koleżanki. Wciąż mnie pociągał, jego pocałunki i dotyk nadal sprawiały mi przyjemność, choć to były już inne emocje i doznania niż kiedyś. Czasem miałam wrażenie, że Louis po godzinach spędzonych w szpitalu szuka sposobu na odreagowanie i wybiera między szklanką whisky a seksem. Może inna kobieta nie zwróciłaby na to uwagi i może ja też nie powinnam, ale dotykało mnie to. Jednocześnie lubiłam jego wargi na swoim ciele, zaborcze i pożądlive, potrafiące mocno zrzucić mnie w cudowną otchłań. Poddawałam się im, a one nakrywały mnie coraz silniejszą falą i już mi nie przeszkadzało, że za ich pomocą Louis okazuje nie tylko swoje uwielbienie, lecz także przewagę. Zawsze tak się zachowywał, jakby chciał zademonstrować, że w pełnym zachwyty miłosnym akcie to on gra pierwsze skrzypce.

– Rozluźnij się – szepnął wprost do moich ust, czułam jego przyspieszony oddech, dłonie zaczynające zgłębiać tajemnice mojego ciała.

Odchyliłam głowę. Mocno mnie obejmował, szeptał to, co lubiłam słyszeć, lecz tym razem moje ciało nie odpowiadało na żadne jego sygnały.

– Louis, przepraszam.

Przesunął palcem po mojej szyi. Lecz ja nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii, a ciało było pozbawione pasji. Musiał zobaczyć to w mych oczach, bo pocałował mnie w czoło i położył się na plecach obok mnie. Złożył to na karb ostatnich dni i przeżyć, tak to sobie głośno wytłumaczył, ale przyznał też, że już od pewnego czasu odbiera ode mnie sprzeczne komunikaty i łudzi się, że tylko tak mu się wydaje.

– Wszystko w porządku? – zapytał, gdy byliśmy już w kuchni i smażył jajecznicę.

– Tak – podeszłam do niego, popatrzyłam mu w oczy i cmoknęłam go w usta. – Potrzebuję tylko trochę czasu.

– Wiem, dobrze – objął mnie w pól i przytulił moją głowę do swojej. Potem pokazał mi wiewiórkę za oknem. Skakała z gałęzi na gałąź, a jej puszysty ogon

kołysał się na wietrze.

Kiedy przyjechał tu pierwszy raz, nie mógł pojąć, że można mieszkać przez całe życie w miejscu, gdzie dzieje się tak niewiele. Na samotnej wyspie, gdzie wiatr hula i opowiada stare historie. Wychowywałam się tu, właściwie nie znając innego życia, więc nigdy nie przyszło mi do głowy, że w tym jest coś, czym można się zdziwić. Dopiero gdy stąd wyjechałam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo życie ludzi w wielkim mieście różni się od tego, jakie wiodłam tutaj. Dla Louisa było niezwykle, że w odległości dwóch kilometrów od domu nie ma sąsiadów, rzadko ktokolwiek tutaj zagląda, bywają całe długie tygodnie, kiedy jedynym człowiekiem, nie licząc ścisłej rodziny, jest podjeżdżający na rowerze listonosz. Żartował, że są tutaj cztery zajęcia do wyboru: można pić, jeść, spać i kochać się bez końca. Wiedział, jak ważny jest dla mnie dąb w ogrodzie i że widok z gałęzi na samej górze w dzieciństwie był dla mnie magią. Zrywał z Albertem orzechy i czereśnie, chodził do lasu na grzyby i wracał uradowany, kiedy udało mu się znaleźć prawdziwka. Podziwiał przyrodę, jej bujność, soczystość zieleni, przebiegające ścieżką lisy i ptaki w karmniku. Na swój sposób pokochał to miejsce. Uważał jednak, że jest znakomite na weekend. Był człowiekiem miasta. Paryża. Kochał jego energię. Anonimowość, pęd, szum. Karmił się tym, żył.

Pochłaniały go praca i jej tempo, wyjazdy na szkolenia i konferencje, skomplikowane operacje, wielka adrenalina. Bez tej ostatniej nie mógł żyć. Kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że nie potrafiłby trwać w spokojnym związku, w którym niewiele się dzieje. Potrzebował ciągłych zmian nastroju i dekoracji. Był szczęśliwy i zarazem zdziwiony, że jest ze mną osiem lat, chociaż jego przyjaciel Marcel wróżył, że nie wytrwa w małżeństwie dłużej niż pół roku. Teraz ten sam Marcel uważał, że Louis wciąż jest z tą samą kobietą tylko dlatego, że namiętnie oddał się pracy. Rzeczywiście, nawet sam Louis, popijając szampana na lekarskim party z okazji nowego, dwa tysiące ósmego roku, powiedział, że szpital jest jego drugim domem, a ja dodałam w myślach, że mam wrażenie, że pierwszym. Piął się po szczeblach kariery, wyznawał zasadę, że nieściganie się z samym sobą jest przestępstwem. Wydawało mi się czasem, że Louis zatrzymuje się na chwilę, by popatrzeć na mnie jak na przedziwną formę istnienia. Żyłam innym rytmem, miałam swoją pracę, lecz nie wynosiłam jej na piedestał, poza nią miałam jeszcze inny świat.

Wspierałam go i doskonale rozumiałam jego pragnienie sukcesu. Wychował się w środowisku, gdzie osiągnięcia stanowiły podstawowe kryterium oceny człowieka. Wiele od siebie wymagał, niczego nie robił na pół gwizdka. Okazywał mi dobroć, odpowiedzialność, czułam się przy nim bezpiecznie. Potrzebowałam go. Czułam jednak, że jego praca oddala nas od siebie.



Bywały dni, kiedy robiłam się podejrzliwa. Zwłaszcza gdy Louis zostawał dłużej w pracy, brał dodatkowy dyżur, wyjeżdżał na konferencje. To ślad po traumie z powodu rozstania rodziców, odejścia ojca do innej kobiety. Bałam się, że ktoś, kogo kocham, skrzywdzi mnie, będzie miał romans, pokocha inną.

Kiedy go poznałam, chciałam wierzyć, że mi się uda, że przy nim zdejmę z siebie dawne zaklęcia. Oswajałam się z bliskością jak dzikie zwierzę. Bywały chwile, kiedy to się udawało. Pojawił się w moim życiu, gdy nie wiedziałam, co dalej. Miałam świetną pracę w redakcji, na zewnątrz byłam otwarta i odważna, ale to była tylko poza, fasada, za którą się chowałam. Doskonale opanowałam sztukę ukrywania uczuć. Żyłam w poczuciu, że wyprowadziłam się z własnego ciała. Bałam się bliskości. Odnosiłam wrażenie, że podążam określną drogą, omijając ważne pytania. Louis był otwarty, odważny, jego poczucie własnej wartości zadziwiało mnie od pierwszej chwili. Nie do końca mnie rozumiał, ale na swój sposób próbował dodać mi siły i wiary w siebie. Pragnęłam wrócić do własnego wnętrza, odzyskać równowagę, którą zagubiłam, poświęcając zbyt wiele energii na wymazywanie części swojego życia. O Louisa oparłam się jak o mocny mur.

Zobaczyłam w nim człowieka, jakiego potrzebowałam: kogoś, kto ma odwagę żyć, sięgać po niemożliwe, kto pogodnie patrzy w przyszłość, ma dystans do siebie i poczucie humoru, rozwiewa wszystkie obawy i lęki. Dokładnie wiedział, czego chce od życia, i całkowicie się temu oddał. Inteligentny, przystojny. Trzy lata starszy. Poznałam go podczas wywiadu z zespołem kardiochirurgów na temat przeszczepów serca. Wśród lekarzy był on. Louis Duval, Francuz z polskimi korzeniami, który przyjechał do Warszawy na sympozjum. Mówił po polsku, trochę niezdarne i z francuskim akcentem.

„Jaki z niego Louis”, żartował dziadek Albert. „To Polak, przecież jego dziadek ze strony matki pochodził spod Poznania”.

– Obiecuj mi coś – powiedział Louis, kiedy pewnego czerwcowego dnia wsunął mi na palec pierścionek z białego złota i poprosił, bym została jego żoną.

Spojrzałam pytająco.

– Że mnie nie zranisz – szepnął mi do ucha i objął tak mocno, że zabrakło mi tchu.  
– I że zawsze będziesz taka cudna.

– Obiecuję. Ale ty też musisz mi obiecać to samo.

Nie miałam złudzeń, że małżeństwo to wieczne sielanka, miłość, radość i szczęście. Pozbyłam się ich już dawno. Gdy myślałam o żonie i mężu, wyobrażałam sobie dwoje ludzi zespolonych w jedność. Rozumiejących, że związek to nie tylko seria uniesień, które prędzej czy później się wypalają, lecz także kompromis, układ, akceptacja czyichś wad. Wtedy odnajduje się skarb.

Wyjechałam z nim do Paryża. Zamieszkałam w jego apartamencie w kamienicy z widokiem na Ogród Luksemburski. Louis miał świetny kontrakt w szpitalu, ja nie

straciłam kontaktu z redakcjami w Polsce, wciąż pisałam reportaże, robiłam wywiady.

Kiedy zaszłam w ciążę, oboje oszaleliśmy z radości. Podczas badania USG lekarz uśmiechnął się serdecznie i pokiwał głową: „Dziewczyna, to będzie dziewczyna, bo buzia się jej nie zamyka”. Oczami wyobraźni widziałam małą istotę, która niebawem stanie się częścią mojego życia, której będę chciała ofiarować wszystko, czego sama nie miałam. Na kartkach zapisywałam imiona, lecz na żadne nie mogłam się zdecydować. Postanowiłam, że wybierzemy je razem z Louisem wtedy, gdy dziewczynka przyjdzie na świat. Zobaczymy ją i będziemy wiedzieć. Szykowaliśmy dla niej pokój. Miał się nim stać gabinet Louisa, z którego i tak nie korzystał. Zamówiliśmy meble i dodatki w sklepie z artykułami dla dzieci. Zachwycalo mnie w nim wszystko.

Dobrze zapamiętałam dzień, kiedy na początku szóstego miesiąca ciąży ginekolog, ten sam, który mówił, że to będzie dziewczynka, podczas badania USG oznajmił, że dziecko jest martwe. Nie zrozumiałam. Nie ogarnęłam. Uśmiechałam się do niego i czekałam na moment, gdy na monitorze pokaże nam córeczkę, główkę, ręce, stopy. Potem prosiłam, by coś zrobił, ożywił dziecko, sprawił, że dziewczynka nagle znów zacznie mówić, dużo mówić, jak poprzednio. Pamiętam swój krzyk. Igłę. Zastrzyk. Histerię. Bledego jak ściana Louisa, który najpierw trzymał mnie mocno, a potem, gdy zrobiłam się trochę bardziej obojętna, zabrał mnie do szpitala. Po drodze tak trzęsły mu się ręce, że nie panował nad kierownicą i niewiele brakowało, by nasz samochód walnął w drzewo.

Po córeczce została mi blizna na brzuchu. Zdjęcia z USG. Pokój, do którego nie byłam w stanie wejść. Mały nagrobek z imieniem Claire – po babci, tylko po francusku. Louis przyjął to z wdzięcznością. Straciłam ją w momencie, gdy miłość do niej okazała się mocniejsza niż lęk o to, by wszystko było dobrze. „Tak się czasem zdarza”, powiedział lekarz, „Jak najszybciej musisz zapomnieć i starać się o kolejne dziecko”. Ale ja nie chciałam nowego dziecka, chciałam tę małą, gadającą dziewczynkę.

Tygodniami nie wychodziłam z domu, pokój dziecka był zamknięty na klucz. Louis wziął na jakiś czas wolne, byliśmy w tym razem. Nie potrafiłam znieść myśli, że moja córeczka jest w ciemności i zimnie, a ja nie mogę nic zrobić, nic na to poradzić.

Przyjechała Laura. Była balsamem. Plastrem. Opatrywała rany.

Obarczałam się winą za to, co się stało. Byłam przekonana, że zrobiłam coś nie tak i zabiłam ją. Nawiedzały mnie koszmary. Pragnęłam być szczęśliwa. Pragnęłam dać szczęście Louisowi. Koszmary jednak były silniejsze, dopadały mnie o różnych porach dnia, zagnieździły się w mojej duszy, ogarnęły moje myśli. Nie mogłam nic poradzić na to, że wszędzie widziałam dziecko, słyszałam głos dziewczynki, która

rosła w mojej głowie, zmieniała się, miała rok, dwa lata, potem trzy i cztery. Mogłabym przysiąc, że ją widzę, że moja córka jest realna. Przypadkowe rzeczy, wspomnienia, słowa sprawiały, że nie umiałam się z tego otrząsnąć.

Przestałam celebrować codzienne czynności. Celebrować posiłki. Cieszyć się życiem. Gdy zaczęłam wychodzić na ulicę, wszędzie widziałam dzieci. Dziewczynki o małych dłoniach i buziach. I ich matki. „Nawet pani nie wie, jakie to szczęście”, powiedziała jednej z nich.

„Błagam, zrób coś”, chwyciłam za ramię Louisa, „chcę ją mieć, chcę, żeby żyła”. Jego ból był równie wielki. Kłóciliśmy się. Wrzeszczałam. Zapadałam się w siebie. „Ja też straciłem dziecko, wiesz?”, mówił z rozpaczą. „Jestem ojcem, też mam uczucia, nie tylko ty”.

Przestaliśmy być dla siebie łagodni, wkradło się między nas napięcie. Bywały dni, kiedy nie mogłam na niego patrzeć. W końcu wrócił do pracy. Ze mną została Laura. Ale marzyłam wyłącznie o tym, by wyjechała, zostawiła mnie w spokoju, tak bardzo chciałam zostać sama.

„Wyjedźmy dokądś, zmieńmy otoczenie, dobrze nam to zrobi”, przekonywał Louis. Nie chciałam, nie widziałam w tym sensu. „To pomieszczenie trzeba przerobić, nie można żyć z pokojem dziecka, które zmarło”, mówił i szlochał, „Dłużej nie dam rady”. Nie pozwoliłam ruszyć nawet jednej rzeczy, którą kupiłam dla niej. Wszystko było nietknięte, leżało w tym samym miejscu i czekało na przybycie dziecka. Sama nie wiem, jak przeżyłam tamten czas.

Pewnego dnia Louis przyszedł i oznajmił, że znalazł nowe mieszkanie w innej dzielnicy Paryża. Nie odezwałam się, tylko dałam się zawieźć do miejsca, gdzie mieliśmy szansę na nowe życie. Przeprowadziliśmy się na Avenue des Champs-Élysées.

Znów zaczęłam pisać. Znów zaczęłam przyjeżdżać do Polski, do dziadka i mamy, sama albo z Louisem. Pojawili się dawni znajomi. Louis wyglądał na szczęśliwego, słysząc mój śmiech. Ale coś bezpowrotnie w nas pękło.

Minęły trzy lata. Louis uważał, że powinniśmy znów starać się o dziecko. Nie byłam na to gotowa i myślałam, że nigdy nie będę. Za bardzo się bałam, że mogę znów stracić małenstwo, a tego po raz drugi bym nie przeżyła.

Wtedy pojawiła się w moim życiu Sophie. Sophie Laurent, która zamieszkała piętro niżej i miała duże oczy jak Amelia, moja pierwsza, jedyna i najlepsza przyjaciółka. Podobno Francuzki są przekonane, że zawsze i wszędzie wyglądają obłudnie. Nieważne, czy zrobiły misterną fryzurę, założyły szpilki i małą czarną, czy dzinsy i stary sweter, a włosy spięły w niedbały kucyk. Są pewne, że w jednym i drugim zestawie prezentują się genialnie, a właściwie równie dobrze wyglądałyby owinięte w worek na śmieci lub gazetę. Nie mają co do tego żadnych wątpliwości, przychodzą na ten świat wyposażone w specjalny rodzaj swobody i bezczelności.

Sophie Laurent nie była wyjątkiem. Dokładnie tak o sobie myślała, ale było w niej też coś ujmującego, miłego, przyjacielskiego. Zaproponowała, że mogą szlifować z nią francuski, ale bardziej niż na języku zależało mi, by Sophie nauczyła mnie pewności siebie.

*La cité de l'amour* przecięte na pół Sekwaną było nasze. Włóczyłyśmy się po Moście Zakochanych i wpadałyśmy do drogich butików na Avenue Montaigne pooglądać ciuchy. Wcinałyśmy croissanty, popijając czekoladą, pod kryształowym żyrandolem w Angelinie na Rue de Rivoli, jednej z najlepszych paryskich cukierni niedaleko Luwru, odwiedzanej niegdyś przez Coco Chanel. Piłyśmy dobre wino i wpadałyśmy w klimat Belle Époque. Wyobrażałam sobie stare poddasza, a w nich pracownie i artystów wciąż tworzących swoje obrazy, uliczki Montmartre'u, zaułki, a w nich Picassa rozprawiającego z van Goghkiem, podczas gdy Salvador Dali pokazywał w oknie najbardziej odlotowe wąsy świata. Podziwiałam Sophie, byłam jej też wdzięczna za paryskie włóczęgi. Bo właśnie podczas nich zachwyciłam się tym miastem i postanowiłam o nim pisać. Sophie sprawiła, że zobaczyłam życie poza tragedią. Pewnego dnia wszystko się skończyło, bo Sophie wyjechała.

– Jak miło! – zawołała od progu Laura. – Na was zawsze dobrze popatrzeć, piękna z was para.

– Dzień dobry, Lauro. Śniadanie gotowe – Louis wykonał szeroki gest ręką. – *Voilà!*

– Jesteście kochani. Chętnie usiądę z wami do porannej kawy, ale potem zajmę się swoimi sprawami, nie będę wam przeszkadzać w ostatnich godzinach przed wyjazdem.

Rozmawialiśmy o Albercie, wspominaliśmy jego siłę i uśmiech. Louis zawsze podziwiał niezłomność dziadka. Zwłaszcza po tragedii, jaką Albert przeżył w młodości, w czasie wojny, bo wszyscy wiedzieliśmy, że stracił rodzinę. W duchu bardzo mu współczułem, że nie ma nawet ich zdjęć i żadnego swojego z tamtych lat. Albert na zdjęciach zaczął się pojawiać dopiero w Starej Skale, jakby przedtem nie istniał.

– To musiało być dla niego straszne. Być kimś bez przeszłości, a właściwie z przeszłością, tylko że żyjącą jedynie w nim. Trudno to sobie wyobrazić.

– Tak, masz rację, Louis – odezwała się Laura. – Jako dziecko, a nawet młoda dziewczyna, nie zdawałam sobie z tego sprawy i nawet za bardzo mnie nie interesowało zgłębianie tematu. Młodzi ludzie żyją przyszłością. I trudno im się dziwić.

– Nie sądzę, żebyś coś od dziadka wyciągnęła, nawet gdybyś chciała – pokręciłam głową. – Był taki skryty, zamknięty. Trudno mi sobie wyobrazić, co

siedziało w nim w środku. Domyślałam się tylko, że musiał przeżyć nieprawdopodobną tragedię. I gdyby nam o niej opowiedział, przeżylibyśmy traumę razem z nim. Chyba chciał nam tego oszczędzić. Ale to są jedynie domysły.

– Tak, Lenko. Ale zabrał ją ze sobą, nigdy się już nie dowiemy, co dokładnie wydarzyło się w jego życiu, co przeżył. Nie poznamy historii.

– Bardzo żałuję, że nie rozmawiałam o tym z dziadkiem. Trzeba było.

– Już nic z tym nie zrobisz. Możemy wspominać to, co pamiętamy. Na przykład, jak odstraszał wszystkich chłopaków, najpierw moich, gdy byłam bardzo młoda, potem twoich – zaśmiała się Laura. – Na każdego patrzył wrogo, jakby za chwilę miał mu ukraść najcenniejszy skarb. Klara ich lubiła, zwłaszcza Piotra, pamiętasz? – zwróciła się do Leny. – I dziadek też nie był do niego wrogo nastawiony. Podobnie jak do ciebie, Louis. Od razu wyczuł, że jesteś w porządku.

– To miłe. Nie wiedziałem – uśmiechnął się Louis.

– Czuj się więc wyróżniony, bo wokół Leny kręciło się wielu chłopców – Laura spojrzała z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Wiem. Nie dziwię się – Louis objął mnie i pocałował w policzek. – Dlatego cieszę się, że właśnie mnie dostało się to szczęście. Ale, ale... powiedziałaś, że był jakiś Piotr?

– To szkolna miłość – Laura machnęła ręką. – Dawno temu. Smarkata, nastoletnia.

– Mamo – spojrzałam na Laurę wymownie.

– Mam być zazdrosny? – Louis mrugnął, uśmiechając się do mnie.

– Skąd! Lena była wtedy nastolatką. A ty jesteś najlepszy.

Byłam zła na matkę za tego rodzaju żarty i za to, że wiedziała o mnie tak mało, za mało, by zrozumieć. Laura tak bardzo skupiła się wtedy na swojej rozpacz i rozstaniu z moim ojcem, że w tym wszystkim nie zauważyła mojego dramatu.

Niepotrzebnie wspomniała o Piotrze. Jego imię oprócz wspomnienia pięknych chwil przywoływało bolesną chwilę odejścia i poczucie, że popełniłam błąd, krzywdząc jego i siebie.

Laura nie odezwała się więcej na ten temat, zaczęła mówić o pięknej jesieni i pytać Louisa o zawodowe plany. Lubili się. On zawsze powtarzał, że jest jej za wszystko wdzięczny i może śmiało powiedzieć, że Laura jako teściowa jest idealna. Nie narzuca się, nie alarmuje, nie wydzwaniania po sto razy dziennie, a w razie czego oni wiedzą, że mają w niej oparcie. Czuł, że akceptuje go takiego, jaki jest, i szanował ją za to, że mimo tego, co spotkało ją w małżeństwie, nigdy nie próbowała zniechęcić do mężczyzn swojej córki.

Czas w ciągu dnia upłynął na pakowaniu, spacerze, rozmowach i obowiązkowym przed odjazdem obiedzie. Zbliżała się godzina szesnasta, usiedliśmy na tarasie w kurtkach, bo jesienny wiatr dawał się we znaki. Louis zamówił taksówkę. Popołudniowe słońce kładło się na gałęziach. Mój mąż powoli zaczynał się

denerwować, jak zawsze przed wyjazdem. Za trzy godziny miał samolot do Paryża, musiał dojechać do Warszawy i na lotnisko. Zawsze się obawiał, że coś pokrzyżuje mu plany, będą korki, coś nieoczekiwanego się wydarzy i spóźni się na samolot.

Wyszliśmy na drogę, wypatrując taksówki. W końcu nadjechała, wyłaniając się powoli zza zakrętu, pod jej kołami chrzęścił żwir. Louis, zanim do niej wsiadł, popatrzył na dom i jakiś punkt nad drzewami, potem przeniósł wzrok na mnie, podszedł i mocno mnie przytulił. Następnie otoczył ramieniem Laurę. Wrzucił bagaż do samochodu i znów mnie objął i pocałował.

– Obiecuj, że szybko przyjedziesz. Nienawidzę wracać do domu, w którym cię nie ma.

– Nareszcie zatęsknisz.

– Kocham cię – powiedział i zamknął mi usta pocałunkiem.

– Kocham cię – wyszeptałam, czując na swojej twarzy jego ciepło.

Wsiadł do taksówki. Kiedy ruszyła, patrzył na mnie przez tylną szybę. Stałam na środku drogi i machałam mu na pożegnanie. Po chwili samochód zniknął za drzewami i zakrętem. Świat tonął w liściach, złotych, czerwonych, brązowych, z których kilka spadło na drogę, tworząc na niej barwne punkty, zniszczone teraz przez ślady opon. Zerwał się wiatr. Był nieodłączną częścią tego miejsca, niektórzy uważali, że przez niego Stara Skała jest przeklęta, dla innych stanowił świętą muzykę życia, zależną od przemian i pór roku, narodzin i odchodzenia.

Czerwony rower dobrze pamiętał leśne drogi, koła prowadziły po dawnych śladach, mijaly te same drzewa i kamienie. W powietrzu czuć było babie lato i atmosferę oczekiwania. A czekanie to preludium do cudów.

Lubiłam jazdę ze słońcem i pod wiatr. Mogłam wtedy zapomnieć o wszystkim, wtopić się w magiczny bezmiar przyrody, w ciepłe promienie. Było coś pięknego i ulotnego w naturze szykującej się na powitanie jesieni. Prastara knieja pachniała ściółką, wilgocią, mchem i grzybami. Bliskość przyrody dawała mi radość w najczystszej postaci. Rower wyciągnęłam z piwnicy, która była dużym, zagraconym pomieszczeniem o zapachu myszy i staroci. By do niego dotrzeć, musiałam odsunąć kufry i stare walizki. Pochyliłam się, by sięgnąć po pompkę, która zawieruszyła się pod szafą.

*Co za bałagan*, pomyślałam, wydostając ją zza drewnianej nogi z miniaturową głową lwa – wśród tych rzeczy może być wszystko, nawet to, co zgubiło się lata temu i nigdy nie odnalazło, albo to, czego wcale nie chcemy i się nie spodziewamy.

Na parapecie wąskiego piwnicznego okienka leżały zeschnięte truchła much i pajaków. Kiedyś pachniało tu ziołami, a przepastna szafa była królestwem babci Klary, na półkach stały słoiki z przetworami, które nieustannie robiła. Grzybki w occie, powidła, dzemy z wiśni i truskawek, jabłka na szarlotkę, kiszzone ogórki i kwaszona kapusta. Po śmierci Klary piwnica zmieniła się w wyłączone królestwo dziadka. Szafa stała jak dawniej i było w niej nawet kilka starych słoików. Uśmiechnęłam się do wspomnień. Wszystko, co robiła babcia, było niebem.

Dziadek miał nóż, stary, ostry, kroił nim twarde szare renety. Zabierał go też do lasu i ścinał nim okazałe prawdziwki i podgrzybki. Przechowywał tysiąc rozmaitych przedmiotów, narzędzi, lutownic, gwoździ, sznurków. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek użył ich wszystkich, ale na pewno był typem zbieracza. Miał skrytki i schowki. „Bóg raczy wiedzieć, co w nich jest”, mawiała babcia Klara i nigdy do nich nie zaglądała. Ciekawskiej wnuczce, czyli mnie, dziadek nie wszędzie pozwalał myszkować. Na otarcie łez otwierałam w pokoju babci szkatułkę pełną kolorowych guzików, z których kilka wyglądało jak prawdziwe klejnoty. Na półce pod oknem stało stare radio Pionier. Brązowa, odrapana skrzynka z gałkami i skalą. Symbol stacji Wolna Europa, w którą Albert wsłuchiwał się kiedyś potajemnie, mimo

usilnego zagłuszania. Przechowywał pioniera w swoim pokoju w szafie pod ubraniami albo pod poduszką i zaklinał domowników, by nigdy nikomu go nie zdradzili.

Czerwony rower. Znów na niego wsiąść i jechać przed siebie ze słońcem, pod wiatr. Poczułam to w sobie mocno, ciało przeszły dreszcz. Napompowałam opony i sprawdziłam hamulce. Postanowiłam pojechać do miasteczka, wstąpić do sklepu pana Wiktora po kilka sprawunków i tabletki od bólu głowy, o które prosiła mama.

Pan Wiktor wciąż prowadził swojego Aligatora, ucieszył się na mój widok i by się przywitać, wyszedł zza kasy.

– Dzień dobry, pani Leno. – Dawno u nas pani nie było, wieki całe – uśmiechnął się pod wąsem. – Nic się pani nie zmieniła.

– Pan też nie – odpowiedziałam uśmiechem, wykładając na ladę towary z koszyka. – Dzień dobry.

– Wyrazy współczucia z powodu pana Alberta. To był niezwykły człowiek – pokiwał głową. – I ten jego i pani Klary sklep! Najlepszy sklep jubilerski w okolicy. Zachodziłem tam czasem, tak po prostu, porozmawiać. Pani Klara zawsze była taka elegancka.

Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

– Pamiętam, jak przychodziliście do mnie razem – mówił dalej. – Pani była mała. Pan Albert kupował dla siebie gazety, a dla pani cukierki. To były krówki, o ile dobrze pamiętam.

– Tak... ciągnące. Uwielbiałam je.

– Pan Albert bardzo panią kochał. To było widać w jego oczach. I tak ładnie się do pani zwracał. Pozazdrościć takiego dziadka.

Uśmiechnęłam się i pakowałam zakupy do plecaka, podczas gdy pan Wiktor sięgnął do pudełka z łakociami. Nabrał sporą garść krówek, wrzucił do papierowej szarej torebki i wręczył mi ją.

– To na koszt firmy – znów się uśmiechnął. – I proszę ode mnie pozdrowić panią Laurę.

Wracając, minęłam swoją starą szkołę, Aleję Dębową, gdzie wagarowałam, księgarnię i sklep jubilerski, który kiedyś należał do babci i dziadka. Piękny złocony szyld pozostał, nowy właściciel zresztą mówił, że niczego nie zmieni. Z każdym miejscem wiązało się wspomnienie tego, co tutaj przeżyłam.

Od domu dzielił mnie kilometr i stary most, gdy nagle coś kazało mi skrócić do lasu i jechać okrężną drogą.

Rower prowadził mnie dobrze znanymi drogami.

Zatrzymałam się przy skarpie. Nie byłam tu od siedemnastu lat. Między rozrośniętymi gałęziami drzew rozpościerał się ten sam widok na rzekę i łąki.



Patrzyłam ze skarpy na fale i drugi brzeg otulony gęstymi krzewami i malowniczym sitowiem. Tu wszystko miało duszę. Drzewa, ptaki, kamienie.

To miejsce dla mnie było święte.

Przyjeżdżałam tu z mamą i tatą. I z Joy, która dołączyła do nich pewnego dnia po tym, jak mama przyprowadziła ją do domu zmarznąłą, chudą i wygłodniałą. Ze skulonej i patrzącej nieufnie, drżącej istotki przeistoczyła się w pełną radości wilczycę o podpalanych łapach. „Przecież ona się wciąż śmieje”, powiedziała mama. „Nazwiemy ją Joy, co wy na to?”. Oboje z tatą przytaknęliśmy. Joy stała się nieodłączną towarzyszką naszych wypraw i zabaw, broniła mnie i spała w moim pokoju. We czwórkę mieliśmy leśne kryjówki i zakątki nad rzeką, obserwowaliśmy ryby płynące w przezroczystym nurcie, leżeliśmy na białym piasku, który przesypywał się przez palce, albo na nagrzanym od słońca pomoście i słuchaliśmy szumu wody, przez szpary w deskach obserwowaliśmy podwodny świat.

„Gdziekolwiek jest środek świata”, mówił Czarny Łoś<sup>1</sup>, wojownik i szaman Siuksów Oglala<sup>2</sup>, a potem mój ojciec, który fascynował się kulturą Indian i uczył mnie schodzić ze skarpy nad rzeką na ugiętych kolanach i stawianych bokiem stopach, tak jak potrafili to robić tylko oni. Strugał z kory drzew małe łódeczki, schodziliśmy razem w dół skarpy i puszczaliśmy je na wodę w rzece. Tata mówił, że Ameryka to kraj, który powstał na krwi Indian, i że w związku z tym nigdy nie kupi niczego amerykańskiego. Nawet coli, która raz na jakiś czas pojawiała się w sklepie. Kupowałyśmy ją razem z Amelią, gdy po lekcjach wbiegałyśmy do sklepiku pana Wiktora wydać ostatnie zaskórniaki. Ameryka taty była Ameryką z czasów na długo przed jej odkryciem przez białych ludzi. Powtarzał, że gdyby biali nigdy tam nie przybyli, świat wyglądałby inaczej i byłby lepszy. Podobała mi się ta jego Ameryka, lubiłam, gdy snuł o niej opowieści. Wstydziałam się za to, że lubię colę i uwielbiam džinsy, wytwory tej gorszej, barbarzyńskiej Ameryki, ale tłumaczyłam sobie, że przecież to nie one zabiły Indian.

\*

„Ten świat wcale nie należy do człowieka, tylko człowiek należy do świata”, powiedziała pewnego dnia mama. „Jesteś tu gościem, bądź wdzięczna, że możesz tu być. Pamiętaj, że każdy twój ruch ma ogromny wpływ na całość wszechświata. Wszystko jest święte, ma swoje miejsce i cel, nieważne, czy jest to przydrożny kamień, czy kwiat wśród traw”.

Do Laury lgnęła cała przyroda. Ptaki siadały na jej ramionach, nie bały się jej, jakby była jedną z nich. „To nie są moje słowa, wypowiedział je duchowy mistrz, Mahawatar Babadźi”, usłyszałam od niej pewnego dnia. „Ale są taką prostą i piękną

prawdą o tym, kim powinniśmy być dla siebie i świata. Brzmia mniej więcej tak: »Największa katedra, jaką kiedykolwiek odwiedzisz, mieści się wewnątrz twego serca, w twojej duszy«.

Chłonełam słowa obojga rodziców. Wierzyłam, że mama jest wróżką, a tata ma indiańskie korzenie.

Potem przyjeżdżałam tu z Piotrem, moją pierwszą miłością. Trzymaliśmy się za ręce i całowaliśmy o zachodzie słońca. Nawijał moje włosy na swoje palce i szeptał do ucha: „Kocham”, w jego oczach widziałam siebie piękną, jedyną, wymarzoną. Jego oczy. Zielone, ciepłe oczy. Myślałam, że nie będę umiała bez nich żyć.

„Kim jesteśmy?”, pytałam, gdy leżeliśmy pod skarpą na brzegu rzeki i patrzyliśmy, jak gwiazdy spadają jedna za drugą. „Romeo i Julia, Robin Hood i Marion, Kathy i Heatcliff, Bonnie i Clyde”, odpowiadał ze śmiechem. Przyjeżdżaliśmy tu razem, ścigając się po drodze na rowerach. Beztroscy, roześmiani. Jedna dusza w dwóch ciałach, a wokół świat istniejący wyłącznie dla nas.

Od tamtej pory byłam tu pierwszy raz. Oparta o drzewo wpatrywałam się w rzekę. Nagle drgnęłam. Ten głos. Poznałabym go wszędzie. To niemożliwe. Bałam się odwrócić. Dyskretnie zerknęłam przez ramię.

Kilka metrów za mną stał Piotr.

Wpatrywaliśmy się w siebie zaskoczeni. Staliśmy w miejscu, które kiedyś było naszym miejscem, dokąd chodziliśmy po lekcjach, a on niósł moją teczkę i zrywał dla mnie konwalie. Włożyłam je wtedy do książki, tomu opowiadań Czechowa, które podarował mi na szesnaste urodziny. Na jego widok zapierało mi dech. Byłam zakochana.

Teraz nie mogłam oderwać od niego wzroku. Pomyślałam, że jako chłopak był ładny, a zrobił się męski i przystojny. Jego kości policzkowe były mocniej zarysowane, włosy krótsze, ale nadal miękko okalały głowę, proste, gęste, ciemne i błyszczące. Na sobie miał białą koszulę i dżinsy, plecak i kurtkę przewiesił przez ramę roweru, który oparł o drzewo. Nie do końca wierzyłam, że jest realny. I że po latach spotkaliśmy się właśnie w tym miejscu, które kryło i otwierało przede mną tyle wspomnień.

Kompletnie nie wiedziałam, jak się zachować, co zrobić, powiedzieć. On chyba też. Byliśmy tu całkiem sami. Staliśmy speszeni jak nastolatki na pierwszej randce.

Czasem wyobrażałam sobie, że spotkam go przypadkiem gdzieś na skrzyżowaniu ulic wielkiego miasta, on będzie z kobietą, ja z mężczyzną, może spojrzemy sobie w oczy, może uśmiechniemy się do siebie albo popatrzymy porozumiewawczo, może w zdumieniu i minjemy się wraz ze swoimi partnerami ze świadomością, że nic o sobie nie wiemy.

Być może Piotr przypomniał sobie teraz czas, kiedy odkrył, że jest zakochany. Zobaczył siebie tamtego i mnie – jedyną dziewczynę w liceum, która udawała, że jej nie zależy, by zwrócił na nią uwagę. Był inny od wszystkich chłopców, dojrzały. Małomówny, uważny i miły, podnosił dziewczynom długopisy i przepuszczał je w drzwiach. Interesował się sztuką, czytał poważne powieści i mówił filozoficznie. To dodawało mu uroku. Każda dziewczyna chciała go mieć. Ale on patrzył tylko na mnie. Nie przypuszczałam, że spośród dziewcząt w całym liceum imienia Żeromskiego dla niego liczę się tylko ja. Nie mogłam wysiedzieć na lekcjach, czekałam na dzwonek, by tylko go zobaczyć, minąć na korytarzu, uchwycić na pięciominutowej przerwie jego spojrzenie. Był silny i wysoki, miał gęste ciemnobrązowe włosy i zielone oczy, jak moje. Dobrze zapamiętałam, co czułam, gdy rozmawiał na przerwie z kolegami, a ja usłyszałam pierwszy raz jego głos, który

wydał mi się taki głęboki, męski i spokojny. Serce zabiło mi mocniej, nogi ugięły się w kolanach. Myślałam o nim i czekałam na kolejny dzień. Wiedziałam, że ten chłopak jest niezwykły.

Pewnego razu wracałam z Amelią ze szkoły, był mróz, dziesięć stopni poniżej zera, szukałam w kieszeniach i plecaku rękawiczek. Nagle podszedł do nas Piotr. Amelia zasłoniła się kapturem kurtki, by ukryć zmieszanie. A on bez słowa podał mi rękawiczki. Chwyciłam je i odwróciłam się na pięcie. Poszliśmy dalej przed siebie, serce biło mi jak szalone. Dogonił nas. Przez pewien czas maszerowaliśmy we trójkę w milczeniu. Amelia skręciła w stronę swojego domu, a Piotr i ja szliśmy przed siebie drogą skrzypiącą śniegiem i mrozem, co wcale nam nie przeszkadzało, bo nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nie czujemy zimna, a czas mija zdecydowanie zbyt szybko. Nasz pierwszy pocałunek zostawił na moich ustach ciepło i płatki śniegu.

Teraz nagle znaleźliśmy się w miejscu, które dobrze pamiętało nasze spotkania, wzajemne odkrywanie siebie, wyznania miłości. Bałam się, że cokolwiek powiem, zabrzmie sztucznie i banalnie.

– Lena.

– Piotr.

– Co tutaj robisz?

Co miałam mu powiedzieć? Że wyciągnęłam stary rower i pojechałam przed siebie, gdzie mnie oczy poniosły i dotarłam tu przypadkowo? Czy że przyjechałam, bo chciałam zanurzyć się w tamtym życiu, tamtej przestrzeni? A może że coś mnie tu przywiodło niezależnie od mojej woli, a rower został wprowadzony w ruch siłą przyciągania?

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem.

– Przejeżdżam tędy czasem, to miejsce jest na trasie moich rowerowych wypraw – uśmiechnął się.

– Ja byłam tu ostatni raz wiele lat temu.

Było to właśnie tego dnia, kiedy z nim zerwałam i powiedziałam, że muszę to zakończyć, bo nie potrafię z nikim być. Odjechałam wtedy rowerem, połykając łzy. Odwróciłam się tylko raz i zobaczyłam, że stoi i patrzy, jak się od niego oddalam, do końca nie wierząc we własne słowa.

– Wyglądasz wspaniale – Piotr zrobił kilka kroków w moim kierunku. – Jak ty to robisz?

Kiedy powoli się zbliżał, by w końcu stanąć tuż przede mną, i był na tyle blisko, że mógł mnie dotknąć, zapragnęłam uciec.

– Nadal są zielone – uśmiechnął się, patrząc w moje oczy.

Wstrzymałam oddech. Nie mogłam się poruszyć.

– Twoje też – powiedziałam cicho, z trudem wydobywając z siebie głos.

Jego oczy. Zielone, ciepłe oczy. Śmiałyśmy się kiedyś, że jesteśmy okazami na wymarciu, absolutnymi wyjątkami, bo spośród wszystkich ludzi planety Ziemia tylko dwa procent ludzi ma zielone oczy i my do nich należymy.

Uchwyciłam w jego oczach lekkie zmęczenie. Gdy się uśmiechał, w kącikach ust pojawiały się ledwie zauważalne zmarszczki. Na czole przybyła bruzda, a na nosie nie było już piegów. Mimo to bił od niego blask tamtego chłopaka, w którym bez pamięci się zakochałam.

Zastanawiałam się, czy dla niego też byłam tamtą dziewczyną, która może tylko zagubiła dziewczęce spojrzenie, a jej twarz była trochę zgaszona, jakby przeżyła coś, co na zawsze ją zmieniło.

Staliśmy tak przez chwilę, nie wiedząc, co dalej. Jak wtedy, przed pierwszym pocałunkiem, który przerodził się w całowanie bez pamięci. Nigdy później nikt mnie tak nie całował jak Piotr.

– Na długo przyjechałaś?

– Nie wiem. Dziadek Albert zmarł. Był pogrzeb i...

– Tak, wiem. Byłem. Widziałem cię z daleka. Dobrze pamiętam twojego dziadka. Widywałem go w miasteczku, ale od pewnego czasu już nie, zresztą... ostatnio rzadziej tam zaglądałem, pochłaniała mnie praca.

– Dziękuję, że przyszedłeś na pogrzeb. Przez cały czas nie wierzę, że dziadka już nie ma. To, że odszedł, jest dla mnie dziwne, nie wiem, kiedy się z tym oswoję – zrobiłam pauzę. – Znalazłam go... przyjechałam, a on nie żył.

– Lena, tak mi przykro, to musi być dla ciebie trudne – spojrzał współczująco.

– Tak, bardzo.

– Jestem pewien, że twój dziadek opiekuje się tobą, byłaś jego oczkiem w głowie. Pamiętam, jak krzywo na mnie patrzył, gdy zobaczył mnie pierwszy raz. Bałem się, że zabije mnie wzrokiem.

Uśmiechnęliśmy się oboje.

– Bardzo go kocham.

– Wiem.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Gdzie mieszkasz? – odezwałam się pierwsza.

– Dziesięć kilometrów stąd. Kupiłem siedlisko. A ty... słyszałem, że mieszkasz we Francji.

– Tak, w Paryżu.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę. Wszystkiego mógłbym się dzisiaj spodziewać, tylko nie tego... Wiem, że piszesz, czytałem twoje artykuły. Zwłaszcza cykl o Paryżu.

– Naprawdę? To miło – odparłam zaskoczona. – A ty? Zostałeś weterynarzem, tak jak chciałeś?

– Mam w Starej Skale przychodnię dla zwierząt. Od niedawna, wcześniej mieszkalem w Warszawie. Skończyłem weterynarię i lecę za półdarmo. Wiesz sama, jak tu jest.

– Masz piękny zawód. Zwierzęta zawsze cię kochały.

– Nie bardziej niż ciebie. Pamiętam, jak patrzyła na ciebie Joy, byłaś dla niej całym światem.

– Jesteś za dobry dla ludzi, dajesz się wykorzystywać.

– Tak sądzisz? Nie..., gdybyś wiedziała, jaki jestem naprawdę, uciekłabyś – zaśmiał się, a ja zobaczyłam w jego oczach tamto spojrzenie, tamten błysk.

Poczułam, że coś we mnie drgnęło. Przed oczami miałam przeżycia i sceny sprzed lat. Wiedziałam, że najbezpieczniej byłoby się pożegnać, nie wchodzić w nic, co może zakłócić wypracowaną latami równowagę, emocjonalny *constans*. Zbliżyłam się do roweru, dotknęłam ramy.

– Masz czas? – zapytał Piotr szybko, jakby się bał, że za chwilę wsiądę na rower i odjadę.

Jak wtedy, gdy stał na drodze i patrzył, jak odjeżdżam i coraz bardziej się od niego oddalam. Obejrzałam się raz, to wystarczyło, by wciąż mieć jego postać przez oczami, gdy patrzył z nadzieją, że zawrócę. Nie przypuszczaliśmy wtedy, że nie zobaczymy się przez najbliższe siedemnaście lat. I że spotkamy się dokładnie w tym samym miejscu.

„Nie powinniśmy się widywać” – tak powinna brzmieć moja odpowiedź, porozmawialiśmy i na tym koniec. Zawsze życzyłam mu szczęścia. I cieszyłabym się, gdyby miał żonę, dzieci, udane życie. Umierałam z ciekawości, ale nie chciałam pytać, nie wiedziałam, co przeżył, i może postawiłabym go w kłopotliwej sytuacji. Poza tym uświadomiłam sobie, że siedemnaście lat to długi czas, zmieniliśmy się, staliśmy się całkiem innymi ludźmi i może nie powinniśmy opowiadać sobie życia, tylko pożegnać się i odjechać każde w swoją stronę, uśmiechnąć się do przypadkowego spotkania i to wszystko.

Pomyślałam o tym, że jeśli zrobię inaczej, nie odjadę, zostanę, w jakimś sensie zdradzę Louisa. Przez cały czas trzymałam rękę na rowerowej ramie, zachowując pozory panowania nad sytuacją, ale jednocześnie nie mogłam stąd odjechać.

Cisza stawała się nie do zniesienia.

– Odjedziesz? – zapytał. – Jak wtedy?

Spojrzałam w bok, na drugi brzeg rzeki. Sarna rozglądała się niepewnie, jej ciało było napięte, gotowe do ucieczki.

– Znów znikniesz na kolejne siedemnaście lat?

– Nie mów tak. Proszę – odezwałam się cicho. – Muszę wracać.

– Tak, oczywiście – pochylił głowę. – Mogę przynajmniej odprowadzić cię do domu?

Poczułam dziwne ściśnięcie w gardle i wsiadłam na rower. Jechaliśmy obok siebie, nie spiesząc się. Nasze włosy rozwiewał cudowny wiatr, wokół pachniało słońcem i jesienią. Byliśmy tacy sami jak wtedy, kiedy wszystko było przed nami, a świat wydawał się wielką niewiadomą.

– Nic się tu nie zmieniło – powiedział, gdy zatrzymaliśmy się przed domem.

– W środku też nie.

– Do zobaczenia, Lena. Nie będę już przeszkadzał – obrócił rower, zamierzając na niego wsiąść i odjechać.

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że nie znam jego numeru telefonu i nie mam pojęcia, dokąd pojedzie i gdzie go szukać.

– Podasz mi swój numer? – odwrócił się. – Na wszelki wypadek.

– Jasne.

Przez chwilę miałam lukę w głowie, nie mogłam sobie przypomnieć własnego numeru telefonu. Poprosiłam, by podyktował mi swój, wpisałam w telefonie i do niego zadzwoniłam. Uśmiechnął się i popatrzył na mnie tak jak kiedyś, w oczach miał tamten charakterystyczny błysk. Odjechał, a ja skierowałam się do furtki. W oknie, za firanką dostrzegłam postać matki.

Postawiłam rower koło piwnicy i uświadomiłam sobie, że ani razu się nie dotknęliśmy, nawet nie podaliśmy sobie dłoni na pożegnanie. Jakbyśmy oboje przeczuwali, że z chwilą, gdy to zrobimy, już nic nie będzie takie samo.

– Chcę sprzedać dom – oznajmiła Laura.

Stała przed lustrem i poprawiała włosy. Odgarniała je z czoła długimi, pięknymi palcami. Zawsze podziwiałam jej kształtne dłonie. Miała na sobie piżamę i szlafrok w pastelowych kolorach, zwiewne i lekkie jak ona sama. W świetle lampy z boku lustra jej oczy zrobiły się jeszcze bardziej fioletowe.

W pierwszej chwili jej słowa do mnie nie dotarły. Patrzyłam na nią jak przez szybę, ściągnęłam plecak, wciąż czułam obecność Piotra, słyszałam jego głos, byłam otulona tamtą atmosferą.

– Chcę sprzedać dom – powtórzyła Laura dobitnie, widząc, że nie zwracam na nią uwagi.

– Mamo, o czym mówisz?

Byłam pewna, że się przesłyszałam.

– Chodź, zrobię nam kawę – ton Laury był zdecydowany. – Musimy porozmawiać.

Poszła do kuchni, a ja za nią, przyglądając się, jak wyjmuje z szafki puszkę z kawą.

– Może to, co powiem, wyda ci się zbyt wczesne, ale... – wsypała kawę do tygielka i postawiła go na ogniu – ale skoro jesteśmy tutaj razem, to zanim się rozjedziemy, musimy postanowić, co z domem.

Przeczuwałam, że prędzej czy później usłyszę te słowa, lecz dzisiaj kompletnie nie byłam na nie gotowa.

– Jak to, co z domem? Chcesz sprzedać dom pradziadków?

– A widzisz inne wyjście? Przecież tu nie wrócimy, prawda? A dom zniszczy do końca.

Zagryzłam wargi.

– Chciałam z tobą o tym porozmawiać, coś wspólnie ustalić – mówiła dalej Laura. – Zadzwoiłam dziś całkowicie niezobowiązująco do agencji nieruchomości i wiesz, co usłyszałam?

– Nie wiem, mamo, ale cała zamieniam się w słuch – odezwałam się z przekąsem.

– Że takie domy sprzedają się długo, musi trafić się prawdziwy koneser willi sprzed stu lat. Ale... ale... – Laura wyjaśniała, kontrolując jednocześnie, by gotująca się kawa nie wykpiiała. – Agent powiedział, że ma na liście klientów



pewnego człowieka, który szuka takiego domu, obejrzał już kilka, ale na żaden się nie zdecydował. zaproponował, że może z nim przyjechać, trzeba by tylko trochę tu wszystko uporządkować.

Rozlała kawę do kubków i postawiła je na stole. Otworzyła srebrną cukiernicę na cienkich nóżkach i wsypała do kawy odrobinę cukru.

– Co ty na to? – spojrzała pytająco.

„Ten dom to my”, chciałam jej powiedzieć. „Sprzedając go, sprzedamy własne życie, on nie istnieje bez nas, a my bez niego bez względu na to, co się w nim wydarzyło. Jest jak szkatułka z fotografiami, które wysypują się z niej przy każdym otwarciu, w sepii, czarno-białe, kolorowe. Może niepotrzebnie stąd uciekłaś, mamo, przecież to też twoje dzieciństwo, czułaś się tu kochana. A tego nie wyrzuca się z życia”.

– Naprawdę bierzesz to pod uwagę? – zapytałam zamiast wygłoszenia mowy pełnej pięknie brzmiących fraz.

– Mam mieszane uczucia. Ale... kto będzie tu mieszkał? Nikt. Więc to chyba jest rozsądne rozwiązanie.

– A musimy coś zrobić i zdecydować teraz?

Laura popatrzyła przed siebie.

– Obawiam się, że za jakiś czas dom sprzedamy za bezcen albo wcale. Jeśli ten klient by się zdecydował, niech kupi. Chyba że ty masz jakieś plany względem domu?

– Dotąd o tym nie myślałam. Ale nie chcę go sprzedawać. To dzieje się zbyt szybko.

– Może masz rację – Laura położyła dłoń na mojej dłoni. – Zróbmy zatem tak: niech ten agent przyjedzie ze swoim klientem, zobaczymy, co powiedzą i jakie będzie wtedy nasze nastawienie. Dobrze? Możemy tak zrobić?

– Mamo. Ten dom... Proszę, nie chcę go sprzedawać.

– A co chcesz zrobić? Będziesz tu mieszkać?

– Na razie nie wiem. Może dajmy sobie trochę czasu.

Siedziałyśmy przez chwilę w milczeniu. Wypiłam łyk kawy, bardziej ze zdenerwowania niż dlatego, że jej potrzebowałam. Nagromadzone emocje sprawiły, że czułam się wyczerpana i rozproszona. W głowie miałam mętlik. Nagle poczułam głód, mocny aż do ssania żołądka, uświadomiłam sobie, że nie miałam nic w ustach od poprzedniego dnia, bo nie pamiętałam chwili, żebym jadła cokolwiek na śniadanie. Tosty. To było to, czego potrzebowałam. Po chwili wyjmowałam z opiekacza złociste kawałki chleba i wkładałam do niego następne, a na stole postawiłam też masło, miód i konfiturę z wiśni.

– Prawdziwa ucztą – uśmiechnęła się Laura, sięgając po chrupiący tost.

Włączyłam radio. Wysublimowany, czysty jak łza głos Elli Fitzgerald wypełnił kuchnię. *Black Coffee*. W przeszłości ukochana piosenka Laury. Mogła jej słuchać, tańczyć do niej, malować, pić wino. Pomyślałam, że ze wszystkich moich wspomnień z dzieciństwa do najsilniejszych należy właśnie to, jak stałam przed drzwiami pokoju rodziców i podglądałam ich przez dziurkę od klucza. Tata włączył płytę, pokój wypełniły dźwięki *Black Coffee*, rodzice tańczyli przytuleni, a mnie wypełniało szczęście.

Wydawało mi się, że Laura drgnęła, że piosenka poruszyła w niej delikatną strunę. Matka była jednak mistrzynią kamuflażu, na pierwszy rzut oka zawsze wyglądała, jakby przechodziła obojętnie obok tragedii i straty, żyła, jakby nic się nie stało, podczas gdy walił się dom albo umierał ktoś bliski.

Kochałam ten dom, to miejsce. Kiedy wyjeżdżałam z rodzicami w dzieciństwie na wakacje, zawsze cieszyłam się z powrotów. Siedziałam w samochodzie na tylnym siedzeniu i liczyłam kilometry, w końcu zasypiałam zmęczona, a budziłam się jak na zawołanie, gdy samochód sunął po pełnej zakrętów, wyboistej drodze. Odczuwałam radość, bo dziury i wyboje oznaczały ostatni etap podróży. Wtedy z kolei niecierpliwie liczyłam zakręty, patrzyłam na drzewa, czekałam na rozłożystą sosnę, za którą zawsze wyłaniał się nasz dom.

Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak można się tutaj nudzić. Odwiedzali nas czasem znajomi rodziców z dużego miasta, przyjeżdżali ze swoimi nastoletnimi dziećmi, które tylko czekały, by wrócić do swoich wielkomiejskich zajęć. Po przeprowadzce do Warszawy czułam się zagubiona, jakby ktoś wysadził mnie na Marsie i kazał szukać na nim życia. Drzewa w mieście były takie inne od tych, które rosły w naszym ogrodzie albo w lesie. Stały odseparowane od innych drzew. Regularnie podcinano im gałęzie i piłowano korzenie, by rosły, ale się nie rozrastały, nie przeszkadzały w wielkomiejskim pędzie. Współczułam im, widziałam i czułam ich samotność i smutek.

Z czasem trochę przywykłam, polubiłam Warszawę, a po niej Paryż, ale w głębi duszy wiedziałam, że światła wielkiego miasta są nie dla mnie. Zawsze, gdy przyjeżdżałam do Starej Skały, widziałam to jak na dłoni.

Nie na darmo zachwyciła się tym miejscem praprababka Eleonora, kobieta tak piękna i dystygowana, że mogłaby brylować na salonach stolic świata. Ale ona wybrała inne życie. Tu dorastała jej córka Melania. Tu urodziła się córka Melanii, Klara. Tu wychowała się Laura. W willi pod lasem stanowiłam piąte pokolenie kobiet.

Nagle wyobraziłam sobie, że dom został sprzedany, i poczułam sprzeciw.

– Uwielbiałaś to miejsce, prawda? – spytała łagodnie Laura.

– Tak. Nadal uwielbiam – odparłam twardo.

Dopiero teraz się zorientowałam, że mama bacznie mi się przygląda. Być może zastanawiał ją mój kategoriyczny sprzeciw wobec pomysłu sprzedaży domu, a może w jej spojrzeniu czaiło się pytanie, skąd wziął się przed naszym domem Piotr.

– Lena, to był on?

– Tak, to on.

– Naprawdę? Wyprzystojniał. Gdzie się spotkaliście?

– W sklepie pana Wiktora – skłamałam gładko. – Rozmawialiśmy i przyjechał ze mną aż tutaj, tak jakoś wyszło.

– Co u niego? Ożenił się?

– Mamo, nie wiem, nie pytałam.

– A co robi, gdzie pracuje?

– Jest weterynarzem. Ma własną klinikę.

– Hmm, kręcą się wokół ciebie sami lekarze.

Puściłam jej słowa mimo uszu, postanowiłam też nie przejmować się jej pomysłem sprzedaży domu. Rozmyśli się. Na pewno. A jeśli nawet dojdzie do tego, że zjawi się tutaj agent nieruchomości, to jeszcze nic nie znaczy. Niech przyjedzie, już ona robi wszystko, by go stąd przepłoszyć.

Ten dom był jak osobny byt. Żył. Czuł. Należał do nas, a my do niego. Przysięgłam sobie, że nigdy nie dopuszczę do jego sprzedaży. Poczułam się wyczerpana. Nagromadzone podczas całego dnia emocje zrobiły swoje. Chciałam pobyć sama. Pocałowałam Laurę w policzek i weszłam po schodach do swojego pokoju. Usiadłam na łóżku.

Sprawdziłam połączenia w telefonie. Louis dzwonił trzy razy i wysłał SMS: *Wszystko w porządku?* Natychmiast do niego zadzwoniłam.

– Louis?

– Lena, nareszcie dzwonisz.

– Przepraszam, zostawiłam telefon w torebce i długo rozmawiałam z mamą. Ma pomysł, żeby sprzedać dom.

– Naprawdę? A ty co o tym sądzisz?

– Jestem przeciwna.

– Będziesz tam mieszkać? Jeśli nie, to może lepiej sprzedać? Zresztą nie wiem.

– Nie. Nawet nie chcę o tym myśleć. Gdybym go sprzedała, czułabym się, jakbym wyrwała sobie kawałek ciała, coś ze środka. To nie jest możliwe.

– No i dobrze. Wybacz, zasypiam na stojąco, jestem po dyżurze – ziewnął głośno.

– A jutro czeka mnie ciężka operacja, będę niedostępny przez cały dzień.

– Tak, jasne, śpij dobrze.

– Ty też. Pa.

– Pa.

Wpadające przez okno popołudniowe słońce sprawiało, że pokój był otulony złotym, ciepłym światłem. Dobrze znałam tę jesienną porę dnia w Starej Skale. Promienie słońca jeszcze oświetlały ogród, lecz wystarczyła chwila, by zniknęły za konarami drzew.

Wiadomość od Piotra przyszła późnym wieczorem: *Jutro o 12? Przyjadę po Ciebie. Znam fajne miejsce, spodoba Ci się. Piotr.*

Przyprawiała mnie o drzenie serca. Wahałam się, co odpowiedzieć. *Nie* – powtarzałam w myślach, lecz nie potrafiłam odmówić, nie chciałam.

*Tak, pasuje mi 12. Do jutra.*

Popatrzyłam na ekran telefonu, do wiadomości dodałam: *Lena*, i wysłałam ją do Piotra.

Musiałam mieć wypieki na twarzy, policzki mnie paliły. Czułam się tak, jakbym przed chwilą popełniła grzech pierworodny. Na usprawiedliwienie miałam to, że wobec Piotra czułam się winna: przecież wtedy go skrzywdziłam. Poza tym tłumaczyłam sobie, że spotkanie z byłym chłopakiem jeszcze nic nie znaczy, jest po prostu tylko spotkaniem. Zastanawiałam się, czy jest sam, czy ma żonę, dzieci. Pewnie wszystko jutro opowie. Uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę, by kogoś miał, i w tej samej chwili przestraszyłam się tej myśli. Wyobraziłam sobie Piotra z kobietą i poczułam ukłucie.

Ściana deszczu nie pozwalała wyjść z domu. Była niedziela, dochodziła dwunasta. Piotr przysłał z samego rana wiadomość, że przyjedzie po mnie samochodem. Laura pojechała do Elizy Berg na cały dzień, czasem odwiedzała ją choćby po to, by posłuchać miejscowych plotek. Tym razem wyruszyła z misją pocieszenia, bo Eliza nie mogła pogodzić się z tym, że nie będzie już przychodzić do dziadka.

Zamykałam dom na klucz, gdy Piotr wbiegł na schody z parasolem.

– Niewiele pomaga, ale proszę, schowaj się – spojrzał ciepło.

Jechaliśmy przez zalane deszczem ulice. Minęliśmy Aleję Dębową z ponad stuletnimi dębami, dumę Starej Skały, starą szkołę i park za nią, tam, gdzie kiedyś wszyscy się zbierali pobrzdakać na gitarach, skraść kilka pocałunków, zapalić zakazanego papierosa. Jechaliśmy dalej, za miasto, do nowego miejsca na mapie miasta i okolicy.

Pub Rocks Lounge and Bar z prawdziwym harleyem davidsonem, czarnym strojem harleyowca na wystawie przykuwał wzrok już z daleka. Miejsce rzeczywiście było intrygujące i wymyślone z dokładnością co do najmniejszego detalu. Na suficie wisiały wielkie żyrandole, na ścianach fotografie stolic świata, półki były pełne pamiątek z różnych zakątków. Było widać, że to miejsce wymyślił i stworzył podróżnik i motocyklista, który zjeździł niemało świata, uczestnicząc w kultowych zlotach.

– Stary, co za spotkanie! – nagle za plecami usłyszeliśmy tubalny głos. Od stolika wstał roześmiany, trochę od nas starszy mężczyzna, podszedł do nas i poklepał Piotra po ramieniu.

– Marcin, cześć! – Piotr był zaskoczony, ale nie wydawał się zachwycony spotkaniem.

– Nie przedstawiś mi pięknej pani?

– To jest Marcin, a to Lena – Piotr wyraźnie nie chciał wdawać się w dłuższe rozmowy, chciał, żeby tamten sobie poszedł.

– Miło mi... – Marcin spojrzał na mnie uwodzicielsko, po czym znów zwrócił się do Piotra: – Nigdy cię tu nie widziałem, a przesiaduję tu dość często.

– Ten lokal odkryłem dopiero niedawno, przejeżdżałem obok i...

– Jak zawsze porządnym do bólu Piotr – Marcin wszedł mu w słowo. – Co porabiasz, czym się zajmujesz?

– Leczę zwierzęta.

– O, to pięknie. A ja mam fermę nerek i hodowlę psów. Amstafów amerykańskich – dodał z dumą. – Może kiedyś przyjedziesz? Mam weterynarza, ale on stale stwarza jakieś problemy, coś mu się nie podoba, pewnie jeden z tych zidiociałych zielonych.

– Mogę przyjechać, nie ma sprawy. Telefon jest na stronie kliniki, znajdziesz w sieci. A teraz wybaczyć, ale mamy na dziś pewne plany.

– Świetnie, znajdę, myślałem jednak, że dawnemu kumpłowi można numer podać – Marcin spojrzął z dziwnym błyskiem w oku.

– Właściwie masz rację, co za różnica – Piotr pokiwał głową i pospieszenie podyktował cyfry, które Marcin wpisywał do swojego telefonu. Moją uwagę zwróciło to, że numer różni się od tego, który zapisałam u siebie.

– Odezwę się – Marcin klepnął ponownie Piotra w ramię i przybliżył się do niego. – Musimy umówić się tutaj na długi wieczór, stary. Zobaczysz, co to znaczy stać się na chwilę nieporządnym.

– Być może – odparł sucho Piotr.

– Wiem, wiem, panu doktorowi nie wypada, ale czasem można, a nawet trzeba... – mrugnął porozumiewawczo. – Co jak co, ale tu można się upić w dobrym stylu.

Pożegnali się i zajęliśmy miejsce przy stoliku, który Piotr wcześniej zarezerwował. Widziałam, że to spotkanie lekko wytrąciło go z równowagi.

– Kto to był?

– Ktoś z przeszłości. Nie ma o czym mówić. Dawne czasy.

– Mówiąc szczerze, nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia.

– Na mnie też nie. Nie lubię ludzi, którzy mają fermę nerek. I skoro jego weterynarzowi coś się nie podoba, to znaczy, że coś tam śmierdzi. To typ cwaniaczka, nie ufałem mu nigdy.

– Skąd go znasz? Jeśli mogę wiedzieć...

– Po tym, jak ze mną zerwałaś.... Po twoim wyjeździe byłem w rozsypce. Zacząłem kumpłować się z takimi różnymi typami. Piłem, paliłem. Wśród nich był on. Trwało to krótko na szczęście. Uwolniłem się. Od tamtej pory go nie widziałem.

– Piotr... ja...

– Nie zobaczysz go już więcej. Obiecuję. A teraz porozmawiajmy o czymś całkiem innym, dobrze? – sięgnął po menu i podał mi je, drugie otworzył sam. – Co my tu mamy...?

Było mi przykro. Dziwnie źle. Skrzywdziłam go. Nie wiadomo, co jeszcze przeżył, ale jeśli sądzić po tym, co powiedział i po jego reakcji na wyłaniającego się z przeszłości Marcina, w jego życiu tamten czas nie należał do najlepszych.

– Może coś polecić? – przy stoliku zjawił się kelner, chłopak z karteczką i długopisem.

Podczas gdy przeglądaliśmy menu, kątem oka dostrzegłam, że zza baru obserwuje nas jakiś mężczyzna. Byłam pewna, że skądś go znam.

– To na koszt firmy – podszedł do ich stolika z butelką wina. – W moim lokalu niecodziennie widzi się specjalnych gości.

Spojrzeliliśmy zdziwieni. Mężczyzna zwrócił się do mnie.

– Byłam na pogrzebie pani dziadka. Rozmawialiśmy przez chwilę po uroczystości, ale było tylu ludzi, że na pewno pani nie pamięta.

– Tak, oczywiście, przepraszam. Już wiem. To pan.

– Tak. A wino przyjechało prosto z Hiszpanii, naprawdę świetne. Życzę mile spędzonego czasu.

– Teraz ja zapytam. Kto to jest oprócz tego, że jest właścicielem tego baru? – powiedział ściszym głosem Piotr, gdy mężczyzna odszedł.

– Wydaje mi się, że skądś go znam. Przypomina mi chłopaka ze szkoły, który był o kilka klas niżej i po skończeniu podstawówki stąd wyjechał. Ten człowiek rzeczywiście podszedł do mnie po pogrzebie, powiedział o dziadku kilka dobrych słów i był bardzo tajemniczy, mówił, że dziadka wspomina jak ojca, bo pomógł mu w życiu i był mu bardzo bliski. Nigdy wcześniej tej historii nie słyszałam.

– I nie jesteś ciekawa?

– Jestem, ale on chyba nie chce o tym mówić. To musi się wiązać z czymś bolesnym, sama nie wiem. Wtedy, na cmentarzu był bardzo tajemniczy.

– Może w swoim czasie poznasz jego historię. A jeśli nie, to i tak niczego nie zmieni.

– Może...

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, nawet nie do końca wiedziałam, co zamówiłam, chyba sałatę i, mówiąc szczerze, niewiele mnie to obchodziło. Cała sytuacja, przyjechanie tu, spotkanie tych obcych ludzi i to, że po siedemnastu latach siedziałam ze swoją pierwszą miłością w pubie, była niezwykła i zarazem absurdalna. Chciałam być tutaj i jednocześnie wrócić do domu. W Piotrze szukałam czegoś, co mogłoby mnie do niego zniechęcić. Wiele się zmieniło, jesteśmy już innymi ludźmi, obcymi, przecież wcale go nie znam, nie wiem, kim jest, jaki jest. Siedemnaście lat to dużo czasu. Jednocześnie nie chciałam w nim niczego znaleźć, nie zniosłabym rozczarowania człowiekiem, który w moich wspomnieniach żył jako ideał.

– Zobacz, co tu jest – Piotr wstał od stolika i podszedł do witryny. – Relikty przeszłości. Wiesz, że mam takie u siebie?

Na półkach leżały kasety i magnetofon Kasprzaka.

– Też takie mam. Ale dość szybko dostałam w prezencie magnetofon Sony z kompaktem Céline Dion. Słuchałyśmy jej z Amelią – uśmiechnęłam się.

– Amelia. Pamiętam, że wyjechała.

– Tak. Była moją jedyną przyjaciółką.

– Wyjechała i przestała nią być?

– Zaczęłyśmy tracić kontakt już wcześniej. Kiedy pojawiłeś się ty, coś się zmieniło. A potem, gdy była już w Nowym Jorku, urwało się na dobre. Jej matka w kółko mówiła, że Ameryka to kraj, gdzie wolno wszystko, być kelnerką, a za chwilę zagrać w filmowym hicie, trzeba tylko tam pojechać i nigdy nie wrócić. Miała na tym punkcie obsesję. Dopięła swego, wszystko załatwiła, dokumenty, wizy, bilety. Stała na głowie. Wyjechali. Nienawidziłam jej.

– Może teraz ją odnajdziesz? Nie myślałaś o tym?

– Nieraz.

– To co stało na przeszkodzie?

– Zawsze coś było. Ale ona też mnie nie szukała. Gdyby chciała, mogłaby mnie odnaleźć.

– Może myślisz tak samo jak ty? Że nie chcesz?

– Pewnie tak.

– Możesz to teraz zmienić.

– Pomyślę o tym – uśmiechnęłam się.

– Mam do ciebie tyle pytań. Tyle rzeczy chciałbym wiedzieć.

– Ja o tobie też, Piotr.

Zbliżył swoją dłoń do mojej dłoni. Nie cofnęłam jej. Znieruchomiałam. Nie dotknął mnie jednak, zabrał rękę zawstydzony, że zrobił coś nie tak.

– Trzy lata temu kupiłem kawałek ziemi i stary dom dziesięć kilometrów stąd.

Spojrzałam na niego pytająco. Chyba odgadł moje myśli i natychmiast odpowiedział.

– Pytasz, czy w domu jest jeszcze ktoś oprócz mnie? – uśmiechnął się. – Tak. Jest. Mój pies. Chcesz go poznać?

Zastanawiałam się przez chwilę. *Co robisz, co ty najlepszego robisz?*, huczało mi w głowie.

– Tak. Chcę.

Właściciel pożegnał nas, zapraszał ponownie i spakował do torby butelkę wina, której nie wypiliśmy. Patrzył na mnie tak, jakby widział samego Alberta Wrońskiego, człowieka, który kiedyś pomógł mu przeżyć.



Niebo się otworzyło. Szare chmury ustąpiły miejsca słońcu i błękitowi. Skierowaliśmy się do samochodu. Przez sekundę wydawało mi się, że po drugiej stronie parkingu, za kierownicą audi, siedzi Marcin, zły duch z przeszłości Piotra. Kiedy ruszyliśmy, on też ruszył, odjechał jednak w inną stronę. Zastanowiło mnie, czy czekał na nas, czy to był czysty przypadek.

Droga wiodła przez las, potem wzdłuż polany i niedużego zagajnika, za nim skręcała w lewo i trzeba już było jechać ścieżką. Kolejny zakręt i jeszcze jeden, aż wreszcie naszym oczom ukazał się dom. Przed nim brzozy jak baletnice szumiały liśćmi w promieniach słońca.

Dom był piękny, miał wielki balkon, werandę i jasną elewację, sprawiał wrażenie ciepłego i przytulnego. W oknie na parterze pokazały się dwie duże łapy oparte o parapet i głowa psa. Piotr wysiadł z auta i zamknął bramę. Zdjął z niej przyczepioną kartkę, z której deszcz trochę zmył napis, ale i tak można było przeczytać: *Pieprzony Doktor Dolittle*.

– Znowu komuś się naraziłem – zaśmiał się. – To jeszcze nic. Kiedyś ktoś napisał na murze wyzwiska sprayem i przerzucił na podwórko psa, który chwiał się na nogach, żebra mu wystawały, był obrazem nędzy i rozpaczy. Zaraz go poznasz.

Piotr otworzył drzwi domu, ze środka wybiegł okazały labrador.

– Cześć, Borys – Piotr poklepał go po grzbiecie. – To on. Uważaj, bo z radości może skoczyć i cię przewrócić. Jest młody, ma niecałe trzy lata.

Pies najpierw przywitał się z Piotrem, kręcąc młynki ogonem, po czym podbiegł do mnie. Obwąchał moje nogi. Przykucnęłam, tak by oczy moje i psa znalazły się na tej samej wysokości. Delikatnie podniosłam rękę i położyłam na jego grzbiecie. Sierść miał miękką i złotą, miłą w dotyku. Pysk pogodny, uśmiechnięty.

– Już cię lubi. A to rzadkość, bo po tym, co w życiu przeszedł, raczej jest nieufny. Ale uważaj, jak będziesz go za długo głaskać, już się od ciebie nie odzepi.

– Borys, jesteś piękny – uśmiechnęłam się do niego łagodnie i przeniosłam wzrok na Piotra. – Co się z nim działo?

– Nie wiem. Jest u mnie od zimy. Ktoś go przerzucił przez mur. Był jednym wielkim nieszczęściem – Piotr pochylił się i pogłaskał psa po pysku, za co ten przejechał językiem przez jego twarz.

– Dobrze, że trafił na ciebie. Widać, że jest szczęśliwy. Pamiętam, jak mówiłeś, że dopóki człowiek nie nauczy się szanować świata zwierząt, nigdy nie pozna swojej prawdziwej roli na Ziemi.

– Naprawdę tak mówiłem? Ale nie jestem święty. Wyczytałem to gdzieś, chciałem ci zaimponować.

– Ale to prawda. – Lena wstała i się wyprostowała. – Pięknie tutaj. Tylko... nie boisz się tych, którzy przyczepiają ci takie kartki?

– Na razie nie. Choć wiem, że jestem niewygodnym weterynarzem. Jadąc do cielącej się krowy, uwalniam przy okazji psa z łańcucha, czasem po prostu zabieram. Mam zaprzyjaźnioną kobietę, która daje psom tymczasowy dom, zanim znajdziemy nowy. Nie wszystkim się to podoba.

– Ludzie potrafią być mściwi.

– Wiem, ale na razie, dopóki leczę ich zwierzęta za półdarmo, starają się mnie słuchać. Nie tykają mnie, spotykamy się w połowie drogi – machnął ręką. – A teraz chodź, pokażę ci, co jest za domem.

Krzaki białych róż o pięknych, wielkich kwiatach były tak okazałe i cudne, że trudno było oderwać od nich wzrok. Na mojej twarzy musiał malować się zachwyty, bo Piotr się uśmiechnął.

– To wyjątkowy widok, prawda? Wiedziałem, że ci się tutaj spodoba.

– Znam te róże. To wyjątkowa odmiana. Kwitną do zimy. Mój dziadek sadził je w naszym ogrodzie. Dawno temu. Niesamowite, że też je masz. Takie same.

– Naprawdę? Kupiłem ten dom razem z tymi krzakami. Poprzedni właściciel zmarł, a jego dzieci nie chciały tutaj żyć. Córka przyjeżdżała tylko po to, by pielęgnować właśnie te róże. W końcu dom sprzedali. Chodź, zapraszam do środka.

Przytulne weranda i sień. Dalej salon z kominkiem i wielkie oszklone drzwi na taras, przez które roztacza się panoramiczny widok na krzaki róż, a za nimi na łąki, pola, w oddali las.

– Właściwie kupiłem ten dom dla tego widoku. Wstaję rano, robię kawę i mam raj. Tu jest najpiękniej, gdy zagłada poranne słońce.

Poczułam jego bliskość. Stał tuż za mną. Wydawało mi się, że słyszę, jak bije mu serce. Zakręciło mi się w głowie.

Otworzył szklane drzwi na oścież. Przymknęłam powieki. Na policzku, który wystawiłam do słońca, poczułam zimny powiew. Zacerpnęłam powietrza. Przemknęło mi przez głowę, że mogłabym pić poranną kawę każdego dnia, podziwiając taki widok.

– Zimno ci? – spytał, podając mi kieliszek z winem. – Spróbuj, ja nie mogę, bo usiądę jeszcze dziś za kierownicą.

– Nie. Tak jest dobrze. Dziękuję.

Zapadła cisza. Staliśmy tak przez dobrą chwilę, nie wiedząc, co zrobić, w końcu odezwała się pierwsza.

– Dlaczego jesteś sam?

– Bo tak wolę.

– Przepraszam. Nie powinnam pytać.

– Dlaczego? Masz prawo.

– I przepraszam też za to, że cię zostawiłam.

– Daj spokój, byliśmy nastolatkami.

– Wiesz, ja... po pewnym czasie rozumiałam błąd i chciałam wrócić, ale nie miałam odwagi. Myślałam, że na wszystko jest już za późno, zresztą pewnie już miałeś nową dziewczynę.

– Tak myślałaś?

*Co ja robię?*, oburzyłam się na samą siebie. Jestem dorosłą, poukładaną kobietą czy emocjonalną trzciną na wietrze? Piotr wyglądał na zaskoczonego, ale też na kogoś, do kogo wracają dawny ból i wszystkie chwile, kiedy stawał na głowie, by nauczyć się z tym żyć, oraz pewność, że między nami wciąż jest coś wyjątkowego i trudno nam będzie o tym zapomnieć.

– Byłem sam – wyrzucił wreszcie z siebie. – Przez całe lata byłem sam. Nie umiałem żyć bez ciebie. Wypełniłem dni pracą, misją, znalazłem pasję, w takim sensie nauczyłem się żyć. Nie mogłem sobie wyobrazić nikogo na twoim miejscu.

– Jak to? Z nikim się nie związałeś?

– Owszem, były kobiety, nawet ładne, inteligentne, ale... żadna nie była tobą. Każda znajomość trwała krótko, aż skończyłem z tym, by nikogo nie ranić. Od pewnego czasu jestem sam.

Usiadł w fotelu. Wskazał mi drugi, obok siebie, dzielił nas tylko stolik. Meble były tak ustawione, by móc podziwiać panoramę za szklanymi drzwiami. Przy nogach Piotra położył się Borys.

– Jesteś szczęśliwy?

– Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad szczęściem. Chyba na swój sposób jestem. Mam pracę, dom, psa. Względny spokój. A ty?

– Myślę, że tak. Jestem. Chociaż życie dało mi w kość – przerwałam na chwilę, wahając się, czy o tym mówić. – Straciłam dziecko. Córkę. Urodziła się martwa. Gdyby nie mój mąż, nie wiem, co by się ze mną stało. To dobry człowiek. Jest kardiochirurgiem. Ma na imię Louis.

– Bardzo mi przykro, Leno. Musiało ci być strasznie ciężko. Trudno to sobie wyobrazić. Nawet nie wiem, co powiedzieć.

Pomyślałam, że strat w moim życiu było kilka, a ich czas zaczął się siedemnaście lat temu. Wśród nich był też Piotr. Bo to też była strata. Ale kiedy odszedł ojciec, chciałam być sama, umościć się w pustce, uprzedzić to, że ktoś może mnie zostawić,

wolałam odejść jako pierwsza. Zerwałam z nim, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo będę tej decyzji żałować. Po latach wmówiłam sobie, że to był tylko fajny chłopak, z którym połączyło mnie zauroczenie, świeże i romantyczne, jak większość pierwszych, młodzieńczych miłości. W głębi duszy jednak nosiłam je w sercu nie tylko jak coś, do czego mogłam się po latach uśmiechnąć, ale jak idealną miłość, którą zagubiłam, a mogłam mieć na zawsze.

– Popatrz, tam... – szepnął Piotr i wyciągnął rękę przed siebie. – O, tam... Często tu przychodzą.

Trzy sarny stały na wzniesieniu tuż za ogrodzeniem i patrzyły na nas. Płochy, dzikie, majestatyczne. Ich szyje były wyprostowane, głowy nieruchome, oczy patrzyły badawczo. Borys podniósł uszy, ale nie ruszył się z miejsca. Wstrzymałam oddech. Znalazłam się w pięknym miejscu, z człowiekiem, w którym dawno temu byłam zakochana, i było mi dobrze.

– Niezwykłe zwierzęta. W takim świecie się wychowałam. Brakuje mi go.

– Nie umiałbym żyć gdzie indziej. Czuję się częścią tego świata. Chyba jestem dziwakiem – zaśmiał się i rozłożył ręce. – Od pewnej kobiety usłyszałam, że nawet nie potrafię normalnie obchodzić sylwestra. To było rok temu, poszedłem tego wieczora do lasu, zbliżała się północ, zewsząd było słyhać wystrzały petard. Na niebie błyski, kolorowe, migoczące. Zwierzęta gdzieś wyparowały. Wśród ptaków panika. Krzyk. Trzepot skrzydeł. Krążyły nad lasem w ciemnościach zbyt przerażone, by wylądować. Chaos. Wiesz, tego nie da się zapomnieć. One chciały uciec i nie miały dokąd. Ptaki w takich chwilach nawołują się, lecą na oślep, zbierają w popłochu stado, co chwila zmieniają kierunek. Wstydzilem się, że jestem człowiekiem. Nie chciałem nim być.

– Wrażliwość. Zaleta albo przekleństwo.

– Coś w tym jest – Piotr wstał, zrobił krok w kierunku wyjścia na taras i zaprosił mnie gestem ręki. – Chodź, chcę ci coś pokazać.

Poszłam za nim w głąb ogrodu, omijając gałęzie krzewów wystające z klombów na alejki. Przy białych różach zatrzymałam się na chwilę. Pachniały bosko. Na samym końcu, pod płotem za drzewami, stał biały parterowy budynek z niewielkimi oknami. Drzwi były zamknięte na skobel, chyba dla niepoznaki, bo pod nim wmontowano zamek antywłamaniowy.

– Trzymasz tu skarby?

– W jakimś sensie tak. Proszę, wejdz – Piotr otworzył drzwi na oścież i zapalił wewnątrz światło. – To moja pracownia.

– Pracownia?

– Tak, zbieram różne starocie, odnawiam je. Głównie dla siebie – zaśmiał się. – Czasem dla kogoś z rodziny. Nie żyję samą kliniką. Tu odnowiłem fotel, na którym siedziałas.

Rozejrzałam się. Artystyczny nieład, półki, na których stare lampy mieszały się z figurkami zwierząt, dzbanami i filiżankami. Trudno było przejść, ponieważ pomieszczenie było zastawione leciwymi meblami i ramami do obrazów. Patrzyłam z zachwytem na sztukę, bo bezsprzecznie było nią to, co tu zobaczyłam – stare, zapomniane przedmioty wymyślane od nowa, otrzymujące w darze drugie życie.

– To mój świat. Odpoczywam tu. Zapominam o wszystkim – uśmiechnął się. – Poza mną jesteś pierwszą osobą, która tutaj weszła.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Tak. To bardzo osobiste miejsce, tylko moje. Kiedy odnawiam jakiś przedmiot dla kogoś, po prostu mu zawożę albo zapraszam tego kogoś do gabinetu. Pracownia to moja świątynia. – zaśmiał się.

– To może ja...

– Nie. Chcę, żebyś tu była.

Uśmiechnęłam się i odwróciłam wzrok.

– Zobacz, te dwa krzesła ktoś chciał porąbać. Zapłaciłem parę złotych. Jeśli przyjedziesz tu jeszcze kiedyś, nie poznasz ich.

– Nie wiedziałam, że masz taki talent.

– To raczej chęć wypełnienia sobie czymś czasu. Lubię tu przychodzić i dłubać, czasem wpadają mi do głowy fajne pomysły, czasem nie. To moja iluzja.

– Dla mnie to sztuka i jakaś misja, by nic nie umarło.

– Pięknie powiedziane, ale u mnie to chyba coś bardziej prozaicznego. Ale masz rację, czasem czuję, że każdy z tych przedmiotów opowiada mi jakąś historię – popatrzył mi w oczy. – A tak naprawdę to puszczam wodze fantazji. Nawet nieźle wymyślam.

– Podobno przedmioty przechowują w sobie historię miejsc, w których były. I emocje właścicieli.

– Nie strasz – zaśmiał się.

– Nic o nich nie wiesz. Pomyśl tylko, nie wiesz, gdzie stało to krzesło całymi latami, do kogo należało, kto na nim siedział, czy było w domu szczęśliwym, czy w domu pełnym smutku.

– Jesteś czarownicą?

– Może.

– Gdzie się tego nauczyłaś?

– W tajemnej szkole babci. Klara Wrońska była czarownicą. W średniowieczu zostałyby spalona na stosie.

– To dlatego twój dziadek tak za nią szalał. Masz to po niej.

Rozglądałam się po niezwyklej pracowni. Mój wzrok zatrzymał się na lustrze, w którym odbijały się nasze sylwetki. Było częściowo zasłonięte przez plakaty zwinięte w rulony. Moją uwagę zwróciła prosta i błyszcząca rama lustra, za którą

było zatknięte zdjęcie. Zatrzymałam na nim wzrok. Patrzyłam na dziewczynę nad rzeką, która śmieje się i związuje włosy w kucyk. Doskonale pamiętałam tamtą chwilę. Byłam speszona, a on robił zdjęcie za zdjęciem. Teraz patrzyłam na tamtą siebie, nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę ja. Po chwili przeniosłam wzrok na Piotra w odbiciu lustra. A więc byłam tu z nim, w jego świątyni, we wszystkie wieczory, gdy szlifował stare komody z ohydnej farby albo tuszował ubytki w zabytkowej filizance.

Nie powinnam była tu przyjeżdżać, nie powinnam była się umawiać. To zbyt mocno poruszało we mnie dawne struny. Od samego początku starałam się zachowywać naturalnie, lecz gdy tylko nasze oczy się spotykały, czułam drżenie całego ciała. Obserwowałam go ukradkiem, jego gesty, ruchy, to, jak zagryza wargę. Bałam się nawet pomyśleć, że taka miłość, jaką czułam do niego dawno temu, zdarza się w życiu tylko raz. Bałam się pomyśleć, że moja miłość do Louisa, choć prawdziwa, jest już całkiem inna.

Wypełniała mnie mieszanina uczuć. Chciałam uciec i jednocześnie zostać. Z jednej strony coś szeptało, że zostając, popełniam błąd. Z drugiej niczego nie pragnęłam bardziej, niż ukryć się tu przed światem. Musiałam przyznać sama przed sobą, że stojąc obok Piotra, w ciasnej, zagraconej pracowni, z całych sił pragnę, by mnie objął i przytulił. Czułam jego zapach, mieszankę perfum i skóry. Uwodził mnie wszystkim, sposobem mówienia, duszą piękną, mądrą. Swoją obecnością. Pragnęłam go i wstydziłam się tego sama przed sobą. Byłam zdumiona, jak jedno spotkanie z chłopakiem z przeszłości może zburzyć budowany latami wewnętrzny spokój.

Nagle znalazł się tuż przy mnie i zbliżył swoją twarz do mojej tak bardzo, że mogłam jak kiedyś przejrzeć się w jego oczach.

– Wiesz, co nie umiera?

– Nie.

– Właśnie to.

Patrzył na mnie tak, jakby nigdy nie uwierzył w słowa, które powiedziałam przy naszym ostatnim spotkaniu: że to koniec, muszę odjechać. Jego oczy stały się mapą, która prowadziła mnie do tamtych dni.

– Lena, gdzie byłaś, co się z tobą działo?

– Na spacerze – odparłam, zrzucając z nóg buty i zerkając w lustro. – Wyszłam z domu niedawno.

– Ach, tak? – Laura zawiesiła na mnie wzrok. – Wróciłam dużo wcześniej, nie zastałam cię i wiem, że nie ma cię w domu przynajmniej od kilku godzin.

– Naprawdę? – zapytałam nieswoim głosem, zdziwiona tym, jak bardzo straciłam rachubę czasu. Ostatni raz zdarzyło mi się to wtedy, gdy poznałam Louisa i pojechałam z nim do domku letniskowego na jeden wieczór, który zakończył się o świcie.

– Dzwonił Louis? Bo ja nie mogłam się do ciebie dodzwonić. Masz wyłączony telefon.

Sięgnęłam do torebki. Znalazłam telefon na samym dnie. Ekran wyświetlacza był czarny.

– Zwyczajnie się rozładował. Nic się nie stało.

– Denerwowałam się.

– W Starej Skale nic mi nie grozi, mamó. Poza tym od dawna jestem już dorosła. Trzydziestka już dawno za mną.

– Świetnie. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Lena – oczy mamy były badawcze i na chwilę otworzyły się szerzej. – Masz pozdrowienia od pani Elizy. W kuchni jest placek, który upiekła. Dobry. Mogę zrobić herbatę, chcesz?

– Dziękuję, mamó. Placek chyba musi poczekać do jutra – uśmiechnęłam się. – Jak się czujesz?

– Zmęczona. Jeszcze przez chwilę się tutaj pokręcę i położę się dziś wcześniej.

– Ja też już pójdę do siebie. Dobranoc, mamó, śpij dobrze.

Przytuliłam ją i pocałowałam w policzek, po czym weszłam po schodach na piętro. Chciałam być sama. W swoim pokoju poczułam się trochę tak, jakbym znów miała siedemnaście lat. Popatrzyłam na stary plakat U2 i serce wryte na ścianie. „Kocham cię, wiesz?”, powiedział Piotr, gdy go zobaczył pierwszy raz, i wskazał na patrzącego na nas Bono. „I jestem zazdrosny o tego gościa”. Śmiałam się, a on chwycił cyrkiel z mojego biurka i jednym ruchem wrył na ścianie serce, nad łóżkiem, blisko poduszki, na której co wieczór kładłam głowę. „Przypatrzyć się

dobrze. To serce będziesz widzieć każdego ranka i wieczora. Ma ci przypominać o mnie. Już zawsze”.

Miałam kryzys? W wieku trzydziestu czterech lat? Być może. Pragnęłam zostać sama na cały wieczór, noc, poranek. Na cały kolejny dzień. Wiedziałam, że to niemożliwe. W domu była Laura. Wsunęłam się w ubraniu pod koc. Przed oczami miałam tyle wspomnień.

To był upalny dzień czerwca. Wszystko mnie rozpraszało. Poprawiłam włosy, zastanawiając się, czy mój lęk jest widoczny na twarzy.

„Boisz się?”, zapytał. „Nie musimy, możemy poczekać”. Odpowiedziałam, że się nie boję, ale to nie była prawda. Leżeliśmy w jego pokoju w półmroku. Całował mnie w usta, potem w szyję, moje ciało drżało, jego dotyk i pocałunki sprawiały mi przyjemność. W końcu napięcie ustąpiło, rozluźniłam się i pozwoliłam na to, co sprawiło, że staliśmy się jednością. Czułam jego energię skupioną na mnie, na moich odczuciach i emocjach. Z tamtego wieczoru zapamiętałam wszystko, a najbardziej jego oczy wpatrzone we mnie, jakby nie chciał stracić sekundy z tego, co przeżywałam, co działo się w mojej duszy, i potem jego oczy coraz bardziej zamglone, gdy spadał w swoją otchłań. Cieszyłam się, że to właśnie z nim przeżyłam swój pierwszy raz.

Przewróciłam się na bok, zwinęłam w kłębek. Rozmyślałam o tęsknocie, o tym, że w tęsknieniu za kimś chodzi o tę jedną chwilę, gdy pojmuje się w pełni, całym swoim istnieniem, jak bardzo się pragnie, by ten ktoś był tuż obok. Dzisiaj. Teraz. Na zawsze. I że nie można przestać za kimś tęsknić. Można tylko nauczyć się z tęsknotą żyć. Balansować między spokojem a tym, co kiedyś było wszystkim. Myślałam o bliskości. Pragnęłam jej, a jednocześnie się na nią zamknęłam. Oszukiwałam Louisa? Kochałam go. Ale nasza miłość była pozbawiona szaleństw i uniesień, miałam wrażenie, że w naszym związku to ja jestem stroną, która nie otwiera się do końca. Kochałam go miłością dobrą, spokojną, z poczuciem, że ta szalona nie istnieje i ten, kto w nią wierzy, przegra, a Louis jest idealnym partnerem na życie. Przeczytałam gdzieś, że małżeństwo to diament szlifowany przez całe lata, a idealna para to nie ta, która nie ma problemów, tylko ta, która mimo przeszkód pozostaje razem. Wierzyłam, że tak właśnie będzie w moim małżeństwie z Louisem. Lęki czasu dorastania ciągnęły się za mną przez lata. Tamten dzień, kiedy tata przyszedł i powiedział, że się wyprowadza, wciąż we mnie żył. Rozmawiał ze mną jak z dorosłą. Nie potrafiłam tego udźwignąć. Musiałam. Dowiedziałam się, że ojciec nie kocha matki i o odejściu myślał od dawna, bo z jego szalonej miłości nie pozostało nic. Budziłam się w nocy z lęku o przyszłość. O to, że wszyscy, których kocham, prędzej czy później mogą odejść. Zerwałam z Piotrem, bo panicznie bałam się, że on zrobi to pierwszy. Na zewnątrz byłam miła, cicha, ułożona. Nikt się nie domyślał, jak bardzo czuję się złamana i jak perfekcyjnie opanowałam sztukę



chowania bólu. Codziennie rano zbierałam się w sobie i brnęłam przez dzień. Ludzie postrzegali mnie jako pogodną, miłą dziewczynę. Wieczorem czułam się jak po maratonie. Musiałam być silna nie tylko dla siebie, lecz także dla matki. Tłumiłam własne uczucia, by nie dokładać jej problemów. Czasem czułam, że czegoś mi brakuje, ale sama nie wiedziałam czego. Miałam wrażenie, że zniknęłam.

Po latach, kiedy byłam już dziennikarką, pisałam głównie o związkach i miłości, wciąż szukając odpowiedzi. Pewien psycholog powiedział mi w wywiadzie, że niektórzy po takim doświadczeniu nie potrafią w dorosłym życiu zbudować związku, nie wiążą się z nikim na stałe i mają problemy z partnerami albo wręcz odwrotnie – robią wszystko, by w ich życiu nie było powtórki historii rodziców, szukają opoki, bezpiecznej przystani, gdzie ukoją swój lęk i ból. Wyszłam za mąż za mężczyznę, którego sama sobie wybrałam. Marzyłam o człowieku, któremu przede wszystkim będę mogła zaufać i dzięki temu zakończę swoje poszukiwanie spokoju. Wtedy poznałam Louisa.

Musiałam zasnąć. Ze snu wyrwał mnie ostry dźwięk. Wydawało mi się, że muszę już biec, że jestem gdzieś spóźniona. Spojrzałam za okno: było ciemno, a zegar pokazywał drugą w nocy. Odgłos dobiegał od strony komórki, spojrzałam na wyświetlacz. To był SMS od Louisa. *Co się z tobą dzieje, nie mogłem się dodzwonić. Wszystko w porządku?* Wyobraziłam go sobie, jak siedzi sam po ciężkim dniu, po operacji i dyżurze, w pustym domu albo jeszcze szpitalu, podczas gdy ja w tym samym czasie tracę poczucie rzeczywistości. Natychmiast do niego zadzwoniłam.

– Louis? Przepraszam, rozłądował mi się telefon. A potem zasnęłam.

– Nareszcie jesteś. Obudziłem cię tym esemesem. Przepraszam. Dopiero teraz zobaczyłem, że jest środek nocy. W szpitalu czas biegnie inaczej – jego głos był miękki i trochę niepewny. – Postanowiłaś już, kiedy przyjedziesz? Chcę, żebyś tu była.

– Wiesz, nie wiem... Chyba będę musiała zostać jeszcze chwilę, żeby odwieść mamę od sprzedaży domu. Nie mogę na to pozwolić. I chcę jeszcze uporządkować rzeczy dziadka.

– Tak, oczywiście. Ale sprzedaż domu... czy Laura to dobrze przemyślała? Naprawdę? Nie szkoda będzie? W końcu to cała rodzinna historia.

– Nie dopuszczę do tego. Nie wiem, co będzie z domem w przyszłości, ale na razie jest za wcześnie na takie zmiany.

– Jasne – chrząknął. – Czyli nie przyjedziesz?

– Jeszcze nie teraz, Louis, wybaczone, ale postaram się jak najszybciej.

– Rozumiem.

– Nie gniewaj się, proszę.

– Nie gniewam. Wszystko OK, jestem tylko zmęczony. Ta operacja była długa.

– Louis... spróbuj się przespać. A rano jedź do domu i odpocznij. Nie rób nic innego poza totalną nudą. Obiecujesz?

– Obiecuję. Fajnie byłoby, gdybyś ponudziła się razem ze mną.

– Ponudzę się. Tak będzie.

– Lena?

– Tak?

– Kocham cię.

– Kocham cię.

Właściwie mogłam już wracać do Paryża. Coś jednak mnie tu trzymało. I tym czymś nie była perspektywa sprzedania domu, bo wiedziałam, że bez mojej zgody do tego nie dojdzie. Powodem nie był też Piotr. Czułam, że chcę tu pobyć, coś sobie ułożyć, o czymś się przekonać. Nie umiałam tego wytłumaczyć nawet sama przed sobą.

Następnego ranka obudziłam się z suchym gardłem i natychmiast poszłam do łazienki napić się wody prosto z kranu. Spojrzałam w lustro. Wydawało mi się, że mam trochę inną twarz. Zdjęłam z siebie ubranie. Stałam przed lustrem naga. Przyjrzałam się sobie krytycznie. Nawet nieźle, stwierdziłam, figurę mam proporcjonalną, brzuch dość płaski, nogi może zbyt masywne, ale zgrabne. Wzięłam szybki prysznic, wróciłam do pokoju, założyłam ulubione dresowe spodnie i sweter. Z dołu dobiegł głos Laury, która zapraszała mnie na śniadanie.

– Zaraz zejść, mam, daj mi chwilę! – krzyknęłam przez uchylone drzwi.

Zeszłam po schodach. Gdy mijałam komodę, na której stały rodzinne fotografie, zatrzymałam się. Z jednej z nich dziadek Albert patrzył na mnie zagadkowo.

– Dziadku, pomóż – powiedziałam ledwie słyszalnym szeptem. – Zawsze pomagałeś.

– Mówiłaś coś? – Laura wyjrzała z kuchni. – Dzień dobry, chodź, kochanie, herbata stygnie. Mamy dziś ucztę. Placek pani Elizy. Własnej roboty. Ale to na deser. Najpierw śniadanie. Spróbuj tego chleba. To też jej dzieło. Jest taki, jak lubisz, chrupiący.

– Eliza jest boska – zamruczałam, odgryzając kawałek spieczonej piętki.

Jadłam i słuchałam opowieści Laury o tym, co robiła poprzedniego dnia, i jednocześnie rozmyślałam o tym, czy można coś czuć do dwóch mężczyzn, czy to w ogóle jest możliwe.

– Lena, za kilka dni ma przyjechać agent nieruchomości – powiedziała nagle mama, starając się, by jej głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie. – Całkiem niezobowiązująco. Oцени stan domu, poda kwotę, za jaką może zostać sprzedany.

– Mam, serio? Dlaczego się tak spieszysz? Myślałam, że ten pomysł jednak upadł tak szybko, jak się narodził.

– To nic wiążącego. Wierz mi. Przecież nie zrobię niczego bez ciebie.

– Szkoda na to czasu, wierz mi. Po co ci to?

– Po prostu chcę wiedzieć, za jaką kwotę w razie potrzeby możemy sprzedać dom. Przyjrzałam się matce z uwagą. Czasem jej nie rozumiałam.

– Posłuchaj, będę musiała teraz wyjechać. Na jeden dzień, może dwa. Mam spotkania związane z moją wystawą. Rozumiesz: umowa, plany, terminy. Zostaniesz tu sama?

– Chyba nie mam wyjścia?

– Możesz jechać ze mną do Warszawy.

– Nie, masz swoje sprawy, załatw je i wróć. Nie będę ci przeszkadzać.

– Na pewno?

– Tak, mamo, nie martw się. Nawet dobrze mi to zrobi.

Uśmiechnęłam się do Laury. Było mi na rękę, że zostanę sama, marzyłam o odosobnieniu już od jakiegoś czasu, chociaż na jeden dzień. Nie wiedziałam, co będę robić, ale na pewno nie wyjdę z domu. Jeśli nie będzie ulewy, pobuszuję w ogrodzie. Zobaczę, co się wydarzy.

Dopijałam kawę, gdy na parapecie usiadł biały ptak. Już go gdzieś widziałam. Czy to nie ten sam, który w dniu mojego przyjazdu siedział na furtce? Zaglądał do pokoju i zerkał na mnie.

– Jaki piękny! – Laura też go zauważyła. – Ptaki nie przylatują do człowieka ot tak sobie.

– Wiem od babci. To ona mówiła, że to wysłannicy bogów. Przylatują, by przekazać nam wiadomość lub wyprzedzić to, co niebawem się wydarzy – powiedziałam i poczułam, że przeszył mnie dreszcz.

– Tak, miała na ten temat całą teorię. Pamiętam, jak mówiła, że zwiastują śluby, narodziny dziecka, śmierć, choroby, tragedię i szczęście. Byłam bardzo młodą dziewczyną i trochę nie wierzyłam, a trochę się bałam. A ona wyjaśniała dalej, że ptaki chcą powiedzieć nam, że ktoś, kogo nie ma już wśród żywych, bardzo za nami tęskni, albo przekazać, żebyśmy wreszcie dostrzegli kogoś, kto nas kocha i może kochać przez całe życie. Uważała, że ptaki to też dusze wypuszczone z innego świata po to, aby mogły zobaczyć swoich bliskich.

Dzięki babci i dziadkowi sporo wiedziałam o ptakach. W dzieciństwie zimą sypałam ziarna słonecznika do karmników i obserwowałam, jak zlatują się wszystkie dzikie, niezwykle ptaki lasu. Gdy wiosną zaczynał się w przyrodzie ruch, latały jak oszalałe, uderzając czasem w wielkie okienne szyby w salonie. Razem z dziadkiem robiliśmy wszystko, by ratować im życie. Niektóre, gdy odzyskały siły i wyszły z oszołomienia, wzbijały się w powietrze, inne nie przeżywały uderzenia i trzeba było je zakopać w ogrodzie, pod drzewem albo płotem. Spoczywały w jamkach przysypane ciepłą ziemią. Każdemu życzyłam spokojnego snu.

– Jednak zacznę śniadanie od przysmaków Elizy. Nie mogę się powstrzymać. Ona jest mistrzynią – Laura uśmiechnęła się i ukroiła dwa spore kawałki placka, jeden z nich podsunęła mi na talerzu.

– Masz rację, to najlepszy pomysł na rozpoczęcie dnia. Właściwie nie mam ochoty na nic innego.

Gołąb posiedział jeszcze przez chwilę i odleciał, a ja przypomniałam sobie pewien poranek, gdy siedziałam na tarasie razem z mamą i babcią, obserwując kręcące się wokół domu ptaki. „Zadzieraj wysoko głowę i słuchaj ich głosów, one zawsze mają ci coś do powiedzenia”, powiedziała Klara, a Laura natychmiast dodała: „Pamiętaj, że żaden ptak nie wzbija się za wysoko, jeśli wzbija się na własnych skrzydłach. To nie moje słowa, tylko poety Williama Blake’a, prawda, że piękne?”.

Na piętrze coś stuknęło. Usłyszałam skrzywienie podłogi i zamknięcie drzwi. Tak było od zawsze. „To dźwięki domu”, mawiał dziadek Albert. „Budynek też przecież żyje.”

„To duchy”, kręciła głową babcia Klara. „Duchy mojej matki i babki kręcą się tutaj, kochały to miejsce za życia, kochają też po śmierci”.

Przez całe dzieciństwo słyszałam w nocy pisk dobiegający od strony kolejki i szum lasu, sosen, które wraz z tymi w naszym ogrodzie tworzyły jedną rodzinę. Zginały się na wietrze, a ja się bałam, że złamią się jak zapałki, gdy podmuchy z łagodnych zmieniały się w porywiste, a szum w wycie.

Zostałam sama. Laura pojechała organizować swoją wystawę. Przede mną był cały długi dzień. I cała noc. I może jeszcze dzień kolejny. Boskie uczucie.

Już nie bałam się kroków na schodach jak w dzieciństwie. Nie mogłam wtedy zasnąć, zaciskałam powieki i przykrywałam się kołdrą po czubek głowy. „To tylko twój strach, twoja wyobraźnia”, przekonywał tata i odsłaniał mi głowę. „Trzeba stawić mu czoła”. Miał rację, lecz wtedy silniejszy od jego słów był mój lęk.

Poza Klarą nikt nie uwierzył w moje słowa. Pewnego wieczoru bawiłam się klockami na dywanie. Byłyśmy same w domu, we dwie, Klara i ja. „Babciu, w fotelu siedzi piękna pani”, powiedziałam. „Ma kapelusz i uśmiecha się do nas”. Klara nie odezwała się słowem, ale tej nocy długo paliła świece. Po pewnym czasie zobaczyłam zdjęcia w rodzinnym albumie. „To ta pani”, od razu wskazałam palcem jedno z nich. „Która pani?”, dopytywała się Klara. „No ta, która siedziała w fotelu”, odparłam spokojnie, jakby obecność ducha była tak naturalna jak zjedzenie bułki z masłem. Ze zdjęcia patrzyła na nas praprababka Eleonora Leszczyńska. Ta, która sto lat temu kupiła ten dom.

Od tamtej pory Klara zarzekała się, że dzieci i zwierzęta widzą więcej. Wyczytała gdzieś, że u zwierząt ten dar nie zanika, dzieci w większości tracą go, dorastając, gubią w codzienności, w postrzeganiu świata, jakiego zostały nauczone. Tylko nieliczni zachowują go w sobie przez całe życie, ale podobno każdy, kto go utracił, może go w sobie odkryć na nowo.

Nie przejęłam się więc teraz, słysząc stuknięcia obcasów na piętrze. Zjadłam pajdę chleba pani Elizy, popijając kawą. Otworzyłam laptop i sprawdziłam pocztę

elektroniczną, odpowiedziałam na wiadomości. Redakcja planowała kolejne numery, miała dla mnie nowe tematy, przyjął je wszystkie. Pierwszy miał być wywiadem z obsypaną nagrodami aktorką i wiązał się z wyjazdem nad morze.

Dzień upływał mi na bezcelowym przemieszczaniu się z pokoju do pokoju, siedzeniu w salonie, porządkowaniu kuchni i zbieraniu informacji do tekstu. Robiłam wszystko, by tylko oderwać myśli od zdarzeń ostatnich dni. I od Piotra.

Późnym popołudniem założyłam kurtkę i nalałam do kieliszka trochę czerwonego wina. Wyszłam na taras. Lubiłam posiedzieć na wiklinowym krześle nawet zimową porą, w rękawiczkach, czapce, otulona w koc, z kubkiem gorącej czekolady albo czymś mocniejszym. Spojrzałam w górę, od strony lasu nadciągało ciemne wieczorne niebo. Trele ptaków cichły. Drzewa i liście wirowały w tańcu na wietrze. Czasem miałam wrażenie, że to miejsce i cała Stara Skała nie istnieją naprawdę, że są wytworem mojej wyobraźni. I za to jeszcze bardziej je kochałam.

Byłam sama. W środku lasu. Wśród drzew i bujnej przyrody, która przybierając jesienne barwy, szykowała się do białego snu. Przepełniał mnie spokój. Nabrałam powietrza w płuca. Było rześkie. Nie wiem, ile upłynęło czasu, ale nagle poczułam, że zimno zaczyna mnie przenikać, a wiatr staje się coraz mocniejszy. Weszłam do domu. Zamknęłam okna i drzwi. Z butelką wina w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej skierowałam się na piętro.

Wślizgnęłam się, jak tylko umiałam najciszej, do pokoju Klary, jak za dawnych lat, gdy nie chciałam przeszkadzać jej w pilnych sprawach albo w drzemce.

Usiadłam przy jej toaletce. Butelkę postawiłam na podłodze, kieliszek z winem przy szkatułce z pozytywką, która stała na toaletce, odkąd sięgałam pamięcią. Jako dziecko wkładałam do niej kluczyk, kręciłam nim w prawą stronę i czekałam na dźwięki rzewnej melodyjki. Kluczyk zapodział się gdzieś dawno temu, pozytywka nagle przestała grać. Stała na toaletce jako ozdoba, a na samym jej wierzchołku, w szklanej kuli, była zatrzymana w tańcu szklana baletnica.

Pokój wyglądał tak, jakby Klara wyszła z niego tylko na chwilę. Rozejrzałam się, pokręciłam wśród mebli i usiadłam w fotelu, kładąc głowę na wysokim oparciu. Był wygodny, nic dziwnego, że babcia tak lubiła czytać w nim książki.

Wyobraziłam sobie młodą Klarę. Jej dzieciństwo, dorastanie, miłość. Przecież tu się wychowała, tu wprowadziła swojego przyszłego męża. Dla mnie była babcią, ale przecież była też dziewczyną, a potem kobietą, Klarą, która pragnęła spełniać swoje marzenia.

Żałowałam, że już nie usłyszę od Klary żadnej opowieści. Miałam do niej tyle pytań. O dziadka. Miłość. Mężczyzn. Sekrety. W kim kochała się, zanim poznała Alberta? Jaką miała receptę na dobry związek? Kim chciała być w życiu? Jakie miała marzenia? Była przecież kobietą pełną pasji, inteligentną, urodziwą, mądrą.

Nie miała trzydziestu lat, gdy została panią domu, miała męża i córkę. Oddała im wszystko. Była głową i sterem. Z jednej strony z domowych czynności nigdy nie zrobiła religii i była daleka od uzależnienia swojego życia od pieczenia placków, zbierania pyłków kurzu, obszywania postrzępionych nogawek i kołnierzy. Z drugiej strony dom pod jej wodzą błyszczał, obiady smakowały tak, jak nie smakowało już nic, co jadłam później nawet w najbardziej wybornych paryskich restauracjach, bo u Klary nawet skórka chleba stawała się niebem. Jak to robiła, że wszystko w domu grało, a ona była pełna powabu i kobiecego czaru, na zawsze pozostanie jej tajemnicą. Lubiłam jej pomagać. Bo każdą rzecz, którą robiłyśmy razem, Klara ubierała w piękną i mądrą opowieść.

Przed wojną uczyła się w luksusowej pensji Stefanii Tołwińskiej, prywatnej szkole dla panien z dobrych domów przy ulicy Świętej Barbary w Warszawie, którą ukończyła też jej mama, Melania. Klara mieszkała w części szkoły na ostatnim piętrze, gdzie utworzono pokoje dla wychowanek spoza Warszawy. Do domu jeździła w każdy piątek na sobotę i niedzielę. Ukończyła też szkołę haftu, wyszywała obrusy, potrafiła z kawałka gałganka zrobić cacko. Jej panińska pościel miała wyszyte inicjały, podobnie chusteczki zdobiły litery: „KB”. Klara Bach. W wianie od matki dostała piękne obrusy, pościele i prześcieradła. Serwisy obiadowe, wazy, patery. I obrazy, których w domu było sporo. Bibliotekę. Właściwie cały dom. „Przecież jest twój”, jej matka powiedziała pewnego dnia. „Przekazuję ci go, od dziś jesteś jego panią”. Miała artystyczną duszę nauczoną porządku i organizacji. Z pasją realizowała się w salonie jubilerskim. Projektowała kolczyki, z czasem otworzyła własną pracownię nad salonem i razem z Albertem wyrabiała biżuterię na specjalne zamówienia. Był czas, że ich zakład był znany w samej stolicy. Mieć w uszach kolczyki od Wrońskich, którzy mieszkają na tajemniczej wyspie, to było coś. Klara często zabierała mnie do miasteczka. Siadałyśmy w kawiarni jak dwie damy, kelnerka przynosiła w dzbanku różaną herbatę, popijałyśmy ją z filiżanek i jadłyśmy widelczykami kawałki sernika wiedeńskiego. Pękałam z dumy, że Klara jest jedną z najbardziej eleganckich kobiet i wcale nie wygląda jak babcia. Była przy tym mądra i odcytana. „Jeśli chcesz w życiu dokonywać właściwych wyborów, musisz wejść w kontakt w własną duszę. Zapamiętaj to”, powiedziała pewnego dnia. „I nigdy, przenigdy nie pozwól zamknąć się w klatce. Choćby była wysadzana diamentami i ze złota”. Przytaknęłam, wyobrażając sobie, że zostałam wepchnięta do klatki dla słowika, który śpiewa dla ludzkiej uciechy, z rozpaczy, tęsknoty i żalu za wolnością. Klara była wymarzoną babcią, a Laura – mamą, nawet jeśli bywała niepokorna i ekscentryczna. Ramiona obu zawsze były dla mnie szeroko otwarte. Każda miała swój osobny pałac, w którym można było się ukryć przed światem. Pokój babci kojarzył mi się z oazą bezpieczeństwa i dobroci. Pokój mamy – królestwem miłości i zachwyty. Ja również miałam swój pałac. Dziewczęcy pokój,

który nie zdążył się zamienić w kobiety i dorosły. Ale był mój i lubiłam do niego wracać. Wszystko w nim było znajome, bliskie. Wpadające przez okno zapachy deszczu i wilgotnej trawy, akacji i kwiatów bzu. Przebywając w nim, zawsze czułam się, jakbym znów była małą dziewczynką, która bała się tu sama spać, albo odkrywającą swoją kobiecość nastolatką. Może to niedojrzałość, a może po prostu ciągłe poszukiwanie bezpiecznej przystani. Klara, artystka nie do końca spełniona, była najszczęśliwszą z matek, gdy zrozumiała, że jej córka ma talent, a jej świat to farby i pędzle. I płótno, nad którym może siedzieć godzinami, pokrywając je opowieściami ze świata wyobraźni. „Laura od początku miała ogień palący od środka. Płonęła z wielką mocą”, Klara powtarzała przy różnych okazjach. „Wiedziałam, że będzie wyjątkowa. Kiedy pierwszy raz wzięłam ją na ręce, czułam, jakbym trzymała piękną tykającą bombę. Wtedy trochę mnie to przerażało”.

Kochałam wszystko, co wiązało się z matką. Jej dawny pokój w domu na wyspie i warszawskie mieszkanie pachnące farbami i ziołami. Na ścianach wisiały obrazy, inne stały pod ścianą, nie wolno było ich dotykać, dopóki nie wyschną. Przyjeżdżali po nie kupcy, pili kawę, uśmiechali się, płacili i wychodzili z obrazami. Laura mówiła, że jest szczęśliwa, kiedy to, co stworzy, żyje dalej w innej energii i przestrzeni. Ale widziałam na jej twarzy żal jak za dzieckiem, które wylatuje z gniazda w świat. W dzieciństwie byłam nawet zazdrosna o twórczość, która matkę zagarniała, pochłaniała i zasysała. Czasem, by zrobić Laurze na złość, brudziłam farbami nowe ubrania, dotykałam palcem mokrego obrazu albo robiłam na nim rysę.

Próbowałam kiedyś namalować ogród. Obrazek był poprawny, kwiaty barwne, słońce złote, udało mi się nawet pokazać dobrze znajomy wiatr. Laura pochwaliła to, co stworzyłam, ale ja zdałam sobie sprawę, że nigdy nie dorównam matce talentem.

Kiedy chodziłam do szkoły, Laura wyglądała inaczej niż wszystkie matki. W szkole na wywiadówkach zawsze się wyróżniała. Kobiety przychodziły w garsonkach i żakietach, ona stawała w drzwiach w szpilkach i zwiewnej, kolorowej sukience, przykuwała rozmarzony wzrok wszystkich ojców i wrogie spojrzenia innych mam. Była zjawiskowa.

„Mamusiu, w co mam się ubrać, żeby być taka jak ty?”, zapytałam ją pewnego dnia. „Nie musisz być taka jak ja. Bądź sobą, bo jesteś niezwykła. I ubierz się, córeczko moja, w uśmiech. Najcudowniejszy, jaki masz”.

Uśmiechnęłam się do tego wspomnienia i wypiliśmy łyk wina. Otwierałam po kolei szuflady pełne bibelotów, notesów, pamiątek. Po raz pierwszy robiłam to sama. Znów byłam małą dziewczynką, dla której pokoje kobiet w tym domu stanowiły odrębne pałace. Tym razem mogłam zaglądać wszędzie bezkarnie. Wyobrażałam sobie, że zanim Klara przyszła na świat i dorosła, ten pokój należał do jej matki, Melanii, a wcześniej jego panią była Eleonora. W dzieciństwie wszystko, co dotyczyło tamtych kobiet, było tak dalekie jak kraniec wszechświata. Dla dziecka



świat zaczyna się od ludzi żyjących tu i teraz, od chwili obecnej. Czasy minione wydają się tak nierealne i odległe, jakby nigdy nie istniały. Albumów w komodzie leżało kilka. Sztywne oprawy, czarne karty, na nich fotografie wsunięte w narożniki. Robiłam to już tysiąc razy, znałam stare zdjęcia na wylot, ale to wcale mi nie przeszkadzało od nowa się nimi zachwycać. Ze zdjęć patrzyły eleganckie i piękne kobiety. Eleonora, Melania, Klara, ich matki i babki, damy dziewiętnastowiecznej Warszawy w gorsetach i sukniach z tiurniurą albo dziewczyny z nich uwolnione jak z pęt, w zwiewnych sukniach i naszyjnikach z pereł. Najbardziej lubiłam zdjęcia Anny, ciotki praprababki Eleonory, w jasnym, romantycznym kapeluszu, wymykającej się konwenansom, prawdziwej bohaterki swoich czasów, która zrezygnowała z pozycji społecznej dla mężczyzny.

Ponownie usiadłam przy toaletce. Złowiłam w szklanej kuli swoje odbicie. Ogarnęło mnie silne poczucie przynależności do kobiet w rodzinie, do tych, które żyły sto i więcej lat temu, poczucie silnej kobiecej więzi z tymi, które mieszkały w domu na wyspie przede mną, i z tymi, które jeszcze wcześniej wiodły życie gdzieś w świecie, przeżywały swój ból i szczęście, blaski i cienie. Zadrżałam z emocji i przedziwnego uczucia, że one wszystkie są teraz tutaj razem ze mną, stoją za mną i przeglądają się w lustrze jak ja.

*Jestem jedną z nich*, pomyślałam, jedną z tych kobiet, matek, żon, córek, walczących i niepokornych. Nie szkodzi, że mam inne oczy, inaczej wykrojone usta, mniej zaokrąglony nos. To nie ma znaczenia. Jestem taka jak one, mam ich siłę, muszę ją tylko w sobie odnaleźć i pokazać, że jestem pierwszą kobietą z rodu, która ma całkowicie wolny wybór, może układać swoje życie, jak chce, żyć odważnie. One walczyły. Próbowwały. Raz wygrywały, raz się poddawały. Ale podnosiły się. Nie biczowały się w imię ogólnego dobra. Symbolem siły stała się Eleonora. Dla męża, Tomasza, była całym światem. Jego dewiza: „Wszystko dla niej, kochaj ją, bo ktoś inny ją pokocha, słuchaj jej, bo wysłucha jej ktoś inny, bądź z nią i dla niej, bo pojawi się ktoś, kto ją będzie cenił bardziej niż ty”.

Eleonora podarowała pewnego dnia swojej córce, Melanii, list. Sama dostała go jako dorastająca panna od ciotki Anny, która skreśliła na kartce kilka ważnych zdań i wsunęła jej do ręki. Działo się to sto lat temu w środku Warszawy, w rodzinnym wielkim mieszkaniu w jednej z najpiękniejszych kamienic miasta. Zofia, matka Eleonory, zaprosiła tam swoją siostrę Annę, kobietę piękną i niepokorną, tę, która wyrzekła się pozycji społecznej i dotychczasowego życia, by wziąć ślub z ukochanym. Anna po jego śmierci była samotna, jej promiennosc i uroda zgasły. Mówiła jednak, że była szczęśliwa, że nigdy nie żałowała młodszej decyzji, by za cenę wykluczenia z rodziny przeżyć z nim wiele wspaniałych lat. Nie miała dzieci, w Eleonorze musiała zobaczyć dziewczynę podobną do siebie, może tylko niewiedzącą i zagubioną, bo podarowała jej kartkę z przesłaniem i złote kolczyki

z perłami, które zdjęła na jej oczach. Były bardzo stare i w rodzinie przechodziły z pokolenia na pokolenie. Nie wiadomo, skąd się wzięły. Legenda głosiła, że dawno temu zostały przywiezione z carskiej Rosji, należały tam do pewnej baletnicy i przyniosły jej szczęście.

Klara miała w szafie specjalny sejf. Dobrze go znałam, wiedziałam, że najpierw trzeba odsunąć wieszaki z sukniami, potem zdjąć kawałek deski z tylnej ściany szafy i wybrać specjalny kod. W sejfie stała schowana szkatułka z kosztownościami, które Klara dostała od Alberta, i rodową biżuterią po praprababkach przywożoną z różnych zakątków świata, która przetrwała wichry, wojny, przeprowadzki.

Wyjęłam ją ostrożnie. Otworzyłam. Wszystko było na miejscu. Naszyjniki, pierścionki, bransoletki noszone przez kobiety, które dziś istniały w pamięci i na fotografiach. Drżały mi ręce, gdy sięgnęłam po złote kolczyki z perłami i położyłam je na dłoni jak zakazany owoc. Przyłożyłam je do uszu i spojrzałam w lustro. Rzeczywiście były wyjątkowe. Wyjęłam z uszu swoje małe srebrne kuleczki i przez dziurki przeciągnęłam kolczyki Anny. Spojrzałam w lustro. Oniemiałam. W uszach prezentowały się jeszcze bardziej okazałe.

Gdy już napatrzyłam się na siebie w perłach, sięgnęłam po list ciotki Anny do młodej Eleonory, przechowywany razem z nimi w sejfie. Rozłożyłam kartkę delikatnie, by nie uszkodzić pożółkłego, ponad stuletniego papieru.

*Moja droga Siostrzenico!*

*Niebawem dorosisz i będziesz musiała sama o siebie dbać. Zapamiętaj moje słowa. Kochaj, kogo chcesz. Żyj, jak chcesz. Jeśli lubisz właśnie tę suknię, noś ją, jeśli lubisz tańczyć, tańcz, jeśli lubisz podróżować, podróżuj. Pomaluj usta czerwoną pomadką. To nie jest rozpustna zabawka kobiet z półświatka. To twoja broń. Zrób to. Nigdy nie słuchaj, gdy ktoś mówi ci, jak masz żyć. Dlaczego kobieta ma do wyboru: zostać z rodzicami albo dobrze wyjść za mąż? To smutne, ale uczą nas, że najlepiej zakochać się w kimś, kto ma pozycję i zasobne konto. Ja chciałam latać. Nie mam córki, ale gdybym miała, powiedziałabym jej bez wahania: odważ się marzyć, kochaj samą siebie i nigdy nie rezygnuj z miłości.*

Powąchałam kartkę. Wydawało mi się, że w powietrzu unosi się trochę ciężki, ale seksowny zapach perfum. Przesłanie, zważywszy, że Anna napisała je ponad sto lat temu, było rewolucyjne i mocne. Anna zdecydowanie nie należała do kobiet słabych, bez woli i własnego zdania, tych rozpamiętujących przeszłość, karmiących się złymi przeżyciami, ani też do słodkich idiotek lub kobiet zniewolonych, dla których najcenniejszą rzeczą w życiu było dobrze wyjść za mąż. Nie pasowała do swoich czasów – dziwoląg, którego imię wspominało się szeptem, tylko dlatego, że odważyła się żyć tak, jak chciała. Klara mówiła, że jej zdaniem ciotka Anna miała

szczęście, że nie spotkał jej los Blanche Monnier z Poitiers, porcelanowej piękności uwięzionej przez matkę w ciemnym pokoju na dwadzieścia pięć lat tylko dlatego, że nie chciała traktować miłości jak biznesowego układu.

Moc Anny przechodziła z pokolenia na pokolenie. Eleonora. Melania. Klara. Laura. Były silne i zarazem kruche, z głową w chmurach, ale nogami na ziemi. Niewielu wiedziało, że za ich siłą kryje się delikatny motyl, skrywający swój ból za pięknym uśmiechem.

Zamknęłam szkatułkę z postanowieniem, że pokażę ją Laurze, jak tylko wróci. Powinna każdego dnia nosić to, co nosiły nasze przodkinie. Odkładając ją na toaletkę, niechcący potrąciłam pozytywkę. Przechyliła się niebezpiecznie, ale na szczęście udało mi się ją złapać. Serce stanęło mi na chwilę. Niewiele brakowało, a spadłaby na podłogę.

– Cholera – mruknęłam sama do siebie. – Ufff...

Ocaliłam piękny, drogi sercu kicz. Może jeszcze kiedyś pozytywka zagra, a baletnica zatańczy.

Trzy koperty. Białe. Wąskie i podłużne. Na każdej wykaligrafowane imię. „Lena”. „Laura”. „Klara”. Biała teczka w formacie A4 zawiązana białą tasiemką.

Znalazłam je w biurku dziadka. Dzień spędzany samotnie w starym domu skłaniał do poszukiwań. Zajrzałam już niemal do wszystkich zakamarków. Na zakończenie podróży w przeszłość otworzyłam szafkę biurkową. Nie wiem, czego szukałam, to było irracjonalne. Jako mała dziewczynka myszkowałam w rzeczach dziadka z nadzieją, że znajdę w nich coś fascynującego, by po chwili z tym samym rozczarowaniem przekonać się, że jednak nie skrywają żadnych tajemnic. Dziadek był pod tym względem nudny, nie miał niczego ciekawego, właściwie nie miał niczego. Wszystko, co niezwykle, pochodziło od Klary, w jej pokoju do dziś unosiła się nawet woń perfum, jeden z zapachów mojego dzieciństwa. Pokój dziadka też pachniał, tylko jabłkami, które uwielbiał i przekrawał na pół albo na ćwiartki nożem.

Gdy zesłam do jego pokoju z piętra, popatrzyłam na fotel, w którym zasnął w dniu ostatecznym. Na zdjęcie Klary i obraz wiszący na ścianie po przeciwnej stronie łóżka. Usiadłam przy jego biurku i odruchowo otworzyłam szafkę. Ujrzałam w niej czysty papier, ołówki, pióro i atrament. Gazety. To wszystko. Jak zawsze. Nic szczególnego. Podeszłam do szafy. Kilka marynarek, koszule, spodnie, swetry. Ot, cały dobytek człowieka mieszczący się na kilku półkach i w kilku szufladach. Trochę smutne, a zarazem świadczące o prostocie życia. Wróciłam do biurka i położyłam na jego blacie czysty papier i pióro. Atrament w szklanym słoiczku był stary i wyschnięty. Włożyłam głowę do szafki w poszukiwaniu nowego. Dopiero teraz dostrzegłam pudełko wciśnięte na sam koniec półki. Pomyślałam, że dziadek przechowywał w nim inne pióra, atramenty i różne akcesoria, a wraz z nimi tajemnicę pięknego pisania. Jego kaligraficzne pismo było nie do podrobienia. Drobne, zdecydowane, miejscami okrągłe, czasem spiczaste, z pogrubieniem albo cienkim zawijasem. Litery i wyrazy jak dzieła sztuki. Kreski cieniutkie, rozszerzające się płynnie w piękne, dorodne brzuski „a” i „b”. Zawijasy przy „y” i „j”. Przywodziły mi na myśl stare dokumenty wydobyte z odmetów przeszłości i spoczywające w muzeach za szybą. Dziadek zawsze pisał piórem i kupował

specjalny, dobrej jakości atrament. Jako dziecko lubiłam siedzieć obok i wsłuchiwać się w skrobanie stalówki po papierze.

Pudełko stało za gazetami. Na pierwszy rzut oka wyglądało jak karton po butach. Wyjęłam je i podniosłam wieczko. Te trzy koperty i teczka przyprawiły mnie o drżenie serca. Lecz dopiero po chwili zaczęło do mnie docierać, co tak naprawdę znalazłam. Zaparło mi dech.

Ludzie, odkrywając tajemnice, zazwyczaj muszą najpierw znaleźć klucz. A gdy go znajdą, okazuje się, że nie pasuje do zamka. A gdy już otworzą zamek wytrychem, w środku jest wielkie nic. Poszukiwania trzeba zacząć od nowa. Ja odkryłam tajemnicę dziadka w zwyczajnym pudełku po butach.

Zastanawiałam się, jak długo tu spoczywało, czekało na swój czas. Kilka miesięcy czy lat? Od czasów dzieciństwa nie zaglądałam do biurka dziadka. Albert był pewien, że nikt nie będzie szperał w jego rzeczach. Nie obawiał się, że ktoś odkryje jego sekret, zanim on tego zechce. Dlatego nigdy nie trzymał swoich rzeczy pod kluczem.

Zrobiło się zimno. Przeniosłam pudełko z zawartością na górę. Usiadłam na podłodze w swoim pokoju, na niedużym, miękkim dywanie, z lampką wina i w rodowych kolczykach znalezionych w sejfie babci Klary.

Zadrzałam z emocji. Koperta zaadresowana do mnie była tylko lekko zaklejona, otworzyłam ją z łatwością. Znajdowały się w niej dwie kartki zapisane drobnym, kaligraficznym pismem z charakterystycznymi zamaszystymi literami „y” i „z”. Niektóre słowa zostały dopisane trochę później, już po skończeniu listu, były wyraźnie wciśnięte nad linijki. Na samej górze widniały miejscowość i data: Stara Skala, 2010.

Obracałam kartki w dłoniach. Zaczęłam czytać, lecz widziałam tylko pojedyncze słowa. Dopiero po chwili zaczęły składać się w zdania, a potem w całość.

*Kochana Leno.*

*Księżniczko.*

*Jeśli to czytasz, to znaczy, że umarłem, a Ty wszystko znalazłaś. I będziesz wiedziała.*

*Wybacz, że ukrywałem prawdę przez całe swoje życie, ale była zbyt trudna do opowiedzenia.*

*Cokolwiek o mnie pomyślisz, kiedy już ją poznasz, chcę, żebyś wiedziała, że bardzo Cię kocham. I Twoją mamę, a moją córkę Laurę. Wiem, że Wy obie też mnie kochacie. Kochałem też Klarę. Byłem szczęściarzem, przez wiele lat miałem w domu trzy wspaniałe kobiety.*

*Klara pojawiła się w moim życiu niczym spadająca gwiazda. Nigdy nie poznałem i nie poznam kogoś takiego jak ona. Była wesoła, bystra i piękna.*

Kochałem ją. Bardzo. Uratowała mnie. Przy niej odnalazłem sens życia. Odzyskałem spokój i wiarę w dobro. Zrozumiałem, że mam swoje miejsce na tym świecie i muszę zrobić to, do czego zostałem powołany. Tylko dzięki niej mogłem dalej żyć. To było tak, jakbym znów znalazł się w domu. Nie mówiłem o wojnie, nie mogłem, nie umiałem. To było zbyt bolesne. I ona to rozumiała. Była wspaniałą kobietą. Chciałem dać jej wszystko. Przy niej czułem się lepszy. Mam nadzieję, że do końca swoich dni była ze mną szczęśliwa.

Kiedy odeszła, płakałem nad nią i nad sobą. Czasem ją widzę. Siedzi na tarasie, ciesząc oczy widokiem swoich białych róż, albo krząta się w kuchni. Kiedy próbuję do niej podejść, znika. „Zostań”, mówię wtedy cicho, „nie odchodź”. Ale ona odchodzi. Jakby nie była moja. Początkowo ogród pielęgnowałem tylko dla niej. Potem również dla Ciebie i Laury. Zacząłem jednak z myślą o niej. Kochała rośliny, kwiaty, wśród nich się wychowała. Ja dorastałem w Warszawie, dużym mieście, ale po tym, co przeżyłem w czasie wojny, istnienie każdego kwiatka, mlecza, trawy, nawet chwastu stało się dla mnie święte. Na dziesiątą rocznicę ślubu zasadziłem dla niej w ogrodzie dziesięć krzewów białych róż. Zrobiłem to wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spała. Gdy się obudziła, kazałem jej zamknąć oczy i poprowadziłem ją na balkon. Ze łzami w oczach powiedziała, że to najpiękniejszy ogród, jaki kiedykolwiek widziała. Kiedy odeszła, początkowo myślałem, że nie mam już dla kogo sadzić, pielnić, uprawiać. Po czasie przyszła nowa myśl – będę o niego dbał, bo ona by tego chciała. Ale chyba już nie zdążę.

Księżniczko.

Nie miej mi niczego za złe. Staralem się, jak mogłem, byście były szczęśliwe. Zanim mnie ocenisz, przeczytaj moją historię do końca. Pisałem ją długo, ale mogłem do niej usiąść dopiero po wielu latach od tamtych zdarzeń. Może nie należałem do najłatwiejszych z ludzi, ale wszystko robiłem z myślą o Was.

Byłem podobny do matki. Moja młodsza siostra, Zosia, wdała się w tatę. Miałem dla niej tyle czułości, ile może mieć kochający brat. Lecz nie ochroniłem jej przed złem świata. Mam o to do siebie żal, noszę go w sobie przez całe życie. Nasze szczęśliwe lata przypadły na czas przed wybuchem wojny. Mieszkałem z rodzicami i siostrą w Warszawie, w kamienicy na Pięknej. Mieliśmy solidne meble i zegar z kurantem. Mama, Liliana, była uosobieniem dobra, piekła najpyszniejszy na świecie piernik z bakaliami. Rozkochała mnie w książkach, do dziś mam ją przed oczami, jak zdejmuje z półek tomy w złocistych oprawach. Domowa biblioteka była rajem. Dzięki mamie byłem jednym z najlepszych uczniów z przedmiotów humanistycznych. Ojciec Stanisław był adwokatem, zawsze czekaliśmy na niego z kolacją, na którą się spóźniał, bo pochłaniały go sprawy zawodowe. Grałem z nim w szachy, był w nich mistrzem. Zosia miała warkocze, a w nich wielkie kokardy. Bawiła się z naszym psem, Dingiem, wesołym urwisem, radosnym

*psiakiem kochającym życie, który biegał, skakał i robił awantury o jedzenie. Co roku jeździliśmy na wakacje do Juraty. Za każdym razem, gdy przywoływałem te wspomnienia, ścisnęło mi się serce. Odczuwałem ból.*

*Nie opowiadałem, choć pewnie chciałaś wiedzieć. Ale nie dźwignąłbym wywlekania bólu i cierpienia. Wybrałem NIEPAMIĘĆ. Schowałem tamto moje życie głęboko, ukryłem nawet przed samym sobą. Kiedyś Klara powiedziała, że dla ludzi jestem jak połowa obrazu, jak książka z wyrwanymi stronami.*

Odłożyłam kartkę. Pokój zawirował. Do oczu napłynęły mi łzy. Podeszłam do okna. Ogród był ciemny. Jedyne latarnia, która zwykle go oświetlała, zgasła.

Wiedziałam, że dziadek Albert przeżył tragedię. Mówiło się o tym po cichu, bez szczegółów. Słyszałam raz, jak babcia Klara opowiadała Laurze, że gdy zobaczyła pierwszy raz Alberta, był piękny, ale wyglądał jak cień człowieka i ugiął się pod jakimś ciężarem, coś w sobie dusił, trzymał w środku jak kamień.

Z drżeniem serca usiadłam z powrotem i wzięłam do ręki kartki. Powąchałam je. Pachniały atramentem. Starym wiecznym piórem, które dziadek kupił kiedyś na antykwarycznej wyprzedaży i od tej pory szczyił się, że je ma.

„Wieczne pióro powstało wcześniej niż ołówek”, mówił. „Pierwsze znaleziono w grobowcu Tutenchamona, wyobrażasz sobie?”

Zobaczyłam go, jak siedzi przy swoim biurku pochylony nad kartkami i zapisuje je opowieścią swojego życia, ukrytą przed światem, całkiem mi obcą, nieznaną.

Bałam się i jednocześnie chciałam po nią sięgnąć. Najpierw jednak musiałam skończyć czytać adresowany do mnie list.

*Wybacz, że nie byłem ideałem. Wybacz, że nie powiedziałem. Ale niczego nie pragnąłem bardziej niż spokoju. Nie chciałem przeżywać wciąż od nowa moich traum. Pod koniec życia pomyślałem, że jestem Wam winien opowieść o moich losach i prawdę. Wiem, że to zrozumiesz.*

*W czasie wojny straciłem rodzinę i miłość. Najpierw chciałem umrzeć. Potem zapomnieć i zacząć żyć nowym życiem. Zapomnieć się nie da. Nigdy. Ale los zesłał mi nowe życie – zaczęło się w dniu, gdy poznałem Klarę. Uczepiłem się wtedy myśli o szczęściu. Przecież kiedyś we mnie było. I dostałem kolejną szansę.*

*Zostawiam moje wspomnienia. Pisanie wypełniło mi czas, którego w ostatnich latach miałem w nadmiarze.*

*Leno, pamiętaj, zawsze idź za głosem serca. Musisz je otworzyć, bo masz je zamknięte. Musisz wyjaśnić sobie wszystko z Twoim ojcem. Wtedy będziesz wiedziała, kim jesteś i czego w życiu chcesz. Strzegąc swojego serca, unikamy bólu, ale możemy w życiu coś przegapić. Książniczko, w życiu jest tak, że cokolwiek byśmy robili, na końcu i tak się okaże, że miłość była najważniejsza.*

Złożyłam list z czułością. Położyłam się na podłodze, zamknęłam oczy. Byłam oszołomiona. Dochodziła północ.

Zdawałam sobie sprawę, że przede mną bezsenna noc spędzona na czytaniu historii człowieka, który był dla mnie jak ojciec, i że jeszcze nieraz tej nocy będę ocierać łzy i nieraz zadrży mi serce.

Kiedy znów przeciągnęłam dłonią po kopertach, zastanowiło mnie, dlaczego dziadek Albert napisał też list do babci. Przecież Klara nie żyła od wielu lat. Może zrobił to dużo wcześniej, zanim umarła, i nie zdążył jej go dać? Miałam wielką pokusę zajrzeć do dwóch pozostałych kopert. Jednak odłożyłam je na bok z postanowieniem, że otworzę je następnego dnia razem z mamą. Pełna obaw sięgnęłam po teczkę. Rozwiązałam tasiemkę. Wydało mi się, że słyszę kroki na trzeszczących schodach. Nasłuchiwałam przez chwilę. Wyjęłam stos kartek zapisanych, jak to u dziadka, równym, kaligraficznym pismem. Bałam się ich dotknąć, żeby przypadkiem nie uszkodzić. W końcu przeczytałam pierwsze zdanie: *Od pewnego czasu miałem ten sam sen. Ktoś z erkaemu wystrzelił moje życie w powietrze, a ja z głową uniesioną do góry stoję i czekam, aż z nieba spadną na mnie jego skrawki.*

Czytałam dalej, powoli zanurzając się w historię, której główny bohater, młody człowiek, w przyszłości miał się stać moim dziadkiem. Pochłonełam wszystko jednym tchem. Co pewien czas odrywałam się na chwilę, by wytrzeć łzy, zamknąć oczy, uspokoić się, pomyśleć. Dwudziestoletni chłopak dokonał cudu. Życie wszystko mu zabrało, by dać coś innego. Całymi latami nosił w sobie wspomnienia, z którymi ciężko żyć. Ta historia była jedną z najtrudniejszych, jakie dotąd poznałam.

Zadzwoiłam do Louisa. Dopiero gdy odebrał telefon, zorientowałam się, że jest środek nocy.

– Coś się stało? – w jego zaspanym głosie było słychać zaniepokojenie.

Opowiadałam, a Louis milczał. Staralam się przekazać najistotniejsze rzeczy w dużym skrócie. Gdy skończyłam, po drugiej stronie nadal panowała cisza, jakby Louisowi zabrakło słów z wrażenia.

– Louis?

– Jestem.

– I co powiesz?

– Nie mogę uwierzyć, to nieprawdopodobne – usłyszałam szelest pościeli, jakby siadał na łóżku, a potem dźwięk zapalania nocnej lampki.

– Nie przesłyszałam się?

– Nie.

– Co za historia... To nie do uwierzenia.



– Tak, ja też nie mogę uwierzyć i boję się tego, co jutro powie Laura. To będzie trudny dzień.

– Nie bój się. Twój dziadek był nietuzinkowym człowiekiem. To powód do dumy, a nie lęku. Jestem oszołomiony. I pełen podziwu!

– Tak, ale...

– Lena. Poczekaj, muszę się napić wody, z emocji zaschło mi w gardle.

– Louis?

– Tak, już jestem – nabrał powietrza.

– Już zebrałem myśli. Posłuchaj, Albert zrobił wielką rzecz. Świat musi się o tym dowiedzieć.

– Louis, na razie muszę przekazać to Laurze i sama sobie poukładać.

– Ale tę historię trzeba będzie nagłośnić.

– Nie. Gdyby dziadek sobie tego życzył, to napisałby w liście.

– Myślę, że decydując się wam o tym opowiedzieć, dał wam wolną rękę.

– Może masz rację, nie wiem. Na razie o tym nie myślę.

– Jak się z tym czujesz?

– Chodzę jak po innej planecie.

Nie pamiętam, kiedy zasnęłam. Ocknęłam się nad ranem, przez okno wpadało mgliste światło poranka. Pokój powoli nabierał konturów i kolorów. Zobaczyłam ze zdziwieniem, że jestem oparta o łóżko i wciąż siedzę na podłodze. Byłam zmarznięta, a moje ciało zdrętwiało. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła szósta. Zebrałam kartki i listy, wsunęłam do pudełka i włożyłam do szafy razem ze szkatułką babci Klary. Położyłam się do łóżka, zwinęłam się w kłębek, nakryłam kołdrą i pledem. Byłam wyczerpana. Zасыpiając, zobaczyłam dziadka, jak siedzi przy swoim biurku pochylony nad kartkami i zapełnia je opowieścią swojego życia ukrytą przed światem, dotąd całkiem mi obcą, nieznaną.

– Lena, śpisz? – Laura zajrzała do mojego pokoju. – Przed chwilą przyjechałam, dochodzi dziewiąta, przygotowałam dla nas śniadanie. Nie zrobiłam tylko kawy, nie chciałam, żeby wystygła.

– Cześć, mammo, nie śpię – zamruczałam, nie wystawiając nosa spod kołdry.

– Wiesz, że tamten ptak zostawił pióro? Znalazłam je, popatrz – Laura podeszła do mojego łóżka.

– Jaki ptak?

– Gołąb. Biały. Pamiętasz?

– A, tak. Skąd masz to pióro?

– Znalazłam na parapecie. Zostawił je dla nas.

Laura wyciągnęła rękę z piórem do światła. Przyglądała mu się przez chwilę.

– Widziałas u nas kiedykolwiek białego gołębia? Z ciemnymi oczami?

– Chyba nie. Nie przypominam sobie – usiadłam na łóżku. – Chociaż... był. Jak przyjechałam, siedział na furtce. Był biały, dlatego go zapamiętałam. I patrzył na mnie. Ale to przecież wcale nie musi być ten sam.

– Na pewno ten sam. U nas nie ma i nigdy nie było gołębi. Zwłaszcza białych.

– No tak – przetałam oczy. – Mammo, za chwilę zejść do kuchni, daj mi kilka minut.

– Wiesz, że pióra zostawiają dla nas dobre duchy?

– Wiem, babcia mówiła, że ptaki to wysłannicy bogów – uśmiechnęłam się. –

Dobra, już chodzę na śniadanie.

Kroki Laury cichły na schodach. Wstałam z łóżka przejęta i niewyspana. Wiedziałam, że mama wróciła z Warszawy, obudził mnie warkot silnika samochodu, ale nie miałam siły się podnieść. Nie musiałam, bo Laura miała już własny dorobiony klucz. A ja dzięki temu zyskałam trochę czasu na zastanowienie się, jak powiedzieć jej o tym, co odkryłam.

W łazience przemyłam twarz zimną wodą. Po nieprzespanej nocy wyglądałam okropnie, przeczesalam włosy i związałam je w kucyk. Wciągnęłam na siebie dzinsy i jasną bluzę z kapturem. Sprawdziłam komórkę. Louis przysłał kilka wiadomości, odpisałam. Pytał o to, jak się czuję, i prosił, żebym zadzwoniła, jak będę po

rozmowie z Laurą. Byłam mu wdzięczna, że mnie wspiera, ale złapałam się na tym, że czekam na wiadomość od Piotra, na cokolwiek, na znak.

Wyjęłam z szafy pudełko i szkatułkę z biżuterią. Zniosłam je na dół, ale zostawiłam na fotelu tuż przy wejściu do kuchni. Piłam kawę, jadłam owsiankę z orzechami, słuchałam wieści z Warszawy i o planowanej wystawie obrazów i nie mogłam się doczekać chwili, kiedy powiem: „Mamo, popatrz, co znalazłam”. Z drugiej strony obawiałam się jej reakcji, nie wiedziałam, co zawiera list adresowany do niej i ile wiedziała o historii życia swojego ojca.

Śniadanie dobiegało końca, Laura przełknęła ostatni kęs kanapki i odstawiła talerze na kuchenny blat. Zastanawiałam się, od czego zacząć, wstałam od stołu i przyniosłam z korytarza szkatułkę.

– Mamo, mam dla ciebie niespodziankę – uśmiechnęłam się, trzymając ręce za plecami.

– Mam zamknąć oczy? – zażartowała Laura.

– Nie, popatrz! – wyciągnęłam ręce przed siebie. – To twoja biżuteria, mamo. Powinnaś ją nosić. Jest dla ciebie stworzona. Nie może leżeć w szafie. O, zobacz, jakie piękne.

Otworzyłam szkatułkę i wyjęłam z niej złote kolczyki z perłami. Poprowadziłam Laurę do lustra w przedpokoju. – Załóż je, proszę – włożyłam jej do rąk kolczyki. –

Należały do Anny. Pamiętasz, opowiadałaś mi jej historię. Byłaś nią zachwycona. Noś je, mamo.

Patrzyłam, jak moja matka ogląda je bez słowa, po czym zdejmuje swoje, a w kolczykach Anny jej twarz zmienia się, nabiera blasku.

– Sama nie wiem... – powiedziała niepewnie, ale w jej oczach zobaczyłam radość. – Zawsze były schowane, traktowałyśmy je jak pamiątkę.

– Nie. Są do noszenia. Tym bardziej że były ozdobą kobiet bardzo ważnych w naszej rodzinie – powiedziałam stanowczo.

Laura dotykała delikatnie kolczyków i poprawiała fryzurę. Patrzyłam na nią urzeczona, nie mogłam wyjść z podziwu, jaka jest piękna.

– Zaskoczyłaś mnie. Nie spodziewałam się – uśmiechnęła się do mnie i do samej siebie. – Poranek pełen niespodzianek.

– Mamo. To nie koniec. Jest coś jeszcze. Znalazłam coś. Nie spałam przez prawie całą noc. Chodź, usiądziemy w salonie.

Po drodze wzięłam z fotela białe pudełko i postawiłam je na stole. Laura usiadła na sofie i zmarszczyła lekko brwi.

– To nie są buty, mamo. W środku są listy i wspomnienia dziadka, które sam spisał.

– Co ty mówisz...?

– Tak. W tym pudełku jest jego życie. To, o którym nam nie opowiadał. Przepraszam, że przeczytałam. Znalazłam je wczoraj. Nie czytałam tylko listu do ciebie i do babci.

Laura sprawiała wrażenie, jakby z tego, co mówię, niewiele do niej docierało.

– Gdzie to znalazłaś?

– W jego biurku, na półce, głęboko za gazetami.

Lena uniosła brwi.

– Tak, szperałam, przepraszam. Ale chyba mam prawo?

– Tak, oczywiście.

– Nie masz pretensji?

– Nie, przecież wszystko tutaj jest twoje.

– Mamo, myślę, że dziadek był pewien, że dopóki żyje, nikt tam nie zajrzy, że będziemy porządkować rzeczy dopiero po jego śmierci. I tak rzeczywiście się stało. Może nie porządkowałam jego rzeczy, ale będąc sama w domu, pozaglądałam tu i tam z ciekawości, czy to, co zapamiętałam z dzieciństwa, wciąż jest takie samo.

Podaliśmy Laurze pudełko. Otworzyła je i wyjęła z niego trzy koperty. Zagryzła usta, gdy zobaczyła na jednej z nich swoje imię. Delikatnie oderwała jej brzeg. Rozłożyła list powoli, z namaszczeniem, i zaczęła czytać.

Wstałam od stołu i przeszłam do kuchni, nie chciałam jej krępować. Takie listy powinno się czytać samotnie i w ciszy. Oddaliłam się. Zerkałam co pewien czas przez okienko z salonu łączące część wypoczynkową z kuchnią. Z twarzy mamy trudno było cokolwiek wyczytać, była nieruchoma, kamienna. Gdy skończyła, patrzyła w jakiś punkt przed siebie. Trwało to długą chwilę, po czym zaczęła szukać mnie wzrokiem.

– Leno, gdzie jesteś? – odezwała się. – Przyjdź, proszę.

W jednej sekundzie znalazłam się przy niej. Laura podała mi list.

– Przeczytasz? – zapytała sucho, a mnie się zdawało, że pobladła.

– Mamo, dobrze się czujesz?

– Przeczytaj – powtórzyła.

Fragment listu dziadka Alberta dotyczący jego rodziny był właściwie taki sam jak w tym napisanym do mnie. Dopiero w dalszej części Albert pisał, żeby o nic się nie obwiniały, nie zamartwiały. Zapewniał, że zawsze wiedział, że one chciały dla niego dobrze. Zastanawiał się czasem, że może byłoby dla wszystkich lepiej, gdyby zamieszkał w domu spokojnej starości, ale nie potrafił podjąć takiej decyzji. Nie nadawałby się do żadnego domu z równym rzędem smutnych okien i identycznymi pokojami dla staruszków, szafami różniącymi się tylko zawartością, takimi samymi stolikami i krzesłami. Nie umiałby żyć wśród obcych, starych ludzi i patrzeć na umieranie.

Tu miałem życie, las, ptaki, zwierzęta, ogród, a że byłem dziwnym typem samotnika, nie byłem nieszczęśliwy. Żyłem, jak chciałem, tak było mi dobrze.

Wolę umrzeć w samotności u siebie, niż żyć w otoczeniu pielęgniarzy mierzących ciśnienie i temperaturę każdego dnia, jedząc na śniadanie lekkostrawną papkę, by uchronić się od problemów gastrycznych. To kompletnie nie dla mnie. Podobnie jak to, żebym miał mieszkać z Tobą, kochana Córko, jak mi wielokrotnie proponowałaś. Nie darowałbym sobie, gdybyś miała patrzeć, jak robię się coraz starszy i niedołężny, jak powoli umieram. Chcę, żebyście obie z Leną zapamiętały mnie takiego, jaki byłem, a nie jakiego może zrobić ze mnie bezlitosna starość. Najlepiej dla mnie i dla Was będzie, gdy umrę nagle, bez bólu, we śnie. Intuicja podpowiada mi, że tak właśnie się stanie. Usiądę w moim fotelu i już z niego nie wstanę.

Przerwałam. Do oczu napłynęły mi łzy. Potrzebowałam chwili, by się uspokoić.

Dopiero ostatnia część listu okazała się szokująca. Pewnie gdybym знаła wcześniej jej treść, zrobiłabym wszystko, by najpierw mamę do niej przygotować. Z drugiej strony może wyszłoby gorzej, więc zawsze w takich sytuacjach trzeba zdać się na los.

Jesteś moją córką. Jedyne, ukochane. Nigdy nie myślałem o Tobie inaczej. Wychowałem Cię, przekazałem Ci moją wiedzę najlepiej, jak umiałem.

Pamiętasz nasze wycieczki do Warszawy? Jechaliśmy pociągiem tylko we dwoje, zachwycałaś się neonami, najbardziej lubiłaś krowę przy barze mlecznym na Kruczej, miała w zębach kwiatek. Pamiętasz nasze wyprawy do lasu? Grzybobranie, gdy zmoczył nas deszcz? Miałaś potem katar, bolało cię gardło i mama się na nas gniewała. Robiłem dla ciebie syrop z cebuli albo mleko z masłem i miodem. Pamiętasz?

Bez wahania oddałbym za Ciebie życie. Moja Córko.

Ale nie jestem Twoim biologicznym ojcem. Choć wszyscy zawsze mówili, że jesteś do mnie podobna.

Kiedy żyłem, nie żyjąc, gdy powoli umierałem, pojawiła się ona. Klara. Miała dziewczynkę. Nie pytałem, kto jest ojcem. Klara nigdy o nim nie mówiła, nie chciała. To nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Pokochałem was obie całym sercem. Stałyście się moją rodziną.

Byłaś już na świecie, miałaś kilka lat, gdy zobaczyłem Cię pierwszy raz. Zostałaś moją córką.

Wcześniej myślałem, że mojego bólu nie ukoją żadne słowa, że z takiej tragedii nie podniosę się do końca życia. Nie wiedziałem, jak dalej żyć. Ludzie mówią, że czas goi rany, a ja nie wiedziałem, jak to ma się zagoić, jak mam żyć bez tych, których kochałem.

*I pewnie czas nie wyleczył do końca ran. Nie zapomniałem, bo tak się nie da, żyłem z pamięcią i bólem w środku, ale dzięki Tobie i Klarze zobaczyłem przed sobą nadzieję i odczułem szczęście. Dziękuję Ci za to.*

*Może niepotrzebnie o tym piszę, może trzeba było to tak zostawić, niczego nie wyjaśniać. Zawsze miałem przecucie, że odejdę z tego świata pierwszy i o wszystkim powie Ci Klara. Stało się jednak inaczej. Czuję się więc w obowiązku, abys znała prawdę, bo może będziesz chciała odnaleźć człowieka, który był Twoim biologicznym ojcem, albo jego córkę czy syna, jeśli ma dzieci. Wybacz, być może powinniśmy powiedzieć Ci wcześniej i postąpiliśmy zbyt egoistycznie. Nigdy nie wiadomo, co w życiu lepsze, jak postąpić, by inni byli szczęśliwi.*

*Lauro. Jesteś wspaniałą kobietą. Zaslugujesz na miłość, na człowieka, który będzie kochał Cię na zawsze. Pozwól sobie na to. Otwórz się na nowe uczucie. Wtedy do ciebie przyjdzie.*

*Przepraszam za wszystko. Starłem się być dobrym ojcem. Chciałem, żebyś spełniała marzenia. I zrobiłaś to. Jesteś uznaną artystką. Malujesz ogrody i robisz to pięknie. Pamiętam, jak zaczęłaś malować, byłaś wtedy w przedszkolu. Od razu powiedziałem, że masz talent. Kiedy namalowałaś specjalnie na moje urodziny obraz przedstawiający nasz ogród, byłem wzruszony i czułem się zaszczycony.*

*Kocham Cię. I cokolwiek byś o mnie pomyślała po przeczytaniu moich zapisków, pamiętaj jedno – kochałem Twoją mamę. Twój Tata*

Odłożyłam kartkę i z przestachem spojrzałam na matkę, która miała słabe zdrowie i kruchą psychikę.

– Nie mam bladego pojęcia, co powiedzieć – odezwała się cicho Laura. – Zawsze był moim ojcem.

Westchnęłam współczująco. Nigdy nie byłam mocna w pocieszaniu, nie umiałam znaleźć właściwych słów. I zawsze wydawało mi się, że pocieszenie ma w sobie pewną dozę sztuczności i fałszu. Miałam pustkę w głowie.

– Jak przez mgłę pamiętam, przyszedł pewnego dnia, byłam mała, mama mi wyjaśniła, że to jest mój tata, który właśnie wrócił z wojennej tułaczki. Nareszcie odnalazł drogę do domu – Laura się zadumała. – Pamiętam chwile zabaw, czytanie książek, wycieczki. I tych chwil jest mnóstwo. On naprawdę mnie kochał i świetnie się mną opiekował. Zależało mu na mnie.

– Ależ tak, mamo. Tak było.

– Wiesz co? Jakie to ma dzisiaj znaczenie? To on był moim ojcem. Nikt inny. Przecież jestem do niego podobna. Ludzie zawsze mówili: panie Wroński, nie wyprze się pan córki, wykapana córeczka tatusia, ta sama szczęka, te same kości

policzkowe. Jeśli więc wziąć pod uwagę to, że Albert nie jest moim biologicznym ojcem, zakrawa na cud, że wyglądam jak jego prawdziwa córka.

– Tu jest jeszcze jedna koperta – powiedziałam, by zmienić temat.

– Dziadek napisał też list do babci Klary.

Laura nabrała powietrza i otworzyła list. Już miała zacząć czytać, ale zamknęła oczy, w końcu wyciągnęła w moją stronę rękę z kartką.

– Przeczytasz na głos? Proszę.

*Moja Klaro.*

*Ty nigdy nie odeszłaś.*

*Wiem, że jesteś. Widuję Cię w domu, nawet niedawno, jak przechadzasz się w ogrodzie i wąchasz kwiaty, a przy Tobie biega Joy, wesoło machając ogonem.*

*Dziękuję Ci za wszystko, co mi dałaś. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam.*

*Kiedy Cię poznałem, bałem się, że nie mam nic, co mógłbym Ci dać. Byłem pusty. Uważałem, że od życia nie należy mi się nic więcej ponad to, co mam.*

*Zostałem zupełnie sam. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego przeżyłem, w jakim celu, skoro właściwie nie żyłem, nie było mnie nigdzie, ani tu, ani tam. Znalazłem się poza wszystkim, nie potrafiłem żyć i nie potrafiłem umrzeć. Wieczorami kładłem się spać i myślałem tylko o jednym – zapomnieć. Odnaleźć spokój. Zapomnieć się nie da, ale można nauczyć się żyć. W końcu to zrobiłem. Spotkałem Ciebie i powoli zacząłem odnajdywać drobne radości dnia. Dla Ciebie nie chciałem być człowiekiem, którego życie polega na ciągłym rozpamiętywaniu przeszłości.*

*Zapytasz, dlaczego dojrzałem do zwierzeń dopiero teraz? Do opisania tego, co przeżyłem? Chyba już czas. Podobnie jak czas się zbierać. Przede mną niewiele dni. Czasem na klatce piersiowej siada mi słoń, a mój fotel staje się przepaścią. Oddycham wtedy płytko. Zbyt płytko. Nie mogę złapać tchu, wydusić z siebie słowa, w ustach mam watę.*

*Muszę zasnąć i więcej się nie obudzić. Wymknąć się niepostrzeżenie. Tak będzie najlepiej. Mówią, że gdy śmierć po nas przychodzi, jesteśmy samotni, a powinniśmy odchodzić w czyichś ramionach. Jakie to ma znaczenie? Wiem, że tam, gdzie jesteś, czekasz na mnie.*

*Przeżyliśmy razem pięćdziesiąt lat. Życie z Tobą było najlepsze z możliwych. A nasze dziewczyny, córka i wnuczka, to mój skromny wkład w piękno i dobro. Chciałbym, żeby wszystko wciąż trwało, żebyśmy się nigdy nie rozstali. Wiem, że to nieuniknione, a moja podróż dobiega końca. Jednocześnie jednak nie mogę pojąć, jak to się stało, że tamto wspólne życie z Wami odeszło. Istnieje jedynie w pamięci i na fotografiach.*

*Kocham Cię. To cud, że trafiłem tutaj, równie dobrze mogłem znaleźć się gdzie indziej. Tak miało być – los pokierował mnie w te strony po to, żebym poznał Ciebie.*

*Jestem Ci wdzięczny, że nigdy nie pytałaś. Opowiedziałem Ci trochę o sobie, wiedziałaś, że to tylko skromny kawałek mojego życia. Całą historię spisałem teraz dla Laury i Leny. Bo Ty już ją znasz, przecież byłaś przy mnie, gdy pisałem, czułem Twoją obecność, ciepło Twojej dłoni na moim ramieniu.*

*Wiodę proste życie. Wiesz, że zawsze takie lubiłem, a teraz tym bardziej. Ale nie odczuwam samotności. Bo przecież przez cały czas jesteś. Błądzą myślami i przypominam sobie nasze wspólne życie. Nasz salon jubilerski przy rynku Starej Skały. Wiesz, że otworzyłem go dla Ciebie? Żebyś zawsze miała piękne kolczyki i pierścionki. Mam nadzieję, że będąc ze mną, zaznałaś choć trochę szczęścia, bardzo się o to starałem. Nasze życie wypełniliśmy pracą, wychowaniem córki i wnuczki, miłością.*

*Zostały fotografie. Wypełniłaś nimi nasz dom. Ściany, półki i komody. Narodziny Laury, nasz ślub, mała Lena, wyjazdy, święta, radości.*

*I wiesz, moja Klaro? Jestem z tego życia bardzo dumny. Stałem się nowym człowiekiem. Mogłem od nowa nauczyć się kochać, wzruszać się, wypełnić wewnętrzną pustkę. I dać coś ludziom. To dzięki Tobie. Jestem za to wdzięczny. Czasem myślę, że tamten młody człowiek to nie ja. On dawno temu umarł. Ja żyłem. Mówią, że pamięć jest przewrotna, otwiera i zamyka drzwi. Chowa klucz do pogubionych zdarzeń i tylko czasem podpowiada, gdzie można go znaleźć. Pamiętam wszystko. Całe nasze życie.*

*Dzięki Tobie. Bo zawsze wszystko rozumiałaś, byłaś taka cierpliwa. Jeśli anioły istnieją naprawdę, to Ty nim jesteś.*

*Do zobaczenia. Już niedługo. Twój Albert*

Ogarnęło mnie wzruszenie. List był pięknym wyznaniem miłości. W końcu nawet lekko załamał mi się głos. Powoli i ostrożnie przeniosłam wzrok z kartek na Laurę.

– Mamo, ty płaczesz?

– Nie. I rozumiem, że jest coś jeszcze. Na dziś mam dość wzruszeń. Jednak będę jeszcze bardziej niespokojna, nie poznawszy do końca wszystkiego teraz.

– Zaparzę herbatę. Zieloną, twoją ulubioną, dobrze? – skierowałam się do kuchni. – I przeniesiemy się na fotele. Będzie nam wygodniej.

Cztery przepastne fotele i stolik pamiętały czasy świetności tego domu. Klara i Albert uwielbiali to miejsce. Pijali tu wino, kawę, grywali w szachy albo ze znajomymi w brydza.



Gdy wróciłam z kuchni, postawiłam na stoliku dzbanek zielonej herbaty i dwie filiżanki. Pudełko po butach leżało na podłodze obok fotela, który zajęła Laura. Na jej kolanach spoczywała teczka. Nalałam herbaty do filiżanek, mama podniosła swoją do ust i nagle zaczęła mówić o pogodzie, pięknej, złocistej jesieni, wyrażając życzenie, by utrzymała się jak najdłużej.

Zegar z kurantem wybił jedenastą. Laura wzięła do ręki teczkę. Obróciła ją, jakby chciała opóźnić moment czytania. W końcu rozwiązała białe wstążki. Ustaliłyśmy, że będziemy czytać w ciszy. Laura jako pierwsza i będzie podawać mi przeczytane kartki. Chciałam przeżyć to jeszcze raz. Razem z nią.

Laura otworzyła teczkę, jej wzrok padł od razu na wewnętrzną stronę okładki. Zmarszczyła brwi, na jej twarzy pojawił się grymas niezrozumienia.

– Widziałaś to? – pokazała mi zaskoczona. – Tu jest podpis: „Albert Wroński, prawdziwe nazwisko Jan Walicki”. Jak to...?

– Tak, mamó – zrobiłam wszystko, by mój głos zabrzmiał łagodnie. – Dla mnie też to był szok. Ale gdy przeczytasz całość, zrozumiesz. Historia opisana przez dziadka wszystko wyjaśnia. A to, czego dokonał, to jeden z najwyższych stopni odwagi w życiu.

## Lato 1942 – jesień 1944

Od pewnego czasu miałem ten sam sen.

Ktoś z erkaemu wystrzelił moje życie w powietrze, a ja z uniesioną głową stoję i czekam, aż z nieba spadną na mnie jego skrawki. I one spadają. Układają się w całość. Przesuwają się przede mną jak klatki filmu. Mają bardzo żywe kolory. Widzę, jak fale przełamują się w promieniach słońca. Słyszę perlisty śmiech matki. Zawsze tak się śmiała. Wszystko dokoła jest jak ze złota. Znajdujemy się na plaży. W Juracie, jak co roku. Mama, tata, Zosia i ja. I Dingo, nasz pies. Zanurzam dłoń w piasku. Jest przyjemny w dotyku, miękki. Wdycham zapach morza. „Spaliłeś plecy”, mówi mama. Dopiero teraz czuję szczypanie na karku. Tata otrząsa się z piasku i woła: „Kto pierwszy do morza?!”. Biegniemy, jestem szczęśliwy. Nie chcę się obudzić. Do cholery, nie chcę. Wiem, że zanim dobiegnę do brzegu, będzie po wszystkim. Otworzę oczy. Tak jest za każdym razem. Nie! Błagam. Coś wyciąga mnie łapami na drugą stronę. Łapy śmierdzą i są oślizgłe. Trzymają mnie mocno. A oni się oddalają. Moi bliscy. Patrzą na mnie smutno. W końcu stają się punktem. Znikają. A mnie ogarnia tęsknota. Jest tak wielka, że umieram.

Nie potrafię dobrze pisać. Nie oddam tego, co się działo. Szukam słów i ich nie znajduję.

Był gorący lipiec, wpakowali nas po osiemdziesiąt, może więcej osób do każdego wagonu. Ubranie kleiło mi się do skóry, mdliło mnie, bo wszędzie był smród, zaduch. Nie pomagało, że stałem blisko okna. Próbowiałem nie oddychać. Jak pod wodą. Powietrza wystarczało tylko na chwilę, choć przed wojną chodziłem na basen i trenowałem pływanie na wstrzymanym oddechu, nawet nieźle mi szło.

Wagon miał tylko dwa małe okna. Zadrutowane. Dla pewności, że nikt nie ucieknie, a przecież stąd nie było można się wydostać. Ludzie tłoczyli się ściśnięci do granic wytrzymałości. Wszyscy byli przerażeni. Modlili się, krzyczeli, płakali. Przysypiali na stojąco albo osuwali się na podłogę. Zamknąłem oczy.

Wtedy sen o plaży przyśnił mi się pierwszy raz. Śnił mi się jeszcze wiele razy. Ten sen to była moja ucieczka.

Nie wiedziałem, dokąd nas wiozą. Nikt nie wiedział. Niektórzy zabrali ze sobą walizki, rzeczy zawinięte w prześcieradła, ktoś trzymał futerał na skrzypce. Kątem okna widziałem przez okno, jak mijamy wioski i miasteczka. Zobaczyłem bociana, stał na jednej nodze i patrzył na pociąg. Potem pomost nad rzeką, wyobraziłem sobie, jak pluska pod nim woda i leniwie przepływają ryby. Ptaki przysiadły w gęstwinie drzew, by po chwili wzbić się w powietrze. Chłonałem świat przez małe, zadrutowane okno, wyobrazałem sobie, że nie ma wojny, zaraz wysiadziemy i życie potoczy się normalnie. Zagłuszałem tym czającą się z tyłu głowy potworną myśl, że wiozą nas gdzieś, gdzie nie ma ptaków i nieba.

Brakowało mi tchu. Oparłem się o ścianę. Czuję suchość w gardle, myśl o wodzie stała się zmorą. Ludzie prawie mdleli ze ścisku i gorąca.

Wagon rozsadzały błagania o łyk wody, płacz niemowląt, prośby dzieci: „Mamo, pić, mamo, siusiu”, krzyki: „Wody, dajcie wody, chcemy do toalety, powietrza!”. Ci, którzy stali przy drzwiach, walili w nie pięściami. Ludzie nie wytrzymywali, załatwiali potrzeby fizjologiczne w wagonie. W kącie stało wiadro na nieczystości, ale już wcześniej zaczęły się z niego wylewać na podłogę pokrytą wapnem. Smród potu i wydalin stawał się nie do zniesienia, wszechobecny zaduch tamował oddech. Miałem wrażenie, że jedziemy na bombie, która lada moment wybuchnie.

– Wiaderko wody na cały wagon. To kpina! – krzyczał mężczyzna z brodą.

– A co pan myślał? Przecież wiozą nas na śmierć. Po co nam woda?

– Zamknij się pan.

– Jeśli nie dostaniemy wody, umrzemy – kobieta w kapeluszu oddychała ciężko.

– Gorąco tu jak w piekle, nie wytrzymam.

Obok niej stała kobieta w ciąży. Strużka potu płynęła jej z czoła. Była blada. Osunęła się na podłogę.

– Wody! Dajcie wody! – krzyknął chłopak stojący najbliżej.

– Każdy chce się napić – kobieta w kapeluszu zacisnęła usta.

– Wodę dostają w pierwszej kolejności kobiety karmiące i dzieci, droga pani – powiedział starszy pan w okularach tuż przede mną.

W wagonie robiło się coraz bardziej duszno. Ludzie zdejmowali z siebie ubrania. – Jeszcze wody! – chłopak podał blaszany kubek. – Proszę!

Kubek był przekazywany z rąk do rąk. Kobieta w ciąży, oparta o ścianę wagonu, siedziała na podłodze. – Nie dam, ja też chcę pić – mężczyzna z gołym torsem, zamiast podać kubek dalej, przechylił go do swoich ust.

– Jak możesz! – rzucił się w jego stronę chłopak. – To resztką wody! A ona jej potrzebuje, jest w ciąży! Oddaj kubek!

– Ani myślę – odburknął tamten.

– Jeśli jeszcze raz tak zrobisz, zabiję – mężczyzna w średnim wieku, mąż pięknej kobiety z dzieckiem, chwycił tamtego za ramię. – Nie rękę za siebie.

Chciałem krzyczeć. Głośno. Miałem dość.

*Zamknijcie się, dajcie spokój*, krzyczałem w środku.

– Ludzie. Przestańcie – starszy mężczyzna w okularach przemówił spokojnie. – Musimy trzymać się razem. Im o to chodzi, żebyśmy się pozabijali. Pomagajmy sobie, mamy wtedy większe szanse na przeżycie.

Stał tuż przede mną. Co chwila nerwowo poprawiał okulary. O moje prawe ramię opierała się dziewczynka. Za nią dwie eleganckie i ciche kobiety, matka i córka, a może siostry, na tle innych wyglądały jak wyjęte z przedwojennego żurnala. Była też staruszka o pociętej zmarszczkami twarzy. Jakaś matka tuliła mocno do siebie syna i szeptała: „Co z nami będzie...”

Nie znałem nikogo. Byłem tu sam.

Kobieta w ciąży wstała z podłogi, ludzie ścisnęli się mocniej i zrobili przejście, by mogła się zbliżyć do okna.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, to będzie dobrze – powiedział głośno starszy pan. – A że trzeba mieć nadzieję, musimy wierzyć, że będziemy mieli szczęście. Wszyscy musimy w to wierzyć. Wszyscy, bez wyjątku.

Od tamtego dnia minęły całe dekady, jestem już stary i niedługo umrę, ale wszystko pamiętam z detalami, jakby wydarzyło się wczoraj.

Kiedy wcześniej staliśmy w spiekocie na peronie, esesmani policzyli nas skrupulatnie, co teraz wydawało mi się bezsensowne, bo ucieczka z wagonów była niemożliwa. Kiedy pociąg nadjechał z hukiem, wpadliśmy w panikę. Esesmani wpychali nas do wagonów uderzeniami kolb, popędzali wrzaskiem.

– *Los, los, Looos!!!*<sup>3</sup>

Jeden fałszywy ruch i będą strzelać!

Jakaś kobieta, młoda i ładna, wpadła w panikę, nie chciała wsiąść do pociągu, zaczęła krzyczeć. Żandarm pchnął ją na ziemię, podniosła się i rzuciła się do ucieczki. Złapało ją dwóch esesmanów, przywlekli do dowódcy. Patrzyła mu prosto w oczy, kiedy strzelał jej w głowę.

Ludzie krzyczeli, łkali, w przerażeniu niemal tratowali się nawzajem, wchodząc do wagonu. Znalazłem się tuż przy ścianie, blisko wyjścia i zadrutowanego okienka. Żandarmi upchnęli nas do granic możliwości i zaryglowali drzwi. Z zewnątrz było słyhać krzyki nazistów. Z czasem ucichły. Pomyślałem, że wsiedli do osobnego wagonu, przeznaczonego tylko dla nich.

Nagle wagony zadrżały. Pociąg ruszył. Usłyszałem rozdzierający powietrze szloch. W wagonie po początkowych przepychankach wszyscy zamilkli. Zapadła głucha cisza.

Słyszałem o miejscach przeklętych. Ludzie czasem opowiadali, ale to było nie do uwierzenia. *To nie może być prawda*, myślałem. Ale te przeklęte miejsca miały

konkretne nazwy. Strach budziło już samo ich brzmienie. Auschwitz, Dachau, Birkenau. Przeszył mnie dreszcz.

Byłem na siebie zły, że tak łatwo dałem się złapać. Wracałem do domu, po drodze miałem wejść do pana Henryka po chleb, gliniasty i mdły, ale z cienką kartoflanką mamy nawet dało się go zjeść. Nie zdążyłem. Na Pięknej jak spod ziemi wyłoniły się esesmańskie auta i budy. Łapanka. Rzuciłem się do ucieczki, lecz od razu zrozumiałem, że to ten rodzaj pułapki, z której nie ma wyjścia. Teren został okrążony. Coś rzuciło mnie na chodnik, przygniotło. Na plecach poczułem ostrze. Esesman wrzeszczał, że mam wstać, i gdy się podniosłem, uderzył mnie kolbą w brzuch. Zwinąłem się z bólu. Widziałem, jak żandarmi wywlekali ludzi z bram kamienic i z tramwajów. Ustawiali w szeregu.

*Hände hoch, Hände hoch!*<sup>4</sup> – odbijało się od murów echem.

Podniosłem ręce tak jak inni.

Dostałem w zęby, czułem smak krwi. To były sekundy i minuty rozwleczone jak godziny. Niedaleko mnie stała dziewczyna. Do jej nóg był przyklejony dzieciak.

Płakał. Wpatrywał się w twarze oprawców. Dziewczyna była zdenerwowana, ręce miała uniesione, a malec nie przestawał płakać. Esesman stanął nad nim w rozkroku. Wstrzymałem oddech, gdy oderwał go od dziewczyny i popatrzył w jego oczy tak wnikliwie, że mały z przerażenia znieruchomiał. Potem esesman wziął jego twarz w wielką dłoń, a drugą wymierzył mu cios. Malec nie odezwał się więcej. Do dziś pamiętam jego zdumione oczy i niewinną buzię, która stała się maską. Wszyscy byli przerażeni.

Okrzykami: „Los, los, los!” zapędzili nas na paki ciężarówek. Myślałem tylko o tym, że znalazłem się w grupie przypadkowych ludzi, po których może zagaść wszelki ślad. Ciężarówki ruszyły.

W panice szukałem wzrokiem okien naszego mieszkania. Kamienica była tuż obok. Wydawało mi się, że widzę matkę, jak stoi w oknie, opiekuńcza i czekająca. W moim życiu to była jedna z tych chwil, kiedy czuje się ucisk w gardle i nie można wydobyć z siebie słowa.

Czasem przypominają mi się krzyki, gdy po łapance osadzono nas w jakimś budynku i chodziliśmy na przesłuchania. „Powiesz nam wszystko, a zobaczysz matkę”, w kółko słyszałem. Co miałem powiedzieć? Nie miałem pojęcia. Kompletnie nie wiedziałem, czego ode mnie chcą. Chwilami byli nawet kulturalni. Mówili spokojnie, dobitnie, nie bili. Ich język brzmiał łagodnie. Bili inni, ich następcy zwołani po to, by wydobyć ode mnie i innych uwięzionych tych kilka słów, które chcieli usłyszeć, by wpisać je do swoich akt.

– Zamęczymy ci siostrę torturami, jak nie powiesz.

Gdybym tylko wiedział, co mam powiedzieć, zrobiłbym to bez wahania. Ale nie miałem pojęcia. Stać mnie było jedynie na szept.

– Nie wiem. O co chodzi.... nic nie wiem...

– Kto załatwiał wam dodatkowe kartki na chleb?

– Nikt, chleb brałem legalnie od pana Henryka. Był niedobry, innego nie mieliśmy. Prawie straciłem przytomność od ciosów, słuchałem z sąsiednich pomieszczeń krzyków torturowanych ludzi.

Myślałem wtedy, że to najgorsze, co mogło mnie spotkać, że teraz będzie już tylko lepiej.

Podróż pociągiem, do którego zapakowali nas dzień później, nie miała końca. Nawet nie czułem głodu, chciało mi się tylko pić. Przypuszczałem, że ta mordercza jazda jest ponurą zapowiedzią późniejszego losu.

Dziewczynka, która opierała się o moje ramię, poruszyła się. Spojrzałem na nią. Była wątła, filigranowa, wyglądała na dziesięć lat, miała dwa warkocze. Zadrżała. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, wzrokiem niewyrażającym żadnych uczuć, niewiarygodnie obojętnym. Te warkocze... Tak bardzo przypominały mi Zosię.

– Jak masz na imię? – zapytałem. – Ja jestem Janek.

Milczała.

– A ja jestem Stanisław Krajewski – starszy mężczyzna w okularach uśmiechnął się, próbując dodać nam otuchy. – Przed wojną uczyłem w gimnazjum historii.

*Tata. Ma tak samo na imię jak tata, pomyślałem i poczułem ulgę.*

– Ja nazywam się Jan Walicki – przedstawiłem się. – Jestem Janek.

Jej twarz ani drgnęła, oczy nadal były martwe. Domyślałem się, że za jej milczeniem musi się kryć to, o czym nie chce pamiętać, a inni raczej woleliby nie wiedzieć.

*Podobna do Zosi, myślałem, zapewne ma też podobny początek wojennej historii: „Był pierwszy wrześnie, miałam siedem lat, mama przygotowała mi tornister, mundurek, wpięła kokardę we włosy, byłam dumna, bo pierwszy raz miałam iść do szkoły, ale zawyły syreny, wybuchła wojna”.*

Zosia. Mama. Ojciec. Przez głowę przeleciała mi myśl, że już ich nie zobaczę. Nigdy. Zagryzłem wargi. Poczułem ból w klatce piersiowej. Potem w każdej tkance.

Dlaczego nie wszedłem do pana Henryka po ten cholerny chleb minutę wcześniej? Dlaczego? Gdybym wszedł, nie zostałbym złapany. Więc dlaczego? Tak miało być? Nie. Na to się nie umawiałem. Nie dałem zgody.

Jechałem teraz pociągiem z dziewczynką, trochę podobną do mojej siostry, w nieznane, w nieludzkich warunkach, w nieopisanej ciasnocie, z nikłą nadzieją, że to koszmarny sen, z którego za chwilę się obudzę.

– Nie bój się – pan Stanisław szepnął do dziewczynki, przecierając okulary. – Nie jesteś sama. I może tam, dokąd jedziemy, wcale nie będzie tak źle.

Spojrzałem na niego smutno. Co on mówi, po co? Zamknąłem oczy. Ludzie zaczęli się niecierpliwic. Irytowali mnie. Miałem ich dość. Nie mogłem dłużej znieść tej

paniki, strachu, krzyków, zawodzenia. Kręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że za chwilę runę na brudną, śmierdzącą podłogę.

– Dokąd nas wywożą?! – krzyknął ktoś z tyłu. – Mamy prawo wiedzieć!

– Człowieku, my nie mamy żadnych praw. Jedziesz w wagonie bydłęcym, to dokąd możesz dojechać? Ta trasa na pewno nie kończy się w Bristolu.

– Boże... na co nam przyszło, Boże... ocal nas – zawodziła jakaś kobieta, a grupa skupiona wokół niej zaczęła jej wtórować.

– Tu się nie da wytrzymać, jaki smród!

– Upchnęli nas tutaj, żebyśmy popadali w tym zaduchu jak muchy.

– Dokąd nas wiozą??? Dokąd???

Krzyczałem w środku. *Przestańcie. Już dosyć, dość!*

Pociąg gwałtownie zahamował. Żar z nieba rozgrzewał dachy wagonów. Nie wiem, jak długo trwał postój. Może godzinę, może dwie, a może piętnaście minut. Ludzie ucichli. Wyglądali jak umarli. Zobaczyłem, że pan Stanisław osuwa się na podłogę. W ostatniej chwili chwyciłem go pod ramię.

– Co się dzieje? Dlaczego pociąg stoi? – zapytał.

– Nie wiem. Ale niech się pan o mnie oprze – powiedziałem. – Damy radę.

Z zewnątrz dobiegały rozmowy w języku niemieckim, ktoś kłął, ktoś inny się roześmiał.

Pociąg na chwilę ruszył i znów się zatrzymał. Drzwi zostały otwarte. Powietrze. Wybawienie. Oddychałem. Nareszcie. Blask słońca oślepił. Przez zmrużone powieki zobaczyłem esesmana. Stał przed wejściem, przystojny, wyprostowany. Jego twarz pod czapką z trupią czaszką była szczupła i koścista. Gesty konkretne, ostre, twarde. Nieznoszące sprzeciwu. Władcze. Asystowało mu kilku żandarmów. Wszyscy wpatrzeni w niego jak w obraz. Ogarnął wnętrze wagonu stalowym wzrokiem. Mówił coś o bandytach, na których czeka zasłużona kara.

Byliśmy prawie nadzy. Spoceni. Brudni. Śmierdzący. Upiorni. W niczym nie przypominaliśmy ludzi, którymi byliśmy, zanim popędzono nas do transportu.

Esesman popatrzył na nas i skrzywił się z odrazą. Odwrócił się i rzucił w stronę żandarmów jakieś rozkazy. Przynieśli skrzynię z pociągu stojącego trochę z boku, na drugim torze. Patrzyliśmy, jak wyjmują z niej butelki z wodą i bochny chleba, jak nożami otwierają konserwy. Ludzi ogarnęło ożywienie. Kobieta stojąca obok mnie szepnęła:

– Widzicie? Dostaniemy jeść i pić.

Ale nikt nie dał nam jedzenia i picia. Przynieśli je nie dla nas. Patrzyliśmy dalej, jak siadają na pniach drzew albo schodach pociągu i zaczynają jeść.

Wiedzieli. Musieli wiedzieć, że umieramy z głodu i pragnienia, a ten widok działa na nas jak wymyślna machina tortur. Robili to celowo. Zmuszali nas do patrzenia, jak jedzą i piją. Jak woda ścieka im po brodach, a jej resztki wylewają na trawę.

Chciałem podbiec i wyrwać żandarmowi butelkę. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, będzie po mnie. Wiedzieli o tym wszyscy. Nikt się nie poruszył. Nikt nie odezwał się słowem. Obserwowaliśmy esesmańską ucztę w kompletnej ciszy.

Kiedy skończyli, pociąg ruszył. Koła stukały coraz szybciej. W oknach migwały obrazy skąpane w promieniach popołudniowego słońca. Patrzyłem na świat, przeczuwając, że powoli przestaje być jego częścią. Spojrzałem w niebo. Ptaki wzbijały się w powietrze i fruwały w stronę słońca. Były wolne.

Ogarnęło mnie odrętwienie.

Dziewczynka podobna do Zosi nagle dotknęła mojej ręki.

– Niedobrze mi – wyszeptała.

Ocknąłem się.

– Chce mi się wymiotować – zacisnęła usta.

Spojrzałem na nią najcieplej, jak umiałem, próbując dodać jej otuchy.

– Przesuń się w stronę okna, o... tutaj. Wiem, że to trudne, ale spróbuj. Wyciągnij szyję najmocniej, jak możesz, do góry. Złap powietrze.

Mimo starań nie mogła dosięgnąć okna. Wziąłem ją na rękę i podniosłem.

– Teraz czujesz powietrze? Oddychaj. Zaraz będzie lepiej.

Próbowała oddychać, trzymałem ją mocno, przytuliła swoją głowę do mojej.

– Jestem Ania.

– A ja jestem Janek.

W dłoni poczułem drobną rękę.

Ania. Jak ładnie. Ogarnęła mnie rozpacz. Siostra. Zosia. Zobaczyłem ją, jak stoi na środku pokoju i pyta mamę: „Gdzie Janek?”. Potem ujrzałem matkę pogrążoną w rozpacz. „Nie płacz, mamó”.

Pociąg znów się zatrzymał, tym razem na dworcu. Przez okno było widać budynek i tablicę informacyjną z napisem „Częstochowa”. Na peronie zamieszanie. Jacyś ludzie podbiegali do wagonów w nadziei, że uda im się jakimś cudem podać nam coś do jedzenia i picia. Padły strzały.

Oni wiedzieli. Musieli wiedzieć, dokąd nas wiozą. Widzieli taki transport nieraz.

Pociąg ponownie ruszył. Zobaczyłem, że młoda kobieta w ciąży, która od początku tej drogi czuła się źle, dostała kulę i w pozycji pólężącej opierała się o ścianę, a na jej klatce piersiowej pojawiła się krew.

– Boże! Ludzie... Zabili ją... Zabili! Boże, Boże.....

Ludzie zaczęli płakać, histeryzować. Otoczyli ją. Jakaś kobieta waliła głową w ścianę wagonu. Na jej czole pojawiła się krew.

– Zabiją nas – powtarzała. – Zabiją, wszystkich nas zabiją...

– Niech się pani uspokoi – starsza kobieta otoczyła ją ramieniem.

– Zabili ją. I jej dziecko.

– Tak. Ale nic nie możemy zrobić. A pani może żyć.



- A po co żyć? To się nie skończy. Nigdy się nie skończy.
- Trzeba mieć nadzieję.
- Zabiją nas wszystkich. Tyle jest warte dla nich nasze życie.
- Ktoś ją zna? – zapytał chłopak, który wcześniej opiekował się kobietą w ciąży.
- Czy jest ktoś, kto ją zna?  
Nikt się nie odezwał.
- Nawet nie wiemy, kim jest.
- Jakie to ma znaczenie?
- Może jeszcze żyje? – ktoś pochylił się nad nią, by sprawdzić, czy oddycha.
- Człowieku, daj jej spokój. Ona nie żyje. Lepiej się za nią pomódl.
- Tak. Pomódlmy się.
- Po co? Bóg i tak nas nie słyszy.

Koła pociągu stukwały głośno. Byłem wyczerpany, zrezygnowany. *Kiedy to się skończy?*, myślałem. *Kiedy wszystko się skończy?*

Słońce powoli zachodziło. Temperatura trochę spadła, wydawało się, że przez szczeliny w ścianach wagonu przedostaje się powietrze. Ludzie zasypiali. Tak, jak stali, albo jeden oparty o drugiego.

Z letargu wyrwało mnie łkanie. Płakał starszy mężczyzna. Pochylał się nad żoną, jej głowa opierała się o jego kolana. Delikatnie głaskał jej twarz. Była nieruchoma, zastygła. Podobnie jak twarze jeszcze kilku osób, które leżały cicho, jakby spały. O tym, że nie żyją, dowiedziałem się, gdy dojechaliśmy na miejsce.

Tablica z napisem „Auschwitz” była jasna i wyraźna. Może oświetlał ją snop światła latarni, może zimna poświata księżyca.

Przestałem czuć ciało. W głowie miałem pustkę.

\*

Pociąg powoli wtoczył się na jakiś tor. Zgrzytnął hamulcami. Szyny pod nim przeraźliwie piszczały. W końcu się zatrzymał. Było po zmroku. Najpierw usłyszeliśmy dochodzące z zewnątrz pierwsze odgłosy: odsuwanie drzwi innych wagonów, a potem krzyki i ujadanie psów. Słysząc było bieżanie, stukot butów, rozmowy po niemiecku, nawoływania. Po chwili wszystko umilkło, zapadła cisza. Wstrzymaliśmy oddechy. Byliśmy wyczerpani, spragnieni, przerażeni. Tuż przed drzwiami rozległ się wrzask.

– *Heraus! Raus! Rrraus!* <sup>5</sup>

Drzwi otworzyły się z hukiem. Naszym oczom ukazał się esesmani stojący z bronią maszynową i budynek otoczony drutem kolczastym. Ania mocniej ścisnęła mnie za rękę.

– *Alles raus! Weiter!*<sup>6</sup>

Wyskakiwaliśmy z wagonów, upadając na ostry żwir. Byliśmy zdezorientowani, podnosiliśmy się z ziemi, nie wiedząc, co dalej, co zrobić, jak się zachować, dokąd pójść. Na naszych twarzach malowały się zdumienie i strach. Nagle oślepiło nas jaskrawe światło, jakby ktoś włączył wielki reflektor. Spojrzałem wysoko na nocne niebo. Poczułem krople na twarzy. Po upalnym dniu przyszedł upragniony deszcz. W tym samym momencie uświadomiłem sobie, że moje ręce są puste, nie ma w nich dłoni Ani. Rozglądałem się w popłochu. Przed sobą widziałem przerażone twarze. Dostałem cios pałką w brzuch. Potknąłem się, runąłem na ziemię. Spadające na mnie krople deszczu były jak wybawienie.

Otoczył mnie tłum. Ludzie upadali, tratowali się nawzajem. Ktoś mnie szarpał, wydawało mi się, że tłum porwał mnie na ręce, że niesie mnie jakaś fala. Wyrwałem się. Biegłem przed siebie jak inni, pędzony okrzykami.

Na jasno oświetlonym placu czekała na nas po jednej stronie grupa esesmanów z psami, a po drugiej mężczyźni w kurtkach z napisem „kapo” na rękawach. Rozkazali nam się ustawić w równych rzędach. Zabierali nam wszystkie cenne i osobiste rzeczy. Wzięli mój zegarek. Prezent od ojca.

Szukałem wzrokiem Ani. Bałem się odwrócić, nie widziałem jej, ale też nie miałem pewności, czy nie stoi kilka metrów dalej. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, że nie zobaczę jej nigdy więcej. I nigdy się nie dowiem, co się z nią stało. Rozpłynęła się, jakby nigdy nie istniała.

Podzielili nas na grupy i zrobili selekcję. Oddzielili mężczyzn i nastoletnich chłopców od kobiet, dzieci, starców. Ich popędzili w niewiadomym kierunku, nas, samych mężczyzn, zostawili. Baliśmy się tego, co nas czeka.

Wtedy się zaczęło.

Kapo podszedł do mężczyzny w średnim wieku i zapytał, kim jest, jaki jest jego zawód.

– Lekarzem, jestem lekarzem – odpowiedział mężczyzna i wystąpił kilka kroków do przodu, jak mu rozkazano.

To pytanie kapo zadał jeszcze kilku osobom, po czym wyciągnął przed szereg samych wykształconych ludzi. Po to, by ich bić. Do nieprzytomności, bez opamiętania. Kapo kopali, zadawali ciosy, gdzie popadło, długo, do końca, do chwili, aż ich ubrania były całe we krwi, a pobici leżeli na ziemi i więcej nie wstali.

Patrzyłem na to z przerażeniem i niedowierzaniem. To, co się stało, wydawało mi się nierealne.

W tym samym momencie poczułem uderzenie w głowę, rozległ się okrzyk:

– *Na los! Schneller!*<sup>7</sup>

Gestami nakazywano nam pójść do przodu, do miejsca, gdzie kapo i esesmani utworzyli kordon, by po chwili zamienić go w szpaler. Rozkazali nam przesunąć się

do jego środka.

Nikt nie ruszył się z miejsca. Nikt nie chciał tam wejść. Okrążyli nas, znaleźliśmy się w pułapce. Bez szans. Bez wyjścia. Z przerażeniem czekaliśmy na to, co się z nami stanie.

Chciałem przestać istnieć.

Moje plecy nagle przeszył ostry prąd. Bili wszędzie. Pamiętam, że zasłaniałem się rękami, na całym ciele czułem dotkliwy ból. Tych, którzy upadli, kopali. Tych, którzy nie mieli siły wstać, przywracano do życia, polewając wodą. Bicie zaczynało się od początku.

Na ziemi leżeli ludzie, ich wyczerpane ciała nie miały dość sił, by dalej żyć.

Tym, którzy przeżyli, Niemcy kazali się ustawić w szeregu i pognali do obozu, na plac. Ruszyliśmy, powłócząc nogami, w eskorcie esesmanów prowadzących na smyczach wielkie psy, i grupy kapo, jak się później dowiedziałem, kryminalistów, z pejczami, którymi okładali skulone z bólu i strachu plecy, uginające się nogi.

Nie wiem, co mnie ocaliło.

Brama. Napis. *Arbeit Macht Frei*.

Przestało padać. Powłóczyliśmy nogami, nasze ciała odmawiały posłuszeństwa. Pobici, brudni, mokrzy, poniżeni. Modliłem się, by dojść, bo gdy tylko ktoś z nas zachwiał się czy przystanął, dostawał cios. Mój szok nie mijał. Serce waliło, w płucach brakowało tchu. Zerkąłem na ludzi o zakrwawionych, opuchniętych twarzach, dotkliwie pobitych, i nie mogłem uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Gdy jakimś cudem dotarliśmy na oświetlony reflektorem plac, znów musieliśmy stanąć w równym szeregu. Ujrzałem wysokie czapki z trupimi czaszkami. Naszywki ze znakiem „SS”. Rozstawione szeroko nogi. Zacięte twarze.

Esesman, który nadszedł, miał zimny wzrok, srebrne epolety i błyszczące buty. Musiał to być ktoś ważny, szef, kierownik, komendant tego miejsca, człowiek, od którego zależało tutaj wszystko, bo nawet żandarmi bali się w jego obecności oddychać. Wszedł na ustawioną na środku placu beczkę, by lepiej go było widać.

– Nie jesteście ludźmi – przemówił – tylko kupą gnoju, a to nie jest sanatorium, tylko niemiecki obóz koncentracyjny, z którego wyjście jest jedno, przez komin.

Każde słowo wypowiadał głośno i dobitnie, najwyraźniej delectował się brzmieniem swojego głosu. Kazał nam zapomnieć o rodzinach, matkach, dzieciach, żonach i mężach. Rodzeństwie. O wszystkich, którzy byli dla nas ważni. Im prędzej to zrobimy, tym lepiej dla nas, bo i tak nie zobaczymy ich nigdy więcej. Zdechniemy tu wszyscy, bez wyjątku. Bo dla takich wrogów Trzeciej Rzeszy nie ma litości. Bo jesteśmy *Verfluchte Bande*. Wszarze. Odpad ludzkości. Leniwe psy. A jeśli komuś

się to nie podoba, może od razu rzucić się na druty. Trupia czaszka na jego czapce wydawała się większa niż na czapkach pozostałych.

Ludzie stali resztkami sił. Nie wiadomo, co było większą torturą. Bezlitosne słowa, bicie, zadawanie bólu czy potworne pragnienie. Nie czułem nic. Mogli mnie zabić. Nie odczuwałem strachu. Było mi wszystko jedno. Ktoś nie wytrzymał i upadł. Chłopiec obok mnie stał w milczeniu, nie ruszał się. Kątem oka dostrzegłem, że z jego oczu płyną łzy.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Z szeregu wyszedł jakiś człowiek. Z trudem przesunął się trzy kroki do przodu i utrzymywał się na nogach.

*To pan Stanisław, pomyślałem. Co on robi, przecież zaraz go zabiją.*

Drżały mu kolana. Nie miał już okularów. Jego głowę pokrywały plamy krwi. Przemówił. Wzniósł się ponad to, co tu zastał, ponad wojnę, nienawiść, katów i ofiary. Ponad zadane rany. Przemówił językiem swoich oprawców, wyszukany i literackim, o jakim oni dawno zapomnieli albo jakiego nigdy nie poznali. Esesmani zamilkli. Obserwowali scenę ze zdziwieniem, nawet z ciekawością. Czekali na znak komendanta, co robić. Na jego twarzy o zimnych oczach malowała się irytacja. Chyba był wściekły, że ktoś, jakiś śmieć, odważył się zrobić coś wbrew jego woli. Nie wykonał jednak żadnego ruchu, stał, wciąż stał i słuchał człowieka pokrytego krwią, który mógłby być jego ojcem. Nie rozumiałem wszystkich słów, mimo że nauczyłem się ich sporo, by funkcjonować w okupacyjnej rzeczywistości. Zdawało mi się jednak, że pan Stanisław, starszy nauczyciel, mówi rzeczy wzniosłe. Twarze niektórych esesmanów były zastygłe i milczące, jakby zrozumieli, że tym, co robią, degradują ludzkość, samych siebie, przegrywają człowieczeństwo. Bo zostali stworzeni do innych rzeczy. Do szacunku. Miłości. Przez chwilę zdawało się, że podeptane piękno wzbilo się w powietrze.

Trwało to tylko przez moment. Pierwszy ocknął się komendant. Jego twarz poczerwieniała. Jak to możliwe, że on, rozdawca życia i śmierci, został ośmieszony? Urażone ego nakazywało mu podejść bliżej i stanąć przed upodlonym człowiekiem, który wiedział, że za chwilę zginie, właściwie wiedział to od pierwszej chwili, gdy zdecydował się wykonać krok przed szereg. Ego nakazało komendantowi wyjąć pistolet i przystawić do jego głowy, z której kapłała krew. Zabrakło mu jednak odwagi, by spojrzeć więźniowi w oczy. Może zobaczyłby w nich swoją klęskę, a może swój strach. Nie wyręczył się innym żołnierzem, przecież mógł, tak byłoby najłatwiej. Nie. Sam nacisnął spust. Strzelił mu w skroń. Jakby chciał własnoręcznie, jako jedyny, zabić tę chwilę. Osobiście znów podeptać mądrość, dobro, piękno.

Przeszył mnie szloch. Nikt go nie słyszał. Schowałem go głęboko pod żebrami. Obrazy przesuwały się w zwolnionym tempie. Komendy i wrzaski słyszałem jak

przez szkło. Przed oczami migąły mi trupie czaszki na czapkach i ciężkie buty esesmanów. Zmaterializowane piekło.

\*

Powoli docierało do mnie, że będę tu żył. Zadawałem sobie pytanie, jak długo. Tygodnie, miesiące? Potem przestałem zadawać pytania. Starłem się odnaleźć w rzeczywistości za kolczastym drutem.

Pierwszego dnia po tym, jak nas pobili, zagonili nas do budynku. Było nas wielu, nie wiem dokładnie ilu. Sami mężczyźni w różnym wieku. Znaleźliśmy się w białej sali. Rozkazali się rozebrać do naga. Każdy musiał wyrzucić ubranie do kosza i stanąć w kolejce do stolików, przy których zapisywano nasze dane i wręczano kawałek materiału z numerem, który trzeba było trzymać w ustach.

Ogolono nam głowy, pachy, okolice genitaliów. Tępym ostrzem. Skóry praktycznie nie dezynfekowano. Wrzaskiem popędzono nas do łaźni. Potem dostałem więzienny drelich w paski, spodnie i za duże drewniaki. Rozdano nam kubki, menażki, łyżki i ręczniki, okropne w dotyku, szorstkie, sztywne. Przydzielonoienne racje żywnościowe. Wodnista, chłodna zupa, jedna kromka ciemnego chleba, czasem kilka łyków cienkiej kawy zbożowej. To wszystko, co mieliśmy do jedzenia. Popędzili nas do różnych bloków.

Dwa dni później wytatuowali mi na lewym przedramieniu numer. Cyfry, które były napisane na kawałku materiału. Nie patrzyłem na nie. Udawałem, że moja ręka jest czysta. Nie jestem numerem. Nie zmuszą mnie, bym go zapamiętał. *Jestem Jan Walicki*, powtarzałem w myślach. *Jan Walicki*.

Odtąd już nie miałem nim być. On został za bramą wraz ze wszystkim, co miał, z całym swoim dotychczasowym życiem.

Na początku niektórzy próbowali żartować. Ktoś pytał: „Jak się nazywasz?”. Ktoś odpowiadał: numer taki i taki. Numery trzeba było znać na pamięć, w języku polskim i niemieckim. Esesmani ustawiali nas w szeregu i wywoływali do odpowiedzi. Nie chciałem go znać. Zapytany na apelu odpowiedziałem, że nie wiem. Chciałem być hardy. Broniałem własnego ja, swojej godności. Blokowy uderzył mnie, aż pociemniało mi w oczach. Nie pamiętam, co się stało, wpadłem w czarną otchłań, widziałem wszystko z góry, oglądałem z kilku metrów nad ziemią. Gdy wróciłem do ciała, przeszywał mnie potworny ból.

– Musisz zapamiętać ten numer, bo tak się teraz nazywasz – powiedział Leszek, pierwsza osoba, którą zobaczyłem, gdy po uderzeniu otworzyłem oczy.

Siedział przy mnie. Wokół było pełno ludzi, leżeli na pryczach, na każdej stłoczeni tak, że kiedy jeden chciał się obrócić na drugi bok, musieli to zrobić wszyscy.

Z górnej pryczy spadały pluskwy. Ja widziałem tylko Leszka. Poznałem go pierwszego dnia. Przyłgnął do mnie. W obozie był od jakiegoś czasu. Nie wiedział, za co został aresztowany, nie pojmował świata za drutami, ale wiedział jedno – musi przeżyć, w domu czekają na niego matka i narzeczona. Nazywał się Leszek Marciniak. Miał dwadzieścia trzy lata. Był silny, przydzielono go do pracy. Nie widział dobrze na odległość, zaraz po przyjeździe zabrano mu okulary. Bardzo chciał żyć, więc szybko nauczył się funkcjonować bez nich. Po kilku miesiącach w grupie ludzi, którzy przyjechali kolejnym transportem, zobaczył swojego ojca. Stał zagubiony jak w obliczu końca świata, sądu ostatecznego, śmierci. „Tato”, wyszeptał Leszek, zdając sobie sprawę, że ta grupa jest kierowana prosto do gazu, a ta chwila jest ostatnią, kiedy dane mu jest go zobaczyć.

– Powtarzaj za mną – dyktował mi cyfry numeru. – Mów, teraz, bo niedługo przyjdą i jak nie będziesz go znał na pamięć, to cię zabiją.

Powtarzałem. I w końcu się nauczyłem.

Pozbawili nas nazwisk. Chcieli odrzec nas ze wszystkiego. Złamać. Zostawić w pasiastych, okropnych łachach, bez włosów, dokumentów, drobiazgów, portfeli, zegarków, rzeczy osobistych. Myśleli, że w ten sposób wymażą nam wspomnienia. Nie przewidzieli, że tego akurat zrobić się nie da.

Gdyby ktoś przed wojną dał mi do ręki kartkę i długopis, żebym wymyślił i opisał, jak może wyglądać stworzona przez nazistów obozowa rzeczywistość, coś bym pewnie napisał, ale to, co tam zobaczyłem i przeżyłem, jest poza moją wyobraźnię i jakimkolwiek rozumieniem.

Jakiś dziennikarz zastanawiał się niedawno na antenie radia, czym jest szaleństwo. Zawsze, kiedy słyszę to słowo, przed oczami mam tamte dni. KL Auschwitz-Birkenau. Zamknięty świat, z którego nie ma wyjścia. Dzisiaj, po wielu latach, przeżyciach i wszystkim, czego dowiedziałem się o obozie później, mogę powiedzieć, że szaleństwo tamtego świata polegało na opracowanej w detalach, wyrafinowanej organizacji zabijania. Na komorach gazowych. Krematoriach. Biznesie.

Tam wszystko było takie cholernie praktyczne. Ludzkie zwłoki wykorzystywano do produkcji rzeczy codziennego użytku. Opracowano przepis na mydło z ludzkiego tłuszczu. Przepis na produkcję nawozu do sadzonek pomidorów z popiołu ze spalonych ciał i zmielonych kości. Nawóz ten sprzedawano w formie mączki w workach po pięćdziesiąt kilogramów. Powstały również przepisy na wyrób torebek, tapicerki, abażurów i okładek książek z ludzkiej skóry. W cenie były kawałki z tatuażami obozowych numerów. Wyrabiano meble z ludzkich kości. Po latach dowiedziałem się, że urządził nimi swój górski dom [Heinrich Himmler](#). Był też przepis na wyrób filcu i przedzdy z ludzkich włosów. Dziergano z niej skarpety dla żołnierzy marynarki podwodnej.

Praktyczne, prawda?

Niektórzy więźniowie sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, czy żyją, czy już umarli.

Pełniły tu służbę piękne strażniczki o miłych twarzach. Potrafiły bić i kopać długo, bardzo długo, na śmierć. Rozkazywały wrzucać noworodki i kilkumiesięczne dzieci żywcem do pieca.

Widziałem wciąż nowe transporty ludzi, nieświadomych tego, co ich czeka. Wypędzani z zatłoczonych wagonów szli w kierunku bramy, a zewsząd było słychać wrzask i komendy esesmanów, a potem bicie i selekcja, płacz rozdzielanych rodzin, wściekłe ujadanie psów.

Widziałem walkę o łyżkę ohydnej zupy z brukwi, szczury na pryzkach, wszechobecne wszy i tyfus wyzerający jelita.

Widziałem dzieci, które od razu po przyjeździe szły do gazu. Przez całe życie je widzę. Były jak oddzielone od matek wystraszone zwierzątka.

Patrzyłem na dzieci, które bawiły się w nazistów. W selekcję: ty zostajesz, ty idziesz do gazu. Liczyły trupy leżące przed ich barakami. Wykonywały gest ręką, jakby rozdawały cukierki, tak jak robił to Anioł Śmierci, doktor Mengele<sup>8</sup>.

Doktor Mengele z miłym uśmiechem zwabiał maluchy cukierkami, by strzelić im w głowę albo wbić śmiertelny zastrzyk, mordował dla swoich chorych wizji i eksperymentów, a w przerwach, na oczach więźniów, palił je żywcem w wielkim ognisku. Około trzystu niewinnych małych istot.

Widziałem maszynę zagłady. Esesmanów zawsze gotowych do wyliczanki żywych i umarłych. Ludzi doprowadzonych do takiego stanu, że pragnęli już tylko umrzeć, rzucając się na druty kolczaste.

Były stosy trupów. Krematoria chodzące pełną parą. Epidemie. Wciąż nowe transporty. Krajobraz bez kolorów. Czarno-biały, upiorny świat.

Były ludzkie oczy, a w nich strach i obłęd. Ci, którzy dopiero co przybyli, rozglądali się dokoła z niedowierzaniem i poczuciem absurdu. Wiedziałem, że dopiero po pewnym czasie do nich dotrze, że odebranie komuś życia jest tutaj jak splunięcie. Dziesiątki, setki par oczu będą się musiały do tych widoków przyzwyczaić. Stanie się to ich codziennością, tak będzie wyglądał każdy dzień. Ludzie musieli zrozumieć, że jedynym sposobem na przeżycie będzie przywyknienie do wszystkiego, co tu zastaną. Do cierpienia, katorżniczej pracy, głodu, dygotania na zimnie, widoku krwi, stania w błocie albo śniegu. Do coraz słabszych rąk i nóg, które trzeba zbierać do kupy każdego ranka, by znów mogły pracować. Do tego, że nieraz wyleją morze łez, a słabym ciałem będą wstrząsać dreszcze. Do okrutnej śmierci. Do dymu. Smrodu. Stosów ciał za latrynami. Najpierw do tęsknoty

zzerającej każdą komórkę duszy i ciała. Potem do stanu odrętwienia, w którym nie ma sił na nic z wyjątkiem wykonywania wyuczonych czynności jak automat. Do uczuć na poziomie odczuwania zimna i głodu.

Nie znam większego szaleństwa. Obląkania. Drugiego takiego miejsca, w którym lepiej od razu strzelić sobie w łeb, aniżeli żyć.

Byłem młody, a czułem się stary. Martwy. Pusty. Nie widziałem już przyszłości. Zgubiłem sens, przestało mi zależeć, by kurczowo trzymać się egzystencji, która była wszystkim, tylko nie życiem.

Nawet teraz nie znajduję słów, by opisać, co wtedy czułem.

Jedni mają Boga, inni nie wierzą w nic. Jedni mają Jezusa, inni Mahometa, moc energii albo nauki. Ludzie podzielili to, co jest jednym. Toczą ze sobą spory i nie rozumieją, że widzą to samo światło.

Tam nie było nikogo. Żadnego z bogów i proroków. Żadnego światła. Wszyscy nas opuścili.

Nie było czasu na płacz ani siły na rozpacz. Wszystkich pochłaniało ratowanie się. Każdego dnia. Od rana do wieczora. Starłem się być papierowy. Przewroczysty. Niewidzialny. Nie czekało się na współczucie, bo kto miał współczuć? Wszyscy przeżywaliśmy to samo. Mówili: zabili mi matkę, córkę. I co można więcej powiedzieć? Nic.

Ludzie umierali po kolei i była to zwyczajna śmierć. Cicha. Na pryczy, na apelu, na placu, w komorze gazowej. Nie śmierć za ojczyznę, w imię czegoś, w obronie kogoś lub własnych przekonań. Nie było w niej niczego wielkiego. Ot, taka sobie śmierć kogoś, kto nic nie znaczy.

\*

– *Schneller, schneller!*<sup>9</sup> – darła się strażniczka, prowadząc grupę kobiet. Wyprostowałem się znad dołu, który kopałem. Nadchodził wieczór. Orkiestra obozowa grała marsza. Więźniarki wracały z pracy. Wśród nich była ona. Poznałem ją od razu.

Pierwszy raz zobaczyłem ją kilka miesięcy przed wojną. Wyszedłem z rodzicami i siostrą na niedzielny spacer, przechadzaliśmy się Nowym Światem. Wyszła z cukierni Bliklego w towarzystwie eleganckiej kobiety. Spojrzeliśmy na siebie. Spodobała mi się. Podążała w tę samą stronę, aż do Starówki. Dobrze zapamiętałem jej twarz. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Dowiedziałem się przez kolegów, że na imię ma Sara i jest córką finansisty i filantropa Edmunda Rawicza, a jej matka to prawdziwa dama. Odkryłem też, gdzie mieszka, i że we wtorki i czwartki około godziny szesnastej wychodzi z domu na lekcje śpiewu. Doskonale pamiętam, jak



stałem w bramie kamienicy naprzeciwko. Wyszła piętnaście minut przed szesnastą. Byłem tak podekscytowany, że zagapiłem się i nie zdążyłem się schować. Serce waliło mi jak młotem. Zobaczyła mnie i uśmiechnęła się. Nie była jednak sama. Na lekcje odprowadzała ją elegancka kobieta, z którą wcześniej była na spacerze. Zrozumiałem, że to jej matka. Weszły do kamienicy przy ulicy Wareckiej i opuściły ją po godzinie. Sara domyśliła się, że je śledzę, a ja czułem się trochę jak cymbał. Nigdy nie zamieniliśmy ze sobą słowa, bo Sara była pilnie strzeżona. Zresztą gdybym nawet miał okazję być z nią sam na sam, to chyba nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Kiedy teraz zobaczyłem ją w Auschwitz, nie wierzyłem własnym oczom. Szła wraz z innymi więźniarkami. Wracała z pracy. Nasze spojrzenia się spotkały. Poznała mnie. Patrzyliśmy na siebie w zdumieniu. Chciałem, żeby ta chwila nigdy się nie skończyła.

– *Worauf wartest du noch?!* <sup>10</sup> – wrzasnął nad moim uchem kapo, rozdzierając powietrze bykowcem i szcując psa, gotowego na mnie skoczyć i rozszarpać. Nie przeraziło mnie to. Strażnik mógł mnie uderzyć, w tamtej chwili nie miało to żadnego znaczenia.

Staliśmy za barakiem. Za nami rozciągał się drut kolczasty i wisiała tablica z napisem „*Halt!*” i trupa czaszką. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wszystko, co w tym momencie przychodziło mi na myśl, wydawało się banalne. Z jej twarzy niczego nie dawało się wyczytać, sprawiała wrażenie, jakby mnie poznała i próbowała sobie przypomnieć, skąd mnie zna. W końcu odezwała się pierwsza.

– To ty.

– Tak.

– Zmieniłeś się.

– Nie wierzę, że cię widzę – powiedziałem zdławionym głosem. – Dziwne to czas i miejsce.

– Tak, masz rację – zaczerpnęła tchu. – Ale nie mamy na to wpływu.

Naprawdę nie wierzyłem, że z nią rozmawiam, z Sarą, tamtą Sarą, że ukrywam się razem z nią za barakiem, narażając nas na karę, bo kontakty między damską a męską częścią obozu były zabronione. Wiedziałem, że powinienem już pójść, ona też, lecz nie ruszaliśmy się z miejsca.

– Jestem Jan.

– A ja Sara.

– Wiem.

– Wiesz?

– Tak. I przepraszam.

– Za co?

– Że rozmawiamy dopiero tutaj.

– To nie twoja wina.

Nie pytałem. O nic nie pytałem. Uznałem, że jeśli zechce, opowie mi sama. Być może nigdy nie będzie gotowa mówić, a może opowie mi przy następnym widzeniu. Nie to zresztą było ważne. Modliłem się o to, żebyśmy przeżyli. Kombinowałem, jak mogłem, by ją zobaczyć i nikomu nie podpaść. Starłem się wywiązywać ze swoich prac i obowiązków bez zarzutu. Robiłem wszystko, by nikt z żandarmów nie nabrał jakichkolwiek podejrzeń. Mijając się gdzieś w ciągu dnia, wymienialiśmy spojrzenia. Kilka słów powiedzianych w przelocie, za barakiem, w magazynach, było świętem. Mówiliśmy szybko i skrótami. Jakby stale nas ktoś gonił. Trudne to były spotkania i w normalnym świecie niepojęte.

By móc się z nią spotykać na dłużej, uczyłem się obozowego życia od tych, którzy dobrze sobie radzili. Już pierwszego dnia odkryłem, że szansę mają ci, którzy nauczyli się obozowego elementarza i kombinowania. Postanowiłem wziąć z nich przykład. Nie znałem się na uprawianiu roślin i warzyw, ale załatwiłem sobie pracę przy kopaniu rowów, utwardzaniu drogi i pielęgnacji ogródka, dzięki czemu zawsze mogłem wsunąć do kieszeni jakieś warzywo. Robiłem wszystko, by nie zostać przydzielonym do komanda, gdzie praca była ponad ludzkie siły i polegała na dźwiganiu głazów albo podkładów kolejowych. Naśladując innych, uczyłem się symulować pracę. Robić wrażenie, że wykonuje się ciężkie czynności – ale tylko wtedy, gdy jest się pod ostrzałem spojrzeń. Udawać, że jest się zdrowym, silnym, zawsze w formie. Szybko się zorientowałem, kto bije mocniej, zadaje śmiertelne ciosy. Kogo mam unikać i co robić, by nie zwracać na siebie uwagi. Jak organizować sobie dodatkowe jedzenie, lekarstwa, nawet coś ciepłego do okrycia. Nauczyłem się wymiany ziemniaka na zupę, zupy na chleb.

Wszystkie te triki przydały mi się, by dzięki przekupywaniu kapo móc się spotykać z Sarą. Zdobywałem papierosy i wsuwałem mu do kieszeni, by udawał, że o niczym nie wie i nie widzi, gdy z nią rozmawiam. Czasem stał na czatach ktoś z moich kolegów, współwięźniów i ostrzegał, gdy tylko zbliżał się ktoś z SS. Z czasem mieliśmy swoje miejsce. W niedużym pomieszczeniu, składzie na ubrania. Kradliśmy kilka chwil dla siebie. W pośpiechu opowiadaliśmy sobie o życiu albo siedzieliśmy w milczeniu przytuleni.

Biedna była ta nasza miłość. Nie taka, jaką znacie. Skromna. Cicha. Upokorzona. Tak. Kochałem ją. Dziewczynę w pasiaku z ogoloną głową i ciałem pogryzionym przez wszy. Była dla mnie wszystkim. Choć Auschwitz to nie było miejsce do kochania.

Miłość zrodziła w mojej głowie myśl. Jeszcze się jej bałem, ale zacząłem sobie wyobrażać nas wolnych, jak leżymy na trawie, ona z głową na moim ramieniu, i patrzymy w gwiazdy. Zapragnąłem przeżyć chwile, które zabrała nam wojna. Zaplanować dzień. Przeżywać to wszystko, o czym próbowałem nie pamiętać, by

mniej bolało. Doświadczyć szczęścia. Odnaleźć własną młodość. Tu mogłem jedynie ją pogrzebać. Nie miałem pojęcia, jak tego dokonam. Lecz ta myśl nie dawała mi spokoju. Uczepiłem się jej pazurami. Sara na razie o niczym nie wiedziała. Nie wtajemniczałem jej, żeby jej nie przestraszyć. Zdawałem sobie sprawę, że muszę wszystko zaplanować, opracować każdy szczegół, by mój plan mógł się powieść. Postanowiłem zrobić wszystko, by razem z Sarą uciec z obozu zagłady.

\*

Mówił mi, że kiedy już to wszystko się skończy, wróci do domu, do rodziców, którzy w jej głowie wciąż żyli. Zrzuci z nóg trepy, które raniły jej gołe stopy. Była pewna, że więźniowie dostawali je, by nie móc uciec. Zapomni o śmierzących, sztywnych łańkach, nigdy więcej nie założy na głowę chustki. Nie były częścią jej życia, mimo że miała je na sobie każdego dnia. Numer na przedramieniu to tylko tatuaż, nie część jej ciała. Podobnie jak jej łóżkiem nie jest zawszona prycza. Wróci do domu. Życie będzie takie jak kiedyś. Czas się cofnie.

Opowiedziała mi raz o tym, co ją spotkało. Nie wspomniała o tym nigdy więcej. Ojciec umieścił ją poza Warszawą w domu kobiety o imieniu Zofia, której zapłacił za ukrycie córki. Sara nie chciała tam zostać.

„Inaczej zginiesz – powiedział tata.

– A wy?

Spojrzała na tatę z przestraszeniem.

Nie martw się, nic nam się nie stanie”. Ojciec mocno ją przytulił.

Pani Zofia miała wielkie serce i siłę, jakby była ze stali. Ukryła Sarę w piwnicy.

„Jeśli usłyszysz jakiś ruch wokół domu, wchodzisz do szafy. I nigdy nie podchodz do okna”, powiedziała. „Kręcą się tu różni ludzie, chłopcy przychodzą pracować na podwórku i w ogrodzie, biorą za to jedzenie. Nie wpuszczam ich do kuchni, ale nie daj Bóg, żeby któryś cię zobaczył. Dwa razy dziennie będę przynosić ci jedzenie, nie będziesz głodna”.

Stara szafa w piwnicy nie była duża, ale filigranowa Sara mieściła się w niej bez problemu. Całe dni spędzała na krześle lub materacu, na którym pani Zofia położyła poduszki i ciepły koc. Myślała o rodzicach, o tym, co się z nimi stało. Tęskniła. Błagała Boga, by ich ocalił. Jej jedynym zadaniem było siedzieć cicho. W szafie chowała się, gdy tylko usłyszała jakieś kroki, szelesty. Bywało, że siedziała w niej przez pół dnia albo do wieczora. W nocy czuła się swobodniej, mogła też umyć się w łazience, do której zaprowadzała ją pani Zofia. Pewnego dnia pani Zofia pojechała po coś do pobliskiego miasteczka. Przykazała Sarze nie opuszczać szafy.

„Chłopi wiedzą, że dziś u mnie nie ma żadnej pracy”, powiedziała, „Ale i tak ktoś może przyjść, więc uważaj” – ostrzegła.

Na podwórku i w domu panowała cisza. Sara zapragnęła na chwilę podejść do okna. Zobaczyć słońce, niebo. Przecież nikogo nie ma. Nic się nie stanie. Wydawało jej się, że czuje zapach powietrza z pól i łąk. Patrzyła prosto w słońce. Tak pragnęła stąd wyjść. Nagle na podwórku jak spod ziemi wyrósł mężczyzna. Schowała się przerażona.

*Nie widział mnie, pomyślała w panice.*

Wozy esesmanów zjawiły się na podwórku jeszcze tego samego dnia, niedługo po tym, jak pani Zofia wróciła z miasteczka. Z oddali zaczęły dobiegać szorstko i agresywnie brzmiące słowa, wszędzie było słychać rejwach i krzyki. W domu i na podwórku zapanowało pandemonium. Drzwi otworzyły się z hukiem. Pani Zofia została aresztowana. Zabrano ją razem z Sarą do budynku szkoły przerobionego na posterunek Gestapo. Sara została wepchnięta do izby zatrzymań, gdzie siedzieli już inni ludzie. Panią Zofię poprowadzono do odrębnego pomieszczenia. Przerażeni ludzie siedzieli w ciszy na twardych krzesłach. Nie rozmawiali ze sobą, unikali spojrzeń, każdy modlił się i błagał w cichości ducha o wyjście na wolność. W tym pomieszczeniu Sara spędziła wiele godzin. Na ścianie wisiał portret Hitlera. W kółko zadawała sobie pytanie, jak mogła być tak nieostrożna i dopuścić do takiej sytuacji. Myślała o pani Zofii. Obwiniła się o to, co się stało. Nie mogła sobie tego wybaczyć.

Do Auschwitz przyjechała razem z grupą młodych kobiet. W sąsiednim wagonie były dzieci, w innym starcy. Wszyscy zostali od razu skierowani do komór gazowych. Ona i pozostałe kobiety jeszcze chwilowo ocalały. Zanim pociąg ruszył, wrzucono do wagonów zwłoki – jechały wraz z żyjącymi, aby potem spłonąć w krematoriach.

\*

Była Żydówką, ale jej pochodzenie nie miało dla mnie znaczenia. Napisałem, że była Żydówką, bo znalazła się w miejscu, gdzie Żydów częściej niż innych skazywano na śmierć. Początkowo zadawała sobie pytanie, dlaczego nie poszła do komory gazowej wprost z rampy wyładowniczej. Szybko zrozumiała, że uratowały ją młodość i zdolność do pracy i, mimo tak strasznych doświadczeń, jakaś niesamowita wewnętrzna siła. Zaraz po przyjeździe oddzielono ją od starszych i chorych i zamknięto w niedużym budynku, gdzie wraz z innymi zdolnymi do pracy kobietami przesiedziała na gołej podłodze do rana.

Opowiedziała mi, że rozebrali je do naga, zaprowadzili do męskiej części obozu, do więźniów fryzjerów, by ogolili im głowy i inne części ciała. W kolejce stały dziesięcioletnie dziewczynki i dorosłe kobiety. Ich włosy spadały na podłogę, jasne, ciemne, rude, długie, krótkie, pasma, pukle, loki. Poddawały się temu w ciszy, przepełnione uczuciem upokorzenia.

Potem rozległ się wrzask. Esesmanki darły się i smagały więźniarki pejcjami.

– Jesteście robactwem! Brudnym, ohydny robactwem! – ostry głos ciął powietrze. – Nikomu niepotrzebnym plugastwem!

Sara nie patrzyła im w oczy. Nigdy nie patrzyła w oczy.

W pierwszym dniu Sarze wydawało się, że dziwne istoty w pasiakach są pozbawione ciał, mają kości zakończone głowami, które rozglądają się na boki. Istoty wyglądały, jakby od dawna nie żyły. Budziły w niej lęk i obrzydzenie. Potem ogarnęły ją smutek, żal. Przemóżna chęć pomocy. Mówiła, że jej barak był duży, ale klaustrofobiczny. Stały tam piętrowe prycze, a na nich leżały setki kobiet wciśniętych po kilka na jedno nędzne posłanie. Sara unosiła się między snem a jawą, przed oczami miała obrazki z dawnego życia, czuła tamte wrażenia i zapachy. Chroniła swój świat, zapisywała go w pamięci, wiedziała, że tylko w ten sposób może ocalić siebie. W zderzeniu z widokiem prycz i więźniarek, odgłosami płaczu, kaszlu, ze smrodem, którego nie wywiewał nawet wiatr przedostający się przez szczeliny w budynku, jej przeszłość wydawała się czymś tak nierealnym, że którejs nocy zadała sobie pytanie, czy istnieje naprawdę, czy dawny świat powstał w jej głowie jako iluzja.

W naszych barakach działo się podobnie. Z różnych kątów dochodziły jęki i zawodzenie. Nie modlił się już nikt oprócz nowo przybyłych. Z czasem wyglądało to tak, jakby wszyscy odwrócili się od Boga albo Bóg od nich. I stale kogoś brakowało, ktoś zniknął, odchodził, nie wracał. Jego miejsce zajmowała nowa osoba.

Sara była niezwykła. Podtrzymywała na duchu innych. Brała na siebie to, czego nie mogły zrobić słabsze od niej kobiety. Wychudzonym dziewczynkom oddawała własne racje żywnościowe. Dla najmłodszych najgorsze były głód i doły kloaczne, wszechobecny smród odchodów, gnijących ran, dymu. Płakały, chciały do matek. Tuliła je i pocieszała, opowiadała im historie ze świata swojej iluzji. Pracowała w obozowym ogródku, przynosiła czasem natkę marchwi, podkradała się tam, gdzie wyrzucano resztki z kuchni, i przemyciała to, co nadawało się do jedzenia. Zakradała się także do baraku dziecięcego, budynku z rzędami prycz, na które rzucono wiązki słomy. Na każdej z nich sypiało kilkoro dzieci. W otoczeniu robactwa i brudu. W baraku było potwornie zimno. Dzieci również głodzono. Sara przychodziła do nich w nocy wraz z innymi kobietami. By przemknąć się niepostrzeżenie, musiały czołgać się po ziemi, omijając obrotowy reflektor oświetlający teren obozu. Kobiety starały się zrobić co w ich mocy, żeby pomóc dzieciom: odganiały szczury,

tłumaczyły, że podczas zastrzyków nie wolno płakać, bo grozi to śmiercią, przynosiły słomę i jedzenie.

Sara bardzo przeżyła przyjazd grupy dzieci do Auschwitz. Doskonale to widziałem. I mam ten widok wciąż przed oczami. Dzieci. Setki dzieci. Nie wiedzieliśmy, skąd przybyły. Rozglądały się. Starsze trzymały młodsze za ręce. Szły prowadzone przez strażników i psy wprost do komór gazowych. Obserwowaliśmy tę zbrodnię z daleka. Ludzie zakrywali twarze dłońmi. Płakali. Totalna bezsilność. Patrzysz i nie możesz nic zrobić. Nic. Nawet najtwardszy by tego nie wytrzymał. Sara przysięgła sobie wtedy, że otoczy osamotnione i pełne bólu dzieci jeszcze lepszą opieką.

Opowiadała mi o kobietach ze swojego baraku, o tym, jak po kolei odchodziły: stare, słabe, chore, niezdolne do pracy. Niepotrzebne. Miała w obozie bratnią duszę. Zbliżyły się do siebie już na samym początku. O kilka lat starsza Marcelina bardzo Sarze pomagała, trzymały się razem. Sara nie mogła dojść do siebie, gdy Marcelina zginęła w komorze gazowej.

Gdyby nie opowieści Sary, o wielu rzeczach nigdy bym się nie dowiedział. Na przykład o tym, jak w grudniowy dzień kazali kobietom wyjść z baraków nago o świcie i ustawić się na placu. Darli się, że muszą odwszawić blok. Otworzyli bramę i utworzyli wokół więźniarek kordon. Nakazali kobietom biegać w kółko. Ta, która się potknęła, zachwiała albo poruszała zbyt wolno, była wyłapywana za szyję półkolistym zakończeniem laski i wrzucana do rowu – głębokiego, wypełnionego błotem, z którego nie można było wyjść. Potem stały przez kilka godzin na placu, a śnieg padał na ich ciała, chude i wycieńczone. Sara wyznała mi, że w tamtych chwilach marzyła o szybkiej śmierci. Myślała, że lepiej byłoby nigdy tu nie dojechać, umrzeć w transporcie, w cuchnącym, dusznym wagonie, być jednym z ciał, które po przybyciu na miejsce wynoszono. Kiedy stała naga na śniegu, czuła, że traci zmysły. Zastanawiała się, kiedy ona i jej towarzyszki niedoli zostaną rozstrzelane. W jaki sposób zginą? Czy zamarzną, czy też ich cierpienie skróci kula? Czy to stanie się za sekundę, czy za godzinę? Czas mijał odmierzany oddechem. Teraz. Nie. Jeszcze nie nadszedł ten moment.

Na początku pracowała przy utwardzaniu drogi, w gospodarstwie albo w magazynie żywnościowym. Była zwinna, szybka, starała się wykonywać swoje zadania tak, jak wymagali oprawcy, i nie zwracać na siebie uwagi.

Bałem się o nią. Śmiertelnie się bałem. Wiedziałem, że gdy opadnie z sił i przestanie być użyteczna, czeka ją śmierć w komorze gazowej. A Sara powoli opadała z sił. Była coraz chudsza i bledsza. To mogło się stać więc każdego dnia.

\*

Ale Sara przeżyła. Zdecydował o tym jeden dzień. Zrobiło się przeraźliwie zimno, obóz po deszczu tonął w błotnej brei. Kobiety, a wśród nich Sara, kuliły się na pryczach, głodne i przemarznięte. Do bloku wpadły strażniczki. Dwie ładne strażniczki, z finezyjnie upiętymi blond włosami. Weszły poważne, surowe, z wyrazem twarzy, od którego odwraca się wzrok. Stały pośrodku. Kobietom kazały ustawić się w szeregach wzdłuż pryczy.

Strażniczka, ta ładniejsza, o porcelanowej cerze i błękitnych oczach, wskazywała więźniarki skinieniem dłoni, w której trzymała pejcz. Każda wywołana przez nią kobieta musiała wyjść na środek i wykonać rozkaz esesmanki. Sara opowiadała, że to był smutny i żaloszny widok. Strażniczki znały słabe punkty wielu więźniarek, dawały im więc zadania, którym kobiety z trudem mogły sprostać. Niemki przedrzeźniały je przy tym i wyśmiewały. Kopały. Na koniec smagały je pejczem. Więźniarki stały z pochylonymi głowami. Bały się podnieść wzrok. Poruszyć się. Drgnąć. Oddychać.

Sara modliła się w duchu, by esesmanki nie wywołały jej na środek. Do tej pory brała udział w takich torturach dwa razy i jakoś się jej udało. Stała teraz cicho ze spuszczonego wzrokiem.

„To degeneratki, prostytutki”, mówiły o strażniczkach więźniarki. „Nie przypuszczasz nawet, do czego są zdolne. Ta ładna strzeliła ciężarnej Marysi prosto w brzuch, a na Irkę – za to, że wysunęła nogę za bardzo do przodu na apelu – kapo kazała wylać wiadro ekskrementów i pozwoliła jej się umyć dopiero po trzech dniach, kiedy nieczystości całkiem zaschły na pasiaku i wniknęły w delikatną skórę dziewczyny”.

– *Und Sie?* <sup>11</sup> – ładniejsza strażniczka wyciągnęła rękę w stronę Sary.

Spojrzała na swoją koleżankę porozumiewawczo, po czym przeniosła wzrok na Sarę. W jej oczach pojawił się złośliwy błysk. Pod Sarą ugięły się nogi.

*To nie dzieje się naprawdę*, pomyślała. Widząc jej strach, strażniczka zaczęła się śmiać.

– Idź – jakaś kobieta popchnęła ją w plecy. – Bo cię zabije.

Sara zrobiła kilka niepewnych kroków przed siebie.

– *Singen!*

Śpiewać. Miała śpiewać.

Kiedy opowiadała mi o tym, od razu przypomniałem sobie, jak odprowadzałem ją na lekcje śpiewu. Dopiero niedawno dowiedziałem się, że śpiewała od dziecka, zawsze nuciła coś pod nosem. Wszyscy mówili, że ma piękny głos. Nauczycielka śpiewu chwaliła ją i mówiła, że może wyrosnąć na sławną śpiewaczkę. Pod jej kierunkiem Sara nauczyła się kilku arii operowych i wykonała je na szkolnym koncercie w dużej sali.

Stojąc przed strażniczką, otworzyła usta, by zaśpiewać jedną z arii, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Niemki coraz bardziej się niecierpliwiły, śmiały się i ubliżały Sarze, ale było widać, że wzbiera w nich złość. Zwłaszcza w tej dominującej w tym tandemie, tej ładniejszej. Zbliżyła się do Sary. Pod brodę podsunęła jej pejcz. Ich spojrzenia się spotkały. Strażniczka przeszła Sarę wzrokiem i powtórzyła głośno, dobitnie:

– *Singen!*

Sara przełknęła ślinę. Jej nogi drżały. Zdawała sobie sprawę, że jej czas się kurczy, sekundy mijały. Nabrała powietrza w płuca, otworzyła usta. I stał się cud. Usłyszała swój głos. Brudny, śmierdzący barak wypełniło *O mio babbino caro* Giacoma Pucciniego z opery *Gianni Schicchi*. Początkowo śpiewała cicho i niepewnie. Nikt jej nie przerywał. Przymknęła powieki. Śpiewała coraz głośniej, czuła, jak jej głos staje się mocniejszy. Wszystko wokół przestało istnieć. Wyobraziła sobie, że znów śpiewa na sali koncertowej w pięknej sukni uszytej specjalnie na tę okazję przez krawcową mamy. Ten niezwykły utwór w wykonaniu Sary, więźniarki z wytatuowanym numerem i ogoloną głową, przeszywał aż do trzewi, unosił się daleko stąd, wzlatywał w powietrze wysoko.

Stojąca dalej strażniczka wciąż uśmiechała się urągliwie, do końca odgrywając najohydniejszą z życiowych ról. Ta bliżej Sary już dawno zabrała pejcz spod jej brody i cofnęła się o krok. Poniżający uśmieszek powoli zniknął z jej twarzy. Owinięte chustkami głowy więźniarek podniosły się, wyprostowały ramiona. Kobiety patrzyły na Sarę z zachwytem i w zdumieniu. Jej śpiew rozbrzmiewał jak wybawienie, spełniona modlitwa. Był czymś wysnionym.

Gdy skończyła, zapadła cisza. Więźniarki nie ruszały się, bały się oddychać. Sara stała z podniesioną głową. Jej oczy błyszczały. Ładna nadzorczyńni zagryzła usta. Na chwilę straciła rezon. Najwyraźniej zastanawiała się, co zrobić, jak się zachować. Powolnym, ale stanowczym krokiem zbliżyła się do Sary. Jej piękne oficerki wspaniale prezentowały się na szczupłych nogach.

*Uderzy mnie, za chwilę zamachnie się pejczem*, myślała Sara ze strachem, przygotowując się na cios. *Jakoś to zniosę, to lepsze od stania nago na placu, od wchodzenia do kadzi z brudną, śmierdzącą wodą, od smrodu palonych ciał.*

Strażniczka końcem pejcza dotknęła jej twarzy. Przesunęła nim po policzku, dotknęła ust. Nie spuszczała z Sary wzroku. Tych kilka sekund trwało wieczność. Więźniarki wstrzymały oddech. Strażniczka nie odezwała się słowem. Nagle odwróciła się, skinęła na koleżankę głową i obie wyszły z baraku.

Ta ładniejsza wróciła następnego dnia. Wezwała Sarę kiwnięciem ręki i od tej pory robiła tak często. Sara mogła się umyć, dostawała czystą odzież i posiłek. Została przeniesiona do baraku, w którym panowały trochę lepsze warunki. Wyznaczono jej nowe zadanie – śpiewanie. Była przyprowadzana na specjalne



wieczory organizowane u esesmanów, a nawet do gabinetu jednego z nich. Miał tam gramofon, nastawiał płytę z muzyką klasyczną, a potem rozkazywał jej śpiewać. Sara śpiewała, pracowała i przez cały pomagała dzieciom. Nigdy o nich nie zapomniała.

Bąłem się, że może spotkać ją tam coś złego, a jednocześnie cieszyłem się, bo wiedziałem, że dopóki faszyci będą się interesować jej śpiewem, dopóty będzie żyła. Musiała robić to pięknie, bo głos rzeczywiście ratował jej życie i zapewnił godziwsze warunki przez jakiś czas. Uznałem, że los chciał, by Sara przeżyła. To był dla mnie znak. Teraz już nic nie mogło cofnąć mojej decyzji o ucieczce. Nie chciałem bać się myśli, że zostaniemy tu na zawsze. Będziemy żyć z lękiem, myśląc, że tak jest łatwiej: przystosować się. Lecz jaki jest sens życia bez nadziei?

\*

Lato tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku było duszne. Wszędzie śmierdziało trupami. Starąłem się nie oddychać, słodkawo-mdlący dym sprawiał, że stale chciało mi się wymiotować. Kiedy odchodziła zima, nie mogliśmy się doczekać cieplejszych dni. Wiosna zawsze oddala choroby i cierpienie, niesie nadzieję. Jednak letnie upały okazały się niemiłosierne.

Na początku lata zniknęli z obozu Edek i Mala<sup>12</sup>. Wszyscy im kibicowali. Życzyłem im, żeby się udało. Kochali się. Tak jak my. Ludzie opowiadali sobie o nich w sekrecie. Odżyły wspomnienia ze świata, o którym mieliśmy zapomnieć. Myśli o miłości, pięknie. Zwyczajne ludzkie tęsknoty. Były chwile, że strach przestawał istnieć. Więźniowie chodzili z uniesionymi głowami. Nikt nie był w stanie odebrać im radości z ucieczki dwojga młodych, którzy się kochają.

Dało mi to potężnego kopniaka. Wiedziałem, że już się nie wycofam. Przez cały czas tłumaczyłem sobie, że nie można się bać. Strach odbiera moc. Trzeba iść do przodu, robić to, co się postanowiło, odważnie. Trzeba unieść się ponad życiem, popatrzeć na nie z góry i zobaczyć, przekonać się z całą siłą, że można przekroczyć nieprzekraczalne, samego siebie, swój strach, i uwierzyć, że można wszystko.

\*

My też uciekniemy. Też będziemy wolni. W przebraniu esesmana przyjdę po Sarę i zabiorę ją na wymyślone przesłuchanie. Widziałem nieraz, jak żandarmi wyprowadzają więźniów przez bramę na przesłuchania do budynków poza terenem obozu. Tak to sobie obmyśliłem.

Zaopatrzony w sfalszowaną przepustkę wyruszę przez obóz, kierując się ku jednej z bram. Za każdym razem, gdy sobie to wyobrażałem, serce waliło mi jak oszalałe.

Staralem się zachować zimną krew. By niczym się nie zdradzić, z niczym nie wpaść.

Zachować zdrowy rozsądek i mieć przemyślany każdy krok. Nauczyć się bycia esesmanem, tak, by na punktach kontrolnych nikt nie rozpoznał w żandarmie SS przebranego więźnia.

Żyliśmy dalej, z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Pewnego dnia, gdy spotkałem Sarę, była bardziej przygnębiona i jakby drobniejsza niż wcześniej.

– Nie pójdę tam więcej. Nie chcę – powiedziała, gdy mogliśmy zamienić kilka słów i spędzić ze sobą chwilę w magazynie.

– Coś się stało...? Ktoś cię skrzywdził? – zapytałem z trwogą.

– Nie, ale... – westchnęła. – Śpiewanie dla nich jest katorgą. Czuję się brudna.

– Ratuje ci życie. Nie masz wyjścia. Musisz śpiewać.

– Nie wiem, czy dam radę dalej.

– Dasz. I będziesz żyć.

– Będę? I tak nas tu zagłodzą. Wszystkich.

– Masz, jedz, ja już zjadłem – wyjąłem z kieszeni kromkę chleba.

Śniliśmy o nim wszyscy, o białym bochenku z chrupiącą skórką. Ten był gliniasty, ohydny, ale był tym, co miałem najcenniejszego. Ta mieszanka mąki z trocinami ratowała nam życie.

– Będziemy żyć, Saro.

– Skąd to wiesz?

– Uciekniemy stąd.

Przestraszyła się. Skuliła ramiona.

– Jak to uciekniemy? Stąd nie ma ucieczki, Janku. Nie ma.

– Nam się uda.

– Boję się. Złapią nas i zabiją.

– Dlaczego tak mówisz? Innym się udało. Edek i Mala... Uciekli. Nie złapali ich.

– Skąd to wiesz? Może złapali.

– Gdyby tak się stało, od razu by nam to obwieścili. Trąbiliby o tym dzień i noc.

– No może tak. Na pewno tak... Ale teraz strażnicy są na pewno czujni i sprawdzają wszystko podwójnie.

– Nie. Właśnie teraz tracą czujność. Bo są przekonani, że każdy tak myśli i nikt nie będzie próbował uciec.

– Nie wiem. Może tak jest – Sara zagryzła usta.

– Saro, przecież to się skończy. Jeszcze będziesz się budzić we własnym pokoju – wzięłem jej twarz w dłonie i powiedziałem dobitnie: – Wyjdziemy stąd. Cokolwiek się stanie, musisz być przekonana, że jest w tobie coś, jakaś iskra, której nikt i nic nie zgasi. A życie, które masz przed sobą, jest ważniejsze od tego, które minęło. A ty masz przed sobą przyszłość. I ja też ją mam.

Nie wiem, skąd wzięły mi się takie słowa, ale byłem pewny siebie i chyba tym obudziłem w niej cień nadziei. Nie odezwała się. Patrzyła. Tylko patrzyła.

– Kocham cię – powiedziałem.

Udała, że nie słyszy.

– Kocham cię – powtórzyłem.

– Jak możesz mnie kochać? – spuściła wzrok – Jestem okropna.

– Nie.

– Nie mam włosów. Już zapomniałam, jak to jest je mieć.

– Odrosną szybko. Będą piękne.

– Ale nie wyróżniam się za bardzo, prawda? Bo odkąd uciekła Janka Nowak, wszystkie mają golone głowy, nie tylko Żydówki.

– Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką znam.

– Mówisz tak, żeby mnie pocieszyć. I... Janka uciekła, ale złapali ją i przywieźli z powrotem. Wtedy utworzyli kompanię karną dla kobiet. Dobrze wiesz, co to znaczy.

– Ale uciekła. Pokazała, że można. Inni też uciekali i im się udało. Nam też się uda, nie wrócimy tu więcej.

– Ty znowu to samo. Janku... Ja nie zostawię dzieci. Nie mogę.

– Nie pomożesz im, zostając. Bo twoje śpiewanie się kiedyś skończy. To tylko ich kaprys na krótki czas.

– Ale dzieci zawsze czekają. Kiedy nikt do nich nie przychodzi, płaczą. Wołają matki. Gdy zrozumieją, że matki więcej nie przyjdą, ktoś musi przy nich być.

– Posłuchaj. Dzieciom dałaś wiele wspaniałych chwil. Te, które przeżyją wojnę, zapamiętają cię na całe życie. W obozie są też inne kobiety, które się nimi opiekują. A po nich przyjdą nowe. Niektóre z dzieci wciąż mają matki. Tak będzie do dnia, aż to wszystko się skończy. Nic więcej zrobić nie możesz. A naszą ucieczką pokażemy ludziom, że można, damy im nadzieję.

– Nie wiem, czy dam radę. Tak się boję.

– Nie bój się. Zostaw to mnie – zrobiłem wszystko, by w moim głosie było słyhać pewność. – A teraz już idź, bo zaczną cię szukać.

– Tak. Idę – westchnęła.

W drzwiach odwróciła się i powiedziała:

– Ja też cię kocham.

\*

Gdybym wtedy wiedział, że niebawem złapią Małą i Edka, że urządzią im piekło, będą torturować, może nie byłbym taki odważny. Gdybym wiedział to, co wiem

teraz, że po ciężkim, okrutnym śledztwie Edka powieszają, a Mala podetnie sobie żyły żyletką, będzie umierać w drodze do krematorium, aż w końcu dostanie strzał w głowę, być może nigdy nie podjąłbym decyzji o ucieczce.

Wtedy jednak nie miałem tej wiedzy i byłem tak zdeterminowany, że nic nie było w stanie mnie zatrzymać. Nawet gdy Niemcy zebrali nas na placu i ogłosili, że ich mają. Złapali tę parę bandytów, właśnie ich przywieźli i osadzili w więzieniu. Ludzie byli wstrząśnięci, a ja sądziłem, że potrzymają ich przez jakiś czas i wypuszczą na teren obozu, jak robili w przypadku niektórych więźniów. O tym, że ich zamordowali, dowiedziałem się dużo później.

Sara w tym czasie trzymała się na uboczu. Dowiedziałem się, że gorzej się czuje, ale żeby nie umrzeć w krematorium, udaje, że nic jej nie jest. Odchodziłem od zmysłów i podziwiałem ją za siłę. Bałem się, że to może być tyfus. To oznaczałoby koniec. Chorych na tyfus wysyłano do gazu bez mrugnięcia okiem. Ona nie mogła umrzeć. Przez cały czas zastanawiałem się, co mogę zrobić, jak jej pomóc.

– Ona koniecznie potrzebuje lekarstw – patrzyłem błagalnie na Leszka, jakby jego misją było zawsze ratowanie całego świata.

– Zakochałeś się?

– Daj spokój. Po prostu... A nawet jeśli? To co?

– Jezu. Zwariowałeś. Tutaj?

– Zdobędziesz coś dla niej? Proszę.

– A mam inne wyjście? Wiesz przecież, że tak. Jutro będę w szpitalu, coś wykombinuję. Uspokój się, będzie dobrze, ona przeżyje.

– Trzeba ją ratować.

– Stary. Obiecuję, że zrobię co w mojej mocy.

Nie widziałem jej przez jakiś czas. Chodziła do pracy i nie miała już sił na nic więcej, na ukradkowe spotkania, wymykanie się z baraku. Widywałem ją z daleka, jak udawała się w grupie więźniarek do magazynu, podczas gdy ja wyrównywałem teren przy barakach albo przy budowie nowej drogi rozłupywałem kamienie. Za każdym razem wyobrażałem sobie, że przestajemy być niewolnikami i wiemy gdzieś wspólne życie.

Leszek, tak jak obiecał, załatwił jej jakiś lek, nawet nie wiem, co to było, najważniejsze, że stanęła na nogi i tliła się w niej wola życia. W tym czasie skończyło się jej śpiewanie. Esesmani mieli już nową zabawkę, Sara im się znudziła. Z rozpędu została przydzielona do obozowej orkiestry kobiecej, mimo że nie umiała grać na żadnym instrumencie. Więźniarka z orkiestry szybko nauczyła ją grać na flecie. Sara była muzykalna, więc robiła postępy. Bałem się, że to nie potrwa długo i skazą ją na śmierć. Czuję, że ona też zdaje sobie z tego sprawę, choć wcale o tym nie rozmawialiśmy. Oboje wiedzieliśmy, że czas ucieka, mamy go coraz mniej.

Mówiła mi, że granie w orkiestrze okazało się gorsze od śpiewania. Gorsze od mrozu, głodu, pracy ponad siły. Orkiestra grała codziennie, dwa razy na dobę. Rano, gdy grupy więźniów szły do pracy, i podczas ich wieczornego powrotu. Potem orkiestra grała, kiedy pojawiały się nowe transporty. Był to czas, kiedy wszyscy, bez selekcji, od razu trafiali do komór gazowych. Ci biedacy słyszeli muzykę i machali w kierunku orkiestry, nie zdając sobie sprawy, że idą na śmierć. Świadomość, że muzyka towarzyszy zagładzie, była dla Sary nie do zniesienia. Podobnie jak to, że będąc w orkiestrze, jest w jakimś sensie uprzywilejowana.

– Co z tego, że mam teraz poduszkę i lepsze warunki życia, że nie śpię z setką kobiet? – mówiła. – Zrozum, ja tak nie potrafię. Wariuję. Grając na flecie, prowadzę ludzi na śmierć. – Pomagacie im, dzięki wam nie wiedzą, do ostatniej chwili nie wiedzą.

Załamana się, gdy pewnego dnia grała i rozpoznała w tłumie zmierzającym do krematorium kolegę ze szkoły. Grała, a on szedł, nie zdając sobie sprawy, że za chwilę zostanie spalony. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Stała się pełna sprzeczności. Bała się, rozpaczała, chciała uciec, a po chwili się z tego wycofywała. Działo się z nią coś dziwnego. Została też odizolowana od baraków, w których przebywały dzieci. Jej barak stał po drugiej stronie obozu, więc przedostanie się do tamtej części nie było już możliwe.

\*

Na ucieczkę z Auschwitz nigdy nie było dobrego czasu. Z tyłu głowy narastał szept: *A może jednak nie, może nie teraz, za miesiąc, a może wcale, bo przecież się nie uda. A może to wszystko samo się skończy i wyjdziemy na wolność, nie trzeba będzie uciekać.* Kiedy tylko ten szept powracał, od razu odganiałem go od siebie, bo wiedziałem, że słuchając go, mogę zwątpić, poddać się, załamać. Sarze o tym nie mówiłem, przed nią grałem twardego i pewnego siebie.

Dzięki papierosom, które skwapliwie brał ode mnie kapo, mieliśmy coraz dłuższe widzenia i mogłem przygotować siebie i ją do ucieczki.

– Janku...

– Tak?

– To niemożliwe. Przyszłości nie ma.

– Pokażę ci, że jest.

– Nie.

– Jest. Będziesz ją miała. Obiecuję ci.

Pomysł długo nosiłem w sobie, potem powiedziałem o nim Sarze. Teraz przyszedł czas na Leszka. Potrzebowałem jego pomocy. Zdradziłem mu plan ucieczki.

- Oszalałeś?
- Nie.
- Tylko nie mów, że naprawdę się w niej zakochałeś.
- A po co według ciebie się z nią spotykam?
- No, tak... wiesz...
- Nie. Kocham ją.
- Jezu, też wybrałeś sobie czas. Do reszty ci odbiło. Zwariowałeś.
- Nie zwariowałem. I nie zakochałem się w niej tutaj. Znam ją jeszcze z Warszawy. Wydostanę ją stąd.
- Leszek patrzył na mnie jak na kompletnego idiotę.
- Nie wierzę w to, co słyszę. Myślałem, że jesteś normalny. Chcesz zginąć?
- A tu nie zginę?
- Przy dobrych układach nie.
- Przestań. Musisz mi pomóc.
- Ani myślę. Nie wpakuję ciebie i siebie na pewną śmierć.
- Pomożesz mi. Nie masz wyjścia. Proszę.
- Aha. Po moim trupie.

\*

Sara pewnego dnia powiedziała:

- Janku, nie mogę stąd wyjść.
- Dlaczego, co ty mówisz?
- Nie zostawię tych dzieci.

Była bardzo smutna, z oczu płynęły jej łzy, a ja zrozumiałem, że nie spotkałem drugiej osoby, która ma tak dobre serce i w której wszystko jest piękne i melodyjne, nawet jej cichy płacz.

– Tak. Poza tym zrozum: nie dadzą ci stąd wyjść, choćbyś była światowej sławy wirtuozem. Nie widzisz, co się dzieje? Jesteś Żydówką. Już nie śpiewasz, nie masz tu szans. A coraz bardziej słabniesz. Taka jest prawda. Wyjdziemy razem albo razem tu zginieemy.

Patrzyła na mnie w milczeniu, nie dowierzała, że wydostanie się z obozu śmierci w ogóle jest możliwe.

– A teraz posłuchaj uważnie. Czekał na mój znak. Musisz być na to gotowa każdego dnia. Może powiem ci z wyprzedzeniem, co i jak. A może po prostu przyjdę i tak, jak stoisz, będziesz musiała wyjść. Zrobisz to, co ci powiem. Musisz mi ufać.

- Dobrze – przytaknęła, ocierając łzy. Drżała.

– Będiesz szczęśliwa, zobaczysz. I będziesz miała dobre życie. Obiecuję ci – przytuliłem ją. – Kiedy wybierzesz nadzieję, wszystko stanie się możliwe, pamiętaj.

Nie wiem, skąd brałem te mądrości, bo sam się bałem i drżałem w środku na samą myśl o dniu naszej ucieczki, ale jeśli miała nam się udać, musiałem dać Sarze pewność, być dla niej oparciem. Serce we mnie zamarło, gdy bez słowa popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami i zacisnęła swoją dłoń na mojej. Był to przekaz miłości, nadziei, zaufania.

Dwa dni później, idąc z moją grupą do pracy przy rowach, dostrzegłem ją w otoczeniu innych kobiet. Podążały na plac zagrać melodię dla nowo przybyłych, w rytm której poddadzą się selekcji, zostaną rozdzieleni, osamotnieni, skazani na życie w obozie albo natychmiastową śmierć. Mijaliśmy się, byliśmy na tyle blisko, że mogłem unieść wyżej głowę i przekazać jej spojrzeniem: wszystko dobrze, głowa do góry.

\*

– Nie rób tego.

– Uda się.

– Mówię to po raz kolejny. Nie rób tego.

– Przestań.

– Oni zginą... Cisza... ktoś idzie.

Zamarliśmy. Leszek po chwili odetchnął z ulgą.

– Przez to twoje kochanie wszystkich nas wyślą do gazu.

– Nie wyślą. Ucieknę i pomogę się wydostać innym.

– W jaki sposób?

Nie wiedziałem. Ale zawsze uważałem, że najgorsza jest stagnacja, poddanie się.

– Słuchaj, tamci zginą. Oni im tego nie darują – kręcił głową Leszek.

– Kto? Jacy tamci?

– Edek i Mala. Zginą. Długo nie wypuszczają ich z więzienia, ale mam informację, że planują ich zamordować i zrobić z tego pokazówkę. Na jakim ty świecie żyjesz?

– Nie zabijają. Są młodzi, mogą ciężko pracować, nie pozbędą się ich. Chcą ich tylko złamać. Ukarać.

– Już zapomniawsz, jak to się tu odbywa? – przekonywał Leszek. – To są sadyści. Myślisz, że w razie czego będą cię słuchać i się z nimi dogadasz? Coś wynegocjujesz? Człowieku...

– Nie będzie nic do negocjowania. My nie zginiemy. Nie wrócę tu. Opowiem światu, co się tu dzieje. Leszek, pomożesz mi?

Zamilkł, popatrzył mi uważnie w oczy. Wiedział, że się nie wycofam, a jego próby przekonywania i argumenty, którymi karmił mnie od kilku dni, nic nie dadzą. Widząc moją determinację, zamknął oczy i głęboko westchnął.

– Dobra, posłuchaj – odezwał się nagle. – Mogę wynieść, co trzeba, z bloku szpitalnego – powiedział cicho.

– Co wynieść?

– Truciznę. Musisz ją mieć przy sobie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

– Przestań. Nie. Nie ma takiej potrzeby.

– Nie bądź taki pewien.

– Życz mi dobrze.

– Życzę i dlatego uważam, że powinieneś ją mieć.

– Leszku. Masz wszędzie dojścia. Załatw mi mundur esesmana.

– Boże. W co ty mnie wplątujesz. Przecież to nie ma prawa się udać. Ty w przebraniu oficera SS? – Leszek spojrzał na mnie krytycznie. – Żartujesz?

– Nie. A jak mam inaczej uciec? W tych łąkach skoczyć przez druty?

– Posłuchaj, jesteś za chudy. I masz bladą twarz. Od razu poznają, że jesteś więźniem. Cholera, jesteś śmieszny, nie widzisz tego?

– Być może. Mogę być śmieszny.

Leszek rzucił kilka przekleństw.

– Znasz dobrze niemiecki?

– Na tyle, by mówić jak esesman – zawiesiłem na chwilę głos i w duchu zadałem sobie pytanie, czy rzeczywiście. – To jak? Załatwisz?

Jego policzki poczerwieniały. Minęła dobra chwila, zanim odpowiedział.

– Załatwię.

– Dziękuję. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Dobra. I co dalej?

– Wszystko mam w głowie. Ułożone.

– Wyjdziecie i dokąd pójdziecie?

– Do lasu. A potem zobaczymy.

– Będziesz paradował w stroju esesmana? A ona w pasiaku?

– Wymyślimy coś.

– Mam nadzieję, bo inaczej od razu was złapią.

– Posłuchaj mnie. Skombinuj mi ten mundur tak, żeby na mnie pasował.

– Nie wiem, dlaczego to robię, ale masz to u mnie. Jutro dam ci znać na kiedy.

Zdawałem sobie sprawę, że wplątuję go w historię, od której wolałby trzymać się z daleka. Ale był moim przyjacielem, niejedno przeszliśmy razem w obozie. Wiedział, że decyzję już podjąłem i tak czy inaczej ucieknę.



\*

Mundur był nowy, świeży, jak spod igły. Miał naszyte dystynkcje *Rottenführera*. Buty były trochę podniszczone, przyciasne, ale pasowały. Koszula, pas, spodnie też. Leszek załatwił wszystko, co trzeba. Nie pytałem, jak to zrobił, on nie zdradził. Mundurem opasał swój brzuch pod pasiakiem. Był tak chudy, że nic nie było widać. Buty i czapkę schował do worka, który włożył do kubła na śmieci i przykrył piachem. Bał się, ale górę nad strachem brały emocje i życzenie, żeby mi się udało.

– Ukryj to dobrze – powiedział drżącym głosem i rozejrzał się po magazynie.

– Nie bój się. Mam tu świetne miejsce. Jest zawałone kubłami, nikt tam nie zagląda – stanąłem tuż przed nim i zajrzałem mu w oczy.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Leszek. Nigdy nie miałem takiego przyjaciela jak ty.

– Daj spokój – odwrócił wzrok i próbował żartować, ale widziałem, że drżą mu ręce. – Żeby tylko nie wsadzili nas razem do paki albo nie dali kulki w łeb. Chcę jeszcze zabalować.

– Powiedz, że mi się uda.

– Uda się – zawiesił na chwilę głos, po czym poklepał mnie po ramieniu. – Inaczej po co załatwiałbym ten plugawy mundur? Ale tam jest jeszcze coś. Zobacz.

Włożyłem rękę do kubła, pod śmieciami wyczułem jeszcze jeden worek.

– To ubrania cywilne dla was. Musisz owinąć się nimi pod esesmańską bluzą. Potem zdobędziecie inne, ale na pierwsze dni powinno wystarczyć.

– Rany, Leszek. Pomyślałeś nawet o tym.

Stałem oszołomiony, wyjmując z worka spodnie, koszulę, suknię i dwie pary sandałów.

– Jak mam ci dziękować? Nie wiem, co powiedzieć.

– Buty chyba będą dobre na nią? Wziąłem to, co było pod ręką.

– Tak, na pewno będą pasować. A ona... Ona ma na imię Sara.

– Wiem.

– Nie bądź wściekły.

– Nie jestem. A właściwie to jestem. Niech ci będzie. Sara. Jestem na nią zły.

Wyciskałem go. Przytuliliśmy się jak bracia. Ogarnęło mnie wzruszenie.

– Dobra, już dość tych sentymentów. Schowaj teraz wszystko, tylko szybko, bo niedługo wejdzie zmiana.

Odsunąłem kubły najciszej, jak potrafiłem. Za nimi była wyrwa w ścianie, wcisnąłem w nią pakunki i zasłoniłem deską. Znów zastawiłem ją kubłami.

Byłem podekscytowany. Strach przyszedł później.

\*

W ciągu kolejnych dni zająłem się przygotowaniem ucieczki. Zbierałem rzeczy potrzebne na drogę, żebyśmy mogli przeżyć, zanim dokądkolwiek dotrzemy: chleb, nożyk, konserwy. Miałem dojście do magazynów z żywnością, udało mi się wynieść kilka rzeczy bez wzbudzania podejrzeń. Miałem plan, by w dniu akcji razem z sandałami dla mnie i Sary włożyć je do żołnierskiej sakwy.

Czasem ogarniała mnie euforia, innym razem oblewał zimny pot. Ludzie w Auschwitz umierali, ale przecież też stąd uciekali. Niektóre ucieczki się udawały i wszyscy, mimo że często byli poddawani zbiorowym karom, napawali się otuchą, budzili w sobie nadzieję. Tragiczne w skutkach ucieczki wszyscy opłakiwali. Esesmani zawsze zajadle szukali uciekinierów. Nie odpuszczali. Uciezkami żył cały obóz. Byliśmy solidarni z tymi, którzy mieli odwagę wydostać się za druty. I gdy nie zostali złapani, czuliśmy satysfakcję. W ludziach na chwilę zniknął zwierzęcy strach.

Potem następowało to gorsze. Bo ucieczki miały w obozie swoje konsekwencje. Wyły syreny i wszystkich spędzano na plac. Musieliśmy klęczeć albo stać po dwadzieścia godzin z rękoma na karku. O biciu i kopniakach nie wspomnę. Wiedziałem dobrze, co czeka więźniów, kiedy uciekniemy i nam się uda. W takich apelach uczestniczyłem trzy razy. Pamiętałem, jak podczas jednej ze zbiórek stwierdzono brak więźnia i zarządzono dodatkowy, karny apel. Staliśmy na baczność od południa do późnych godzin wieczornych bez butów. Był listopad. Padał deszcz. Odwołano apel dopiero wtedy, gdy więźnia znaleziono kilka kilometrów od obozu. Leżał w rowie, zapewne upadł i zmarł z wycieńczenia.

Pomyślałem, że być może jestem egoistą. A może wcale nie. Bo przecież ratując siebie i Sarę, daję innym siłę i nadzieję. W myślach prosiłem o wybaczenie.

O tym wszystkim rozmyślałem przez cały czas, w trakcie pracy, na pryczy, na apelu. Bałem się potwornie tego, co mnie czeka. Czy wszystko się uda, jak zaplanowałem? A jeśli coś pójdzie nie tak? Nie. Uda się. Opowiemy światu o tym, co dzieje się w obozie Auschwitz-Birkenau. Będziemy wyciągać stąd ludzi. Nie zdawałem sobie sprawy, że świat nie będzie skłonny do zadawania pytań, a ja nie będę chciał więcej do tego wracać.

Trzy dni później Leszek wręczył mi zielony papierek. Przepustka. Prawdziwa. Z pieczęcią. Wpatrywałem się w nazwisko: Sara Rawicz. I w drugie: Rottenführer Wilhelm Schmitz. Czytałem ją kilka razy. Drżała mi ręka.

Nie było czasu do stracenia. Machina już dawno ruszyła pełną parą.

Przydzielono mnie do pracy w kuchni i magazynach. Chyba w nagrodę, inne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy. Dzisiaj wiem, że to było zrządzenie losu. Wszystko nam sprzyjało.

\*

Nie zdążyłem się pożegnać z Leszkiem. Tak prawdziwie. Wszystko działo się bardzo szybko. Rozmawialiśmy urwanymi zdaniami. W ostatnich dniach przed ucieczką zaczął mnie unikać. Cały Leszek. Nie lubił się rozczulać.

Sarze oznajmiłem w przelocie, wioząc taczkę kamieni między barakami, że to już, że przyjdę po nią następnego dnia. Patrzyłem pewnym wzrokiem, choć na samą myśl o ucieczce drżały mi nogi. Sara kiwnęła głową, ale jej oczy były pełne strachu.

Uczyłem się roli. Powtarzałem w duchu słowa komend po niemiecku. Wsłuchiwałem się w slang żandarmów. Łowiłem ich powiedzonka. Wyobrażałem sobie scenę naszego wyjścia przez bramę. *Nie schrzanię tego, nie schrzanię*, powtarzałem sobie w duchu.

Tamtej nocy nie zmrużyłem oka. Zresztą i tak mało spałem. Zwykle wisiałem na skraju pryczy i odganiałem szczury.

Poranek w dniu ucieczki niczym nie różnił się od innych. W kółko to samo, od świtu codzienne procedury. Apel. Kawałek chleba. Kubek kawy przypominającej pomyje. Komendy. Wrzask. Potem praca.

Miałem do rozwiezienia worki ziemniaków i kotły. Potem musiałem policzyć bochenki chleba i podzielić je na dwa dni. Wykonałem zadania skrupulatnie. Spieszyłem się, skończyłem przed czasem. Kapo powiedział, że wróci niebawem, mam zrobić, co do mnie należy, i potem pójść znów do kuchni. Poszedłem. Sprawdziłem, że pracuje tam kilka osób. Nie zauważy, że mnie nie ma. Nie zorientuje się od razu. Zanim do niego dotrze, będziemy z Sarą już za bramą.

Wpadłem do magazynu. Nerwowo odsunąłem kocioł i zajrzałem do mojego schowka. Ubrania leżały na miejscu. Przebierałem się tak szybko, jak było to możliwe. Cały drżałem. Wydawało mi się, że słyszę czyjeś głosy i kroki, że wszędzie trzaskają drzwi. Najpierw spodnie i koszula. Potem przewiązałem wokół siebie suknię dla Sary i moje cywilne ubranie. Na to wszystko włożyłem mundur. Przejrzałem się nerwowo w zaśnieżonym lusterku. Byłem trochę grubszy. Przemknęło mi przez głowę, że przynajmniej nie będę przypominał wychudzonego więźnia. Na koniec przewiesiłem przez ramię żołnierską sakwę, do której wsunąłem sandały dla mnie i dla Sary, nóż i to, co zgromadziłem do jedzenia: kawałek chleba i konserwy. Do prawej kieszeni wsunąłem przepustkę. Przygładziłem włosy. Sięgnąłem po czapkę. Wypadła mi z rąk.

Aż podskoczyłem, gdy otworzyły się drzwi. Przymknąłem oczy, by się uspokoić.

– Rany boskie, Leszek...

Objął mnie i mocno uściśnął. Staliśmy tak przez chwilę. A więc jednak udało nam się.

– Dziękuję ci za wszystko, co zrobiłeś – powiedziałem zduszonym głosem.

– Stary, przestań. I nie próbuj mnie stąd wyciągać. To jakaś iluzja. Dam radę.  
– Odnajdziemy się. Obiecuję. Wiem, gdzie cię szukać. Pruszków. To blisko Warszawy.

Uścisnęliśmy się raz jeszcze.

– Bez niej nie ma przyszłości – powiedziałem cicho.

– Wiem, głupku. Poszedłbyś dla niej na sam koniec świata. Na sam cholerny kraniec. A może jeszcze dalej. Dla niej. Dla siebie. Dla mnie też. A teraz posłuchaj uważnie. Jakies trzydzieści kilometrów stąd miałem kiedyś znajomych. Mieszkają we wsi Grębowo. Nazywają się Sędzikowscy. Odnajdźcie ich. Powiedz, że mój ojciec, Ryszard Marciniak, dawno temu, w młodości grał z Kazimierzem Sędzikowskim w piłkę. Pomogą wam.

– Leszek...

– Idź już.

W jego oczach kręciły się łzy, jakby wiedział, że nigdy więcej się już nie spotkamy. Zażartował. Jak zawsze, gdy chciał ukryć emocje i wzruszenie.

– Zabieraj się stąd, bo się jeszcze w tobie zakocham. Mimo że w tym wszawym mundurze wcale nie jesteś przystojny. Idź już.

I tak w środku upalnego dnia wyszedłem z magazynu w mundurze żandarma SS. Oszołomiony, drżący, z sercem walącym tak, jakby miało ze mnie wyskoczyć. Chyba wyglądałem nie najgorzej, bo kilku więźniów na mój widok przystanęło w bezruchu. Pochylili głowy. Wzrok wbili w ziemię. Bali się. Poczułem na sobie ich strach. A więc tak to wygląda z drugiej strony. Jesteś panem życia i śmierci. Bogiem w królestwie zła. To dało mi pewność, że nie budzę podejrzeń. Szedłem twardym krokiem. Mogłem na zawołanie stuknąć obcasami. *Jestem nim*, powtórzyłem w głowie kilka razy. *Rottenführer Wilhelm Schmitz to ja*.

\*

– *Los! Schneller! Looos!* <sup>13</sup> – wrzasnąłem nie swoim głosem i popchnąłem ją. Zachwiała się. Szła przede mną w milczeniu. Mijaliśmy więźniów pracujących przy kopaniu rowów. Okładający ich pałką kapo na nasz widok stanął na baczność.

Jeszcze sto metrów. Jeszcze pięćdziesiąt. Przed nami miejsce, w którym więzień mógł się pojawić wyłącznie w asyście esesmana. Strefa śmierci. Drewniane wieże wartownicze, a w nich karabiny maszynowe na specjalnych statywach, postacie wartowników jak ołowiane figurki rozstawione strategicznie w jakiejś grze.

Czułem suchość w ustach, po plecach płynęły mi strugi potu. Na horyzoncie majaczyły zarysy szlabanu, głównej bramy i budki strażnika. Z każdym krokiem

stawały się coraz większe. Za chwilę będzie po wszystkim. Będziemy wolni. Nad nami błękit i słońce. Jest piękny dzień.

Nagle Sara zwolniła. Przestraszyłem się, nie rozumiałem, co się dzieje. Wyglądała, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

– *Halt!*<sup>14</sup> – krzyknąłem jej nad uchem.

Zatrzymała się.

– Możesz iść? – wyszeptalem.

Nie odpowiedziała. Zgięła się w pół, osunęła na ziemię. Stałem niewzruszony, choć niczego nie pragnąłem bardziej, niż jej pomóc. Ale nie mogłem tego zrobić. Esesmani nie pomagają więźniom wstać z ziemi.

– Wytrzymaj – powiedziałem najciszej, jak tylko umiałem, odczekałem chwilę i znów wrzasnąłem

– *Aufstehen!*<sup>15</sup>

Miałem wrażenie, że strażnik obserwuje nas od dawna, zwłaszcza mnie, i że mimo odległości słyszał, jak wypowiadam polskie słowa, ja – Rottenführer Wilhelm Schmitz do Żydówki, parszywej więźniarki prowadzonej na przesłuchanie, i już wie, wszystko wie, przejrzał plan, ma go jak na dłoni.

Sara wstała. Ramiona jej drżały.

– Możesz iść? – powtórzyłem.

Skinęła głową. Wtedy znów zdobyłem się na krzyk.

– *Geradeaus!*<sup>16</sup>

Pchnąłem ją mocno. Brzmienie własnego głosu wydało mi się zdumiewające.

Dobitne, chamskie, szorstkie, niepozostawiające cienia wątpliwości, jak bardzo nienawidzę tej więźniarki i jej podobnych, które nigdy nie powinny były się urodzić.

Miesiące spędzone w obozie zrobiły swoje, wiedziałem, jak wrzeszczeć, dość nasłuchałem się esesmańskiego wrzasku, tej nieludzkiej intonacji, sakramentalnych komend powodujących słabość w kolanach, paniczny strach i dławiące poczucie końca.

Ruszyła przede mną, patrzyłem na jej pochylone plecy. Wzbudzały we mnie czułość. Tak. Czułość. Skoncentrowałem się na myśli o dniu, który nadejdzie, dniu, kiedy Sara już zawsze będzie chodzić wyprostowana.

Jeszcze dziesięć metrów, jeszcze pięć. Zacisnąłem usta, by opanować ich drżenie. Za kilka sekund mieliśmy się znaleźć przy szlabanie. Włożyłem rękę do kieszeni. Przepustka. Złożona we czworo. Była na swoim miejscu. Odetchnąłem z ulgą. Tuż obok niej wyczułem coś jeszcze. *Co to może być* – pomyślałem w popłochu.

Strażnik na nasz widok wstał, dopiął pas i poprawił czapkę. Wyszedł z budki. Stanął w ulubionej pozie esesmanów, dobrze znanej więźniom, mającej budzić respekt i strach. Ręce splecione na plecach, szeroki rozkrok, kołysanie się w tył i przód. Zastanawiałem się wiele razy, jakie uczucia kryją się za tą fasadą, czy jest

w nich miejsce na ludzki odruch, cień litości albo strach przed samym sobą. A może nie ma tam nic aż tak nadzwyczajnego, może wszystkie uczucia, nawet takie jak nienawiść i pogarda, zamieniły się w obojętność. Zwykłą obojętność.

Strażnik uniósł brodę i brwi na czerwonej, zaognionej twarzy, jakby dotkniętej skórą zarazą. Stuknąłem obcasami i wyrzuciłem rękę przed siebie w esesmańskim geście. Podoficer SS wyprostował się jak struna, jego ręka powędrowała do góry, wysoko i gorliwie, demonstrując całkowite oddanie, posłuszeństwo wobec obłąkańczej idei zagłady. Po kilku sekundach opuścił ramię, jego brwi znów powędrowały do góry. W oczekiwaniu na wyjaśnienia ściągnął usta. Stałem, nie mogąc się odezwać i poruszyć. Sara drgnęła. W końcu włożyłem dłoń do kieszeni i wyjąłem z niej przepustkę. Staralem się nie robić tego za szybko ani za wolno, by żaden mój ruch nie wzbudził podejrzeń. Ale uwaga podoficera SS błyskawicznie skoncentrowała się na moich drżących palcach, które próbowałem ukryć, zwijając je w pięść.

– *Es ist kalt?*<sup>17</sup> – zapytał, chwytając dokument. Jego palce były tłuste, spoczone i niekształtne.

– *Nein... Ich... Ich bin krank*<sup>18</sup> – odparłem, wykonując nieokreślony ruch ręką.

Strażnik pokiwał głową i powolnym ruchem rozłożył przepustkę. Długo wpatrywał się w kartkę papieru ze śladami równych zagięć od składania na czworo, przepustkę do wolności, do świata za szlabanem, choć tam wciąż trwała wojna. Obracał ją w palcach, wystawiał pod słońce, szukając nie wiadomo czego i zerkając na nas co chwila spod czapki z trupa czaszką. Ocierał pot z czoła, tłusty kosmyk włosów nie chciał się od niego odkleić. Słońce paliło coraz mocniej, zbliżało się południe. Miałem wrażenie, że wszystko odbywa się w zwolnionym tempie, poza rzeczywistością, a czas przestał mieć realny wymiar. To nigdy się nie skończy, będę już tak stał i czekał na wyrok, w niepewności, z niewypowiedzianym pytaniem o to, co dalej. Strażnik stukał zakrzywionym i żółtym paznokciem w kartkę, którą oparł o drewnianą ścianę budki, jakby wybijał na niej sekundy w nieistniejącym zegarze, kartkę z perfekcyjną kaligrafią wykonaną chyba przez Leszka: imieniem i nazwiskiem Rottenführera, Sary, jej datą urodzenia i miastem rodzinnym – Warschau.

\*

Wcześniej miałem zamiar pokazać ją już tamtej kobiecie, strażniczce, której powiedziałem komplement, aż wyprężyła pierś, ale ona, zajęta flirtowaniem, wcale nie chciała jej oglądać. Maria Mandl<sup>19</sup>, która potrafiła bez mrugnięcia okiem rzucić szczerom na pożarcie nowo narodzone dziecko, by po chwili ocierać łzy wzruszenia

przy muzyce Brahmsa czy Schuberta. Pierwszy raz zobaczyłem ją z bliska i pomyślałem, że gdyby nie miała na sobie munduru i nie była znana z niebywałego okrucieństwa, to mogłaby zostać uznana za ładną. Co prawda była trochę kanciasta i nie dorównywała urodą anielskiej bestii – strażniczce Irmie Grese<sup>20</sup>, najpiękniejszej w Auschwitz-Birkenau – ale i tak się wyróżniała. Nie była zachwycona, gdy przerwałem pracę kobiet. Podeszła bliżej, stanęła tuż przede mną. Poczułem, jak krople potu popłynęły mi za kołnierz. Zamarło mi serce.

– *Was wünschen Sie denn, Herr Rottenführer?*<sup>21</sup>

Stała tak blisko, że czułem jej oddech. Roztaczała woń perfum. Nie widziałem nikogo więcej, mimo że w pomieszczeniu było kilkanaście kobiet w pasiakach.

– *Ich bin von der Politischen Abteilung*<sup>22</sup> – odparłem i zniżyłem głos. – *Schönes Parfüm*<sup>23</sup>...

Musiałem się jej spodobać jako Rottenführer SS, bo uśmiechała się, mrużąc oczy, podczas gdy ja wyjaśniałem, że mam rozkaz doprowadzić na przesłuchanie więźniarkę, Żydówkę, która na pewno dostanie kulę w łeb, to, na co zasłużyła, ale najpierw trzeba wydobyć z niej ważne informacje. Nazywa się Sara Rawicz.

Wyglądała na zdziwioną, chyba nie przypuszczała, że chodzi o Sarę, cichą, skromną Sarę, która dobrze pracuje i pięknie śpiewa. Odwróciła się w kierunku kobiet, milczących, z panicznego lęku gotowych spełnić każde jej życzenie, bo *Aufseherin*<sup>24</sup> Maria Mandl potrafiła być nieobliczalna. Wezwała Sarę, nakazała jej wstać i podejść. Dopiero teraz ją zobaczyłem. Chwiała się na nogach, wystraszona i zagubiona, chudsza niż zwykle, z podkrążonymi oczami, o skórze bladej, naciągniętej na kości, niemal przezroczystej.

– *Das ist diese Rawicz*<sup>25</sup> – oznajmiła Maria Mandl, nie przestając uśmiechać się kokieteryjnie. – *Kommst du hierher zurück, Herr Rottenführer?*<sup>26</sup>

Nie wróci. Nigdy. Za chwilę przejdzie przez bramę z urągliwym napisem „*Arbeit Macht Frei*”, symbol skrajnej perfidii, i ucieknie jak najdalej od tego miejsca, w którego istnienie wielu ludziom trudno będzie uwierzyć.

\*

Teraz przepustka w rękach strażnika wydawała się mokra od jego spoconych, tłustych palców. Było wyraźnie widać, że coś go zastanawia, nie przekonuje i że żołnierz nie wie, jaką podjąć decyzję. Odchodziłem od zmysłów, gdy nagle, jak spod ziemi, wyrósł inny strażnik, którego ten poprosił o pomoc i z miejsca zaczął wyjaśniać, w czym rzecz. Teraz razem oglądali przepustkę ze wszystkich stron i co chwila na nas zerkali.

I wtedy mnie oświeciło. Trucizna. W kieszeni. W tej fiolce jest trucizna. Leszek. Przyszedł do magazynu. Wsunął mi ją do kieszeni podczas pożegnania. Mówił o niej od tygodni. Nie chciałem jej wcześniej, nie pozwoliła mi na to moja buta, pewność, że wszystko się uda. Nie przewidziałem, jakie to trudne, że cały plan mogę zniweczyć drzeniem swoich rąk. Myśl o tym, że w kieszeni mam truciznę, opanowała mój umysł. Uczepiłem się jej jak koła ratunkowego. Wbiłem sobie paznokcie w dłoń. Zacisnąłem pięść.

– *Rottenführer Wilhelm Schmitz...*

Strażnik mówił powoli i dobitnie, patrzył mi prosto w oczy, jakby chciał wyczytać z nich, co mam do ukrycia. Poczujęm, że faluje pode mną ziemia i wali mi serce. Przed oczami zobaczyłem fragmenty swojego życia. – *Weiter machen!*

Możecie iść. Dwa słowa. Tylko i aż.

Możecie iść.

\*

Biegliśmy co sił w nogach. Do utraty tchu. Krzyczałem: „Szybciej, szybciej!”. Sam biegłem za nią. Nie oglądała się za siebie. Ja też nie. Potem biegliśmy obok siebie, trzymając się za ręce. W końcu opadliśmy z sił. I leżeliśmy w trawie. Sara z głową na moim ramieniu. Dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem.

Nasza wędrówka trwała kilkanaście dni. Spaliśmy w zbożu, w lesie, na łąkach. Było lato. Ciepło. Pamiętam, jak Sara stała na brzegu jeziora. Jej sylwetkę w sukience na tle połyskującej w słońcu tafli wody. Była tak piękna, że zapierało mi dech. Wokół było cicho. Bezpiecznie. Czas się zatrzymał. Zastanawiałem się, jak to możliwe, że nie tak dawno byliśmy w obozie. Czułem w środku kłębowisko emocji. Sara chyba też. Wydawała się spokojna, ale stała i patrzyła tak, jakby to za chwilę miało się skończyć. Oboje byliśmy zawieszani w nowej rzeczywistości, w oczekiwaniu na to, co się wydarzy.

Chleba i konserw, przy skromnych porcjach, starczyło nam na kilka dni. W nocy dorwaliśmy się do czyjogoś sadu i zjedliśmy jabłka. Pierwszy raz od bardzo dawna. Zamykaliśmy oczy i wgryzaliśmy się w soczysty miąższ. Kiedyś nawet nie umiałbym sobie wyobrazić, jak rozkoszne może być jedzenie jabłka. Żywiliśmy się tym, co spotkaliśmy po drodze, co wisiało na gałęzi, spadło z drzewa albo przez czyjąś nieuwagę było na wyciągnięcie ręki. Owoce, jajka z kurnika, placki z gospodarskiej kuchni. Wody nabieraliśmy nocami ze studni. Zapuszczaliśmy się do gospodarstw. Kradliśmy. Braliśmy to, co wpadło nam w ręce. Nie mieliśmy wyjścia.

Nocami było chłodno. Szykowaliśmy legowisko z siana i traw, zawsze w krzakach, w gąszczu, by nikt nas nie znalazł.



Mundur SS, pasiak, oficerki, czapkę i trepy zakopałem w lesie. Teren był błotnisty, grunt miękki, więc bez problemu wykopałem sporą jamę. Ubrania, które od razu mogły nas zdradzić, zniknęły w gęstym mule.

Staraliśmy się poruszać w obrębie mokradeł, by psy nie wytropiły naszych śladów. To, że ruszył za nami pościg, nie ulegało wątpliwości. Przez cały czas szliśmy, biegliśmy, znów szliśmy, praktycznie bez chwili odpoczynku, wytchnienia. Każdej nocy kładliśmy się w nowym miejscu ukrytym w lesie, starając się zasnąć. Mój sen był czujny. Słyszałem każdy szelest i byłem gotów błyskawicznie wstać, bronić nas i uciekać dalej.

Musieli naprawdę nas zgubić, bo ani razu nie dobiegły nas odgłosy pościgu, tupot, wrzaski, szczekanie psów. Baliśmy się teraz jedynie tego, by nie wpaść w sidła gospodarzy, którym kradliśmy wodę i jedzenie.

Nie wiedziałem nawet, dokąd uciekamy, w jakim kierunku, działaliśmy w pośpiechu i na oślep. Na szczęście z każdym dniem czas stawał się dla nas bardziej łaskawy. Owszem, miałem świadomość, że nigdzie nie jesteśmy do końca bezpieczni, przecież trwała wojna, a my byliśmy parą zbiegłych z obozu bandytów. Pewnego wieczoru uświadomiłem sobie, że byłem tak zajęty samą ucieczką, że zapomniałem o Grębowie, o którym mówił Leszek. Postanowiłem, że następnego dnia zapytam kogoś o drogę.

Rankiem otworzyłem oczy, popatrzyłem w niebo. Słońce prażyło. Jego promienie ogrzewały twarz. Szykował się upalny dzień. Świat wokół nas wydawał się wolny, jakby wojna tu nie dotarła. Ptaki ćwierkały, chmury płynęły po niebie leniwie. Obejmowałem i przytulałem Sarę. Nie bałem się niczego. Przepełniało mnie szczęście.

Nagle zobaczyłem na niebie wielką, rozpaloną do białości kulę z ognistym warkoczem. Wyglądała jak meteor. Pędziła z zawrotną szybkością, z jednego końca nieba na drugi, w prostej linii, z prawej do lewej. W pewnej chwili rozpadła się na dwie części, które oddalały się od siebie, robiły się coraz mniejsze, w końcu zniknęły.

Poczułem się dziwnie. Spojrzałem na Sarę. Miała zamknięte oczy.

\*

– Grębowo? – siedzący przed starym, zapadającym się domem staruszek wyciągnął sękatą dłoń. – To dwa kilometry stąd. O, tam idźcie, na prawo, drogą przy lesie i dojdziecie.

Poza nim i chudą krową nie zauważyliśmy nikogo. Przy szopie stało koryto, a w nim ziemniaki. W obrębie kilkuset metrów nie było widać żadnego innego

gospodarstwa. Starszy człowiek przyglądał nam się życzliwie i ciekawie.

– Skąd idziecie?

– Z daleka. Szukamy rodziny. Zagubiła się.

– Aaa, tak... rodzina... Ja zostałem sam. Kazik, mój syn, nie wrócił z wojny. Józka zabili pod lasem. Halina... moja żona, zachorowała i zmarła. Nie ma dla kogo żyć. Nie ma po co.

Popatrzyłem ze współczuciem. Starszy pan wstał i podszedł do składziku. Ruszyliśmy powoli, ale on nas zawołał: – Podejdźcie.

Spojrzeliliśmy na siebie. Uznałem, że możemy podejść, bo raczej nic nam nie groziło ze strony staruszka. Chciałem zachowywać się tak, by nie wzbudzać podejrzeń. Odwrócił się i podał miskę ze śliwkami.

– Bierzcie. Przyda się wam. Drzewo obrodziło mi, aż dziw. Sam wszystkiego nie zjem.

Podziękowaliśmy. Byliśmy wzruszeni gestem człowieka, który nie chciał nas skrzywdzić i zadenuncjować, tylko zwyczajnie, po ludzku dać nam coś, co ma najlepszego i czym może się podzielić.

Odchodziliśmy, życząc mu siły i zdrowia. Skierowaliśmy się na drogę przy lesie, która miała nas zaprowadzić do Grębowa. Droga po jednej stronie miała gęsty las, po drugiej dolinę, gdzie majaczyły pola, łąki i w oddali wiejskie chaty.

*To musi być Grębowo, pomyślałem i w tej samej chwili się przestraszyłem. Na samą myśl o tym, że za kilkanaście minut, może pół godziny znajdziemy się wśród domostw i ludzi, dostałem gęsiej skórki. Trudno było przewidzieć, co nas czeka. Wszystko było wielką niewiadomą.*

*A jeśli Sędzikowscy wcale nie są dobrymi ludźmi?, przemknęło mi przez głowę. Jeśli ktoś się domyśli, skąd się wzięliśmy i nas zdradzi? Jeśli....*

Wieś okazała się nieduża i sprawiała wrażenie wymarłej. Kilka domów było spalonych, kilka gospodarstw opuszczonych. Zrzędała mi mina. Pomyślałem, że pewnie odejdziemy z niczym.

W oknie domu kilkanaście metrów przed nami poruszyła się firanka. Po chwili na progu stanęła kobieta. Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Jej włosy były związane w ciasny kucyk, a spódnica i letnia bluzka schowane pod fartuchem. Na nasz widok przestraszyła się, lecz szybko odzyskała pewność siebie.

– Co wy za jedni? Skąd się tu wzięliście? – zwróciła się do nas i krzyknęła w głąb podwórka. – Ktoś przyszedł! Chodź tu zaraz!

– Idę, idę – z tyłu domu dobiegł tubalny głos. – A co, pali się? Jak to zawsze u ciebie...

– Mamy gości, sam zobacz – kobieta skrzyżowała ręce na piersiach. – To co, powiecie, kim jesteście?

– My... ja... – próbowałem wymyślić coś na poczekaniu, lecz całkiem mnie zamurowało, miałem pustkę w głowie.

– Szukamy dalekiego wujka. Kiedyś tutaj mieszkał – nagle odezwała się Sara.

– A jak się nazywał? – zapytał mężczyzna. – Sami widzicie, naszą wieś przetrzebiło. Niewielu zostało.

– Sędzikowski – odparła Sara.

Kobieta spojrzała na mężczyznę. Mężczyzna na kobietę. Potem oboje przenieśli wzrok na nas.

Mężczyzna zrobił krok do przodu i przyjrzał się głowie Sary.

– Nie za gorąco w tej chustce? Potworny upał.

Zamarliśmy. Mężczyzna patrzył na nas, jakby wszystkiego się domyślił.

– To ja jestem Sędzikowski.

Nie uwierzyłem mu od razu, ta cała sytuacja wydała mi się podejrzana. Nagle zacząłem się bać, że wpadniemy, po takim wysiłku, takiej robocie, wpadniemy, głupio i niepotrzebnie.

– Kto was przysyła? – zniżył głos, jakby otaczał nas tłum gapiów.

– A kto może nas przysyłać?

– Nie wiem.

– Wiktor.

– Nie znam.

– Józef.

– Nie.

– Marian.

– Dość tego. Żebym więcej was tu nie widział – machnął ręką i zwrócił się do kobiety: – Władka, idziemy.

Odwrócili się i ruszyli do domu.

– Ryszard. Rysiek – powiedziałem szybko.

Mężczyzna przystanął.

– Znałem Ryśka. Dawno temu.

– Podobno kopaliście razem piłkę.

– I to jak. Mieszkał na skraju wsi. Ale potem wyjechał, jego ojciec dostał gdzieś pracę, ale nie mam pojęcia gdzie. Rysiek. Tak.

– Marcinkowski.

– Nie. Marciniak – mężczyzna mnie poprawił. – I nie musisz mnie tak wyprowadzać w pole. Ale rozumiem. Chciałeś sprawdzić.

– Tak. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Takie czasy. My też się boimy i nie ufamy każdemu, kto tu przyjdzie – pokiwał głową. – Wejdźcie do środka.

Izba była nieduża. Na stole resztki chleba, masło i grubo pokrojony szczypior.

– A więc jesteście od Ryśka Marciniaka.

– Tak.

– Jestem Kazimierz Sędzikowski. A to moja żona, Władka.

– Nazywam się Jan Walicki. A to jest Sara Rawicz – dotknąłem jej ręki. – Moja narzeczona.

– A to pięknie – pan Kazimierz spojrzał na nas serdecznie. – To pięknie... A skąd znacie Ryśka?

– Znam jego syna. Jest moim najlepszym przyjacielem.

– Rysiek ma syna. Syn... Nasz wyjechał walczyć. Jeszcze nie wrócił. Ale przyjedzie – pokiwał głową, a na twarzy kobiety pojawił się ból. – Tylko nie płacz, Władka, dość już łez. Jeżeli nie ma wiadomości, oznacza to, że człowiek żyje. Tak...

– Bardzo mi przykro.

Rozejrzałem się po pokoju. Było skromnie, ale schludnie i jak na warunki okupacyjne miło i domowo.

– Czekamy na syna. Żona dba o dom, żeby wszystko było na miejscu, jak on wróci – zadumał się.

– Tak, rozumiem.

– Ale... ale... Władeczko... Znajdziesz coś? – spojrzał pytająco na żonę. – Na pewno jesteście głodni.

– Dziękujemy. Nie będziemy robić kłopotu.

– A jaki to kłopot? Mam krupnik – pani Władysława popatrzyła na nas współczująco. – Dziewczyna na pewno powinna coś zjeść. Ale ty też. Oboje.

Sędzikowscy patrzyli na nas, jakby doskonale wiedzieli, gdzie byliśmy i skąd idziemy, lecz nie zadawali pytań, może czekali, aż sami powiemy.

– Chcecie się umyć, to tam, za przepierzeniem, dam miskę i wodę – zaproponowała pani Władysława. – Ale najpierw naleję wam zupy. Nabierzecie trochę sił.

Byłem im obojgu wdzięczny za namiastkę ciepła i domu, za krzesło przy stole, czysty talerz. Po raz pierwszy od dawna przez kilka minut poczułem się normalnie, zapomniałem o wojnie. Zupę jadłem powoli i z namaszczeniem. Pływały w niej kawałki warzyw, ziemniaki i trochę kaszy.

Wyjąłem z torby śliwki i położyłem je na stole. Opowiedziałem o starszym człowieku mieszkającym dwa kilometry stąd w pustym, walącym się gospodarstwie.

– To Marian Porębski. Stracił wszystkich, całą rodzinę. No, może starszy syn, Kazik, żyje, jest nadzieja, bo poszedł na wojnę jak nasz. Marian chyba trochę zwariował, coś mu się pomieszało. Bo to straszna tragedia. Ale serce ma dobre – opowiadał pan Kazimierz. – Tu w okolicy domy trochę opustoszały. Ludzie pomarli od choroby albo z powodu wojny. Uchowało się niewielu.

Rozmawialiśmy długo. Pani Władysława uszykowała dla Sary wszystko, co potrzebne do umycia się, wyjęła z szafy suknię i wyjaśniła, że kiedyś uszyła ją dla siebie, ale nigdy jej nie nosiła. Dla Sary okazała się trochę za duża, pani Władysława przeszła ją w kilku miejscach i leżała teraz jak ulał. Podarowała też Sarze kolorową chustkę, taką bardziej gospodarską, jaką zakłada się na głowę do codziennych prac. Pan Kazimierz pokazał mi gospodarstwo, zapytałem, w czym mogę pomóc.

– Jeśli chcesz, to możemy zebrać warzywa, weź ten koszyk i chodź za mną do ogródka.

Wyrывałem marchew z ziemi i rozglądałem się dokoła. Za domem, daleko, rozciągały się pola i łąki, aż po horyzont zaznaczony ciemną linią lasu. Niebo przybrało złoty kolor od popołudniowego słońca.

– Już nie musisz się bać – pan Kazimierz spojrzał mi w oczy. – Tu nikt się nie zapuszcza, bo Niemcy myślą, że w Grębowie wszyscy wymarli.

– Tak... nie... nie boję się. Nie...

– Spokojnie. Nie musisz nic mówić.

Schyliłem się po ostatnią marchew. Włożyłem ją do koszyka.

– Uciekliśmy z Auschwitz – wypaliłem nagle. – Od jakiegoś czasu jesteśmy w drodze. W obozie jest syn Ryszarda Marciniaka, Leszek. Powiedział nam, że mamy tu przyjść.

– Domyśliłem się. Władka też. Jak długo tam byliście?

– Ja dwa lata, Sara trochę krócej.

Wróciliśmy do domu. Kosz z warzywami postawiłem w kuchni na podłodze. Przyglądałem się panu Kazimierzowi, jak nalewa wodę z wiadra do miski i wkłada do niej największe ziemniaki, co chwila szukając wzrokiem Sary. Poczułem niepokój, ale ona wyszła z sąsiedniej izby. Wyglądała ślicznie. Stałem naprzeciw niej i nie mogłem się nadziwić, jak to możliwe, że los dał mi tak piękną dziewczynę.

Gospodarze wyszli z pokoju, by po chwili wrócić i oznajmić nam to, co postanowili.

– Zostańcie u nas. Pomóżecie nam, będziecie bezpieczni. Miejsca jest dosyć.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Sarze zabłyśły oczy. Wizja zaszycia się w głuszy była dla niej najlepszym rozwiązaniem. Mnie ciągnęło do Warszawy, chciałem wejść do domu i powiedzieć mamie i siostrze, że żyję. Postanowiłem, że zostaniemy tu na jakiś czas i zobaczymy, co dalej. Jeśli miejsce będzie rzeczywiście bezpieczne, może pojedę do Warszawy sam. Odnajdę moją rodzinę i rodzinę Sary i wrócę. Obawiałem się zabierać ją ze sobą. Nie chciałem narażać jej na niebezpieczeństwo.

I tak się stało. Państwo Sędzikowscy okazali się wielcy duchem i sercem. Wspaniali ludzie, którzy oddaliby innym ostatnią kromkę chleba. Pomagałem panu

Kazimierzowi we wszystkim, a Sara z panią Władysławą prowadziły dom. W porównaniu z tym, co przeżyliśmy w obozie, to była sielanka. W Grębowie mieszkały jeszcze tylko dwie rodziny, na drugim końcu wsi. Spokojni ludzie, którym zostaliśmy przedstawieni jako rodzina przyjaciela z Warszawy. Tak naprawdę nikt się nami nie interesował.

\*

Późną jesienią zdecydowałem się wyruszyć do Warszawy. Sara nie chciała się ze mną rozstawać, ale uważałem, że lepiej, jeśli zostanie tutaj. Podróż była zbyt ryzykowna. Sara stała na drodze, gdy Kazimierz Sędzikowski wiózł mnie furmanką do głównej trasy. Wcześniej powiedziała coś, co rozbiło mnie od środka.

– Ten meteor... Rozpadł się na dwie części. Pamiętasz?

– Pamiętam... Ale ty przecież miałaś zamknięte oczy.

– Nie. Zmrużyłam je tylko. Widziałam, jak pękł i dwie połówki oddaliły się od siebie w przeciwnych kierunkach.

– Co ty chcesz mi powiedzieć?...

– Nie wiem. Boję się. Że się rozdzielimy.

– To tylko meteor, nic więcej – starałem się ją uspokoić.

– A jednak o tym myślę.

– Niepotrzebnie. Wyrzuć to z głowy. Wojna niedługo się skończy.

– Tak myślisz?

– Jestem pewien. A tu jest bezpiecznie. Nie myśl o niczym. Nie bój się.

– Wrócisz?

– Wrócę prędzej, niż ci się wydaje.

– Obiecujesz?

– Tak. A ty musisz być silna. Znajdę twoją i moją rodzinę, a potem wojna się skończy i pojedziemy do Warszawy. Moja mama będzie tobą zachwycona.

– Tak bardzo się boję.

– Wrócę.

– Kocham cię.

– Kocham cię.

Zanim wsiadłem do furmanki, otuliłem Sarę za dużym płaszczem, który dostała od pani Sędzikowskiej. W gardle czułem ucisk, ogarnął mnie niepokój. Sędzikowski dał mi na drogę chlebak z jedzeniem i nóż. Wysadził mnie przy starym dworcu, musiałem pójść kawałek wzdłuż torów, a dalej, za kapliczką miał mnie zabrać stara ciężarówką jego znajomy, który akurat jechał w stronę Warszawy. Droga była pełna

perypetii i znacząco się wydłużyła, a jej ostatni etap, trzydzieści kilometrów, pokonałem pieszo.

Zapłakałem, widząc moje miasto w rozsypce. Warszawa przeżyła powstanie. Była zburzona. Biedna. Ogołocona. Samotna.

Poszedłem na Piękną. Zobaczyłem, że z kamienicy, gdzie mieszkaliśmy, pozostały czarne dziury w oknach i czarny mur. Ogarnęły mnie złe przecucia. Ktoś powiedział, że wybuchł pożar. Że płonęło wszystko. Nad miastem unosiła się łuna.

Nie znalazłem mojej rodziny. Straciłem wszystkich. Nigdy więcej nie zobaczyłem matki i siostry. O ojcu słuch zaginął dużo wcześniej. Gdy wybuchła wojna, przyszedli do nas Niemcy i zabrali tatę. Dali mu kilka minut na ubranie się. Mamę, siostrę i mnie zostawili.

Patrzyłem przerażony przez okno, jak wyprowadzają go z kamienicy i kierują na pakę samochodu. Zanim go tam wepchnęli, zdążył na nas spojrzeć. Nie zdawałem sobie sprawy, że widzę go ostatni raz.

Nie rozumiałem, dlaczego go zabrali i nigdy się nie dowiedziałem. Może działał w konspiracji i ktoś sypnął, a może po prostu dlatego, że był adwokatem.

O pożarze w naszej kamienicy bałem się nawet pomyśleć. Nie mam pojęcia, czy mama i Zosia były wtedy w mieszkaniu. Nie wiem, co się z nimi stało. Nigdy nie spotkałem nikogo z sąsiadów, by mieć możliwość zapytać. Wiedzieć. Cokolwiek. Wszyscy zniknęli w wojennej zawierusze, jakby się rozplynęli, wyparowali. Jakby los chciał, żebym nie wiedział.

Chodziłem po gruzach i płakałem.

Próbowałem odszukać rodzinę Sary. Nie znalazłem. Adres, pod którym mieszkali przed wojną, przestał istnieć.

Byłem zdruzgotany.

Do Grębowa wracałem złamany. Chciałem znaleźć się tam jak najszybciej. Została mi Sara. Dzięki niej nie byłem na świecie całkiem sam.

Ale Sary w Grębowie nie znalazłem.

Nie znalazłem też Władysławy i Kazimierza Sędzikowskich, u których ją zostawiłem. Dom stał opuszczony. Podobnie jak cała wieś.

Stary człowiek, ten, od którego dostaliśmy kiedyś śliwki, siedział na zydlu przed domem i mówił od rzeczy, że „przyjechali i odjechali”. Ale że on niczego nie widział. Nie mogłem się z nim w żaden sposób porozumieć.

Nie wiem dzisiaj, jak przetrwałem tamten czas. Chyba łudziłem się nikłą nadzieją, oszukiwałem się, że wyjechali i wrócą. Ale dokąd mieliby pojechać?

Czekałem w pustym domu Sędzikowskich. Docierało do mnie, że coś musiało się stać. Bo opustoszała cała wieś. Wyglądała upiornie. Zniknęli z niej też ludzie mieszkający na drugim krańcu.

Jeździłem po okolicy furmanką. Pewien mężczyzna powiedział: „Spalili ich w szopie pod lasem, tyle wiem”.

Spalili ich w stodole.

Tyle wiem.

Te słowa świdrowały mi mózg.

Krzyczałem. Nie, nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Krzyczałem w myślach, w mojej głowie, całym sobą, po cichu. To był niemy krzyk.

Odnalazłem spaloną szopę. Za wsią, niemal pod lasem.

Zostały z niej zgliszczka.

Saro, nie!

Nie krzyczałem już ani nie płakałem. Pamiętam ciszę. Zanurzyłem się w niej. Utonąłem.

Śniła mi się. Uśmiechała się. „Obiecałeś, że będziemy razem”, mówiła. „Janku, obiecałeś”.

Budziłem się zlany potem.

Obiecywałem Bogu różne rzeczy. Przysięgałem. Wokół szopy wiatr rozwiewał popiół, a ja błagałem o ocalenie Sary.

Przed sobą miałem samotną drogę. Bez niej. Bez nadziei.

Wszechświat wiedział o tym dużo wcześniej. Dał nam znak, gdy leżeliśmy i patrzeliśmy na meteor ukryci w sitowiu nad rzeką.

\*

Nie pamiętam, w jaki sposób znalazłem się w Warszawie. Włóczyłem się po zgliszczach mojego miasta. Może miałem nadzieję, że spotkam kogoś z dawnego życia, że ktoś da mi jakiś znak. Byłem w szoku. Działąłem jak automat.

Nie miałem pojęcia, jak rozproszyc mgłę. Żyłem we własnym świetle. Wokół mnie była pustka. Codziennie zadawałem sobie pytanie, co się stało z Sarą i dlaczego. Obiecałem jej, że będzie szczęśliwa. Będzie wiodła dobre życie. Codziennie myślałem o mojej rodzinie. O mamie i siostrze, które płoną w pożarze. O ojcu, z którym nie wiadomo, co się wydarzyło. Sądziłem wtedy, że ból nigdy nie minie. Nie wierzyłem, że kiedyś może przyjść dzień, w którym nie będę go czuł tak intensywnie, tak mocno przez cały czas.

Wtedy moja rozpacz zdawała się nie mieć granic. Straciłem wszystko. Mamę. Tatę. Siostrę. Ukochaną. Straciłem całe moje życie.

Trudno opisać słowami, co czułem.

Byłem na skraju wytrzymałości, gdy nagle wyrósł przede mną kolega, którego nie widziałem od początku wojny. Musiałem bardzo się zmienić, bo na mój widok zakrył



usta ręką. Franek otoczył mnie opieką. Zamieszkałem u niego. Przynosił skądś chleb. Pewnego dnia wyszedł, a ja postanowiłem odebrać sobie życie. Uratował mnie w ostatniej chwili. Zatał krew, wyrzucił stary nóż. „Co chciałeś zrobić, nie spiesz się tak bardzo do nieba”, powiedział mi później. „Udało nam się, musimy żyć, słyszysz?!”.

Powoli odzyskiwałem siły. Czułem jednak, że nie mogę zostać w Warszawie. Chodziłem po niej jak po ruinie własnego życia. Wyruszyłem przed siebie, byle dalej od miejsc, które sprawiały ból. Zacząłem imać się różnych prac. Nawet nieźle mi szło. Tak doczekałem końca wojny.

Pojechałem do Pruszkowa. Chciałem odnaleźć Leszka. Rozpytywałem ludzi, kręcili głowami. Jedna kobieta przyznała, że przed wojną mieszkali na sąsiedniej ulicy Marciniakowie, pamiętała chłopaka, który z jej opisu mógł być Leszkiem. Trafiłem na mężczyznę, który do Auschwitz został wywieziony w ostatnich miesiącach wojny. Opowiedział w kilku słowach, jak wyglądał koniec obozu, jak zaczęło się zacieranie śladów zbrodni. Kazali przemleć popiół i wywieźć do rzeki. Ludzi popędzili w marszach śmierci białą drogą, tak zamarznąłą, że było słychać tylko skrzypienie śniegu. Ten mężczyzna szedł w takim marszu. Widział, jak co pewien czas ktoś padał z wycieńczenia. Powiedział mi o bohaterskim młodym człowieku, z rysopisu przypominającego Leszka. Prowadził pod ramię zanoszącego się od kaszlu chłopaka. Każdy myślał o sobie, żeby przeżyć, dojść do końca tej tragicznej drogi, ale tamten młody mężczyzna robił wszystko, by poza sobą uratować tego chłopca. Podnosił go, gdy upadał. Chciałem wierzyć, że to był Leszek. Miałem nadzieję, że przeżył długie lata gdzieś w świecie i nadal żyje otoczony rodziną. Zasłużył na to.

Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Leszku, mój największy Przyjacielu. Ktoś powiedział: „Zgubiliśmy się wtedy, odnaleźliśmy się, wy też się znajdziecie”.

W moim przypadku stało się inaczej.

Nie bałem się niczego, bólu, śmierci. Było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. Śmierć najbliższych jest traumą nie do opisaną.

Czy w ogóle można po czymś takim żyć? Myślałem, że skoro nadal oddycham, jestem potworem.

Szedłem, wcale nie idąc. Mówiłem, nie słysząc własnych słów. Jadłem, nie czując smaku. Patrzyłem na świat jak na pozbawione kolorów obrazy. Pełzałem.

Musiałem od nowa uczyć się wstawać rano. Myśleć o dniu. Patrzeć. Chodzić. Oddychać. Miałem do wyboru: umrzeć z rozpacz i rozpamiętywania albo zacząć od nowa. Ale musiały minąć miesiące, nawet lata, zanim postanowiłem dogadać się z czasem. Zawalczyć o to drugie.

Tułałem się po różnych miastach i miasteczkach, zarabiając pracą fizyczną.

Pewnego dnia trafiłem do Starej Skały i poznałem Klarę.

\*

Pojechałem do Auschwitz raz. Całkiem sam. Zastanawiałem się długo, czy to mi potrzebne. W końcu zdecydowałem się zamknąć tamten rozdział. Musiało jednak minąć trzydzieści lat, żebym się tam wybrał. Wszystko było teraz czyste i ciche. Baraki, podłogi, prycze. To, co znałem z obozowej rzeczywistości, zobaczyłem w gablotach.

Chodziłem wśród bloków, zaglądałem do środka.

Widziałem ich wszystkich.

Widziałem wszędzie. Byli ze mną. Miałem wrażenie, że wciąż leżę na pryczy wśród stłoczonych ciał albo stoję na apelu.

Zrozumiałem, że trzydzieści lat to za mało, by moje emocje opadły. I zapewne kolejne trzydzieści też nic by nie zmieniło.

Widziałem ich przez całe życie.

W gablotach, w tonach włosów być może leżały obcięte pukle Sary, w stosach okularów – okulary Leszka, a w górze zegarków – być może ten, który dostałem od ojca.

Kiedy ujrzałem mój barak, osunąłem się na kolana.

Czytałem opowieści ludzi o życiu w obozie. Ktoś przez całe lata po wojnie jadł cebulę, ktoś inny zawsze nosił w kieszeni kromkę chleba. Podnosił ją i całował, gdy upadła na podłogę. Ja natomiast nie przywiązywałem się do rzeczy. Niewiele było mi potrzebne. I o tym, co mnie spotkało, nie chciałem opowiadać.

Stałem przed moim barakiem i przypominałem sobie to, o czym tak bardzo chciałem zapomnieć. Stałem przed moją pryczą i połykałem łzy.

Odżyło wszystko, cały tamten świat, moja młodość, wojna, miłość. Pamiętam, jak w obozie w pewnym momencie przestałem bać się śmierci. Oprawców, stania na mrozie, głodu. Czułem tylko strach przed tym, że jak już to wszystko się skończy i przeżyję, zostanę sam.

Wiele razy zadawałem sobie pytanie, kim jestem i dlaczego przyszedłem na ten świat. Przez całe życie nie znalazłem odpowiedzi. Miałem swoje plany, lecz los przygotował dla mnie inny scenariusz. Gorzki. Wypełniony bólem, naznaczony stratami. Ale też pozwolił mi się odrodzić. Może trudno w to uwierzyć, ale mimo tego, co mnie spotkało, byłem człowiekiem raczej pogodnym. Kiedyś zapadło mi w pamięć zdanie: „Najpiękniejszy uśmiech ma ten, kto wiele wycierpiał”. Coś w tym jest.

Pamiętam dokładnie, kiedy usunąłem obozowy numer z przedramienia. Stało się to kilka lat po wojnie, tuż przed tym, jak poznałem Klarę. Trochę bolało, ale czym był ten ból w porównaniu ze wszystkimi innymi, które miałem nosić w sobie jak znamiona do końca życia. Zostały mi po nim blizny. Nie chciałem go mieć, był dla mnie dowodem upodlenia i hańby. Nie chciałem opowiadać, rozpamiętywać. Wydawało mi się, że wszystko, co mnie spotkało i wydarzyło się w Auschwitz, jest nie do opowiedzenia, nie do opisania.

Nazwisko Albert Wroński wziąłem od mojego pradziadka. Tata opowiadał o nim, to był ojciec jego mamy. Ze słów taty wynikało, że był porządnym człowiekiem i wiodło mu się w życiu. Przyjąłem to za dobry znak.

Codziennie zastanawiałem się, co się stało z Sarą, gdzie ona teraz jest.

Obiecałem jej, że będzie szczęśliwa, że czeka ją dobre życie. Zostawiła mnie pustego i zagubionego. Myślałem wtedy, że ból nigdy nie ustanie. Nie wiedziałem, że nie będę go czuł przez cały czas.

Wtedy myślałem: *Kocham cię. Tęsknię za tobą. Mam nadzieję, że dokądkolwiek trafiłaś, jesteś spokojna i bezpieczna.*

Zacząłem rodzić się na nowo. Pożegnałem Janka. Schowałem go w sobie głęboko. Stałem się Albertem. Nowe życie przyjąłem z szacunkiem i pokorą.

W chwili, gdy jeden człowiek złorzeczy, przeklina pod nosem pechowy piątek albo głupi poniedziałek, narzeka na upał i mróz, na krzyki dzieci i pracę, na to, że coś mu się znów nie udało, inny dziękuje za kawałek chleba, za każdy kolejny dzień, wieczór i poranek.

Życie nauczyło mnie być tym drugim.

## 18

– To koniec??? – zapytała Laura.

Była bardzo poruszona. Rozpalona, podekscytowana. Wyglądała, jakby miała gorączkę.

– Jak to? A co dalej?

– Dalsze losy już chyba znamy. To już twoja i moja historia, mamo.

– Chodzi mi o jego losy. Ta historia jest urwana. Na pewno chciał napisać coś więcej, nie sądzisz?

– Dlaczego tak myślisz? – zdziwiłam się. – Według mnie jest skończona.

– Nie. To otwarta opowieść – twarz Laury była coraz bardziej rozgorączkowana.

– On nie napisał dalszego ciągu. Nie zdążył. Tak wyczuwam.

– Może masz rację... Ale... o czym tu więcej pisać? Potem poznał Klarę i wydarzyło się to, o czym już wiemy. A tamto jest tak nieprawdopodobne, że wyczerpuje limit tajemnic. Dlaczego myślisz, że może być jakiś ciąg dalszy?

– Nie wiem. Chyba jestem zdenerwowana. Dlaczego nigdy nam o tym wszystkim nie opowiedział? Nie zdradził się nawet słowem? – mama spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – I nazywał się inaczej! Nie mogę tego ogarnąć, że przez całe dorosłe życie miał nową tożsamość, stał się kimś innym, a ja, jego córka, o tym nie wiedziałam! Czy ty to rozumiesz?! Nie wierzę, po prostu nie wierzę.

– Mamo, uspokój się. Twoje nerwy niczego nie zmieniają. Wczoraj też przeżyłam szok. Teraz już osuwam się z faktem, że miał inne imię i nazwisko. Rozumiem to. Staram się. Choć dziadek dla mnie na zawsze będzie dziadkiem Albertem. Tego na pewno nigdy nie zmienię.

– Ja też nie jestem w stanie myśleć o nim: Janek. Mój ojciec to Albert Wroński – głos Laury nagle się zmienił, stał się bardziej cichy i niepewny. – Dziwnie mi z tym, że na dobrą sprawę jestem z domu Walicka. Naprawdę musiał aż zmienić nazwisko?

– Widocznie taką miał wtedy potrzebę. Chciał się odciąć. Może to był jego sposób na nowe życie, obrona przed rozpaczą, śmiercią najbliższych. To musiało być dla niego piekło. Zorganizował ucieczkę z Auschwitz, wyprowadził z obozu dziewczynę, w głowie miał wizję ich wspólnego życia, a ona została spalona w szopie. To potworna tragedia. Trudno to sobie nawet wyobrazić.

Od wczoraj czułam się tak, jakbym nagle znalazła się w środku tamtych wydarzeń, nawiązała połączenie z tamtym czasem. Doskonale pamiętałam wycieczkę szkolną do Auschwitz. Włosy. Buty. Okulary. Zabawki. Przeżyłam wstrząs. Komory gazowe, gdzie zamordowano setki tysięcy ludzi. Pukle włosów zakochanych, którzy uciekli, ale zostali złapani i straceni. Przewodnik opowiadał, podczas gdy wszyscy płakali albo stali w ciszy. Nie miałam pojęcia, że w tym miejscu, wśród więźniów, był mój dziadek. Mój dziadek! Chłopak, który każdego dnia walczył o przeżycie, by w końcu uciec stamtąd z ukochaną dziewczyną.

Wciąż go tam widziałam. Jak idzie w pasiaku, jak pracuje ponad ludzkie siły, stoi boso na mrozie albo w samo południe w spiekocie, jak mdleje z głodu, obrywa pejczem. Jak czuje lęk, wszechogarniający, o to, co będzie. Zobaczyłam, jak oddaje dziewczynie kawałek chleba, który odjął od swoich ust. Jak się dziwi – czy to możliwe, by w tym piekle znów poczuł miłość, zapragnął żyć, zaczął marzyć o normalności?

Byłam ciekawa, czy mama czuje podobnie. Popatrzyłam na nią uważnie. Próbowałam sobie wyobrazić, jakie to dla niej bolesne.

– To nieprawdopodobne – Laura nie mogła się otrząsnąć.

– Masz rację, mamo. Był taki młody. I taki odważny. Szkoda, że nigdy nie mówił o tym, że uciekł z obozu i uratował życie nie tylko sobie, lecz także dziewczynie. Przecież po wojnie ludzie opowiadali własne historie.

– Kochał ją. To Sara była miłością jego życia.

– Myślę, że jednak Klara. Miłość do Sary była wielka, ale inna.

– Mam wrażenie, że kochał ją przez całe życie. Nosił w sobie to uczucie jak wielką tajemnicę.

Właśnie o tym bałam się myśleć być może najbardziej. O jego miłości do tamtej dziewczyny, która nigdy się nie skończyła. Być może była większa niż uczucie, które żywił do Klary. Odsuwałam tę myśl od siebie, ale ona wracała, nie dając spokoju. Nie chciałam się zdradzić ze swoimi odczuciami przed Laurą.

*Nie, to niemożliwe*, pomyślałam i zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Popatrzyłam za okno. Na ogród, o który dziadek Albert tak dbał. Zawsze powtarzał z dumą, że stworzył go dla Klary. Patrzył na nią z szacunkiem i czułością. To była miłość. To musiała być miłość. Prawdziwe uczucie, którego byłam świadkiem od dzieciństwa.

– Mamo... – zwróciłam się do niej najcieplej, jak umiałam.

– Jestem rozdarta. Nie mogę wyjść z szoku – Laura zagryzła usta. – Zastanawiam się, tak... zastanawiam się nad tym, czy to samo zrobiłby dla Klary. Czy mój ojciec kochał moją matkę na tyle, by wyciągnąć ją z piekła, z obozu zagłady.

Jej słowa zabrzmiały jak wyrzut. Potrząsnęłam głową.

– Przecież dobrze wiesz, że tak – zapewniłam. – Nie zawahałby się nawet przez chwilę.

– Tak, ale... zastanawiam się, czy zrobiłby to z miłości, czy dlatego, że był prawy? Bo on był taki cholernie nieskazitelny, moralny.

– Ale jego miłość do babci była prawdziwa! – obruszyłam się. – Sama kiedyś stawiałam ich za wzór jako parę i marzyłam, by odnaleźć podobną miłość. A dziadek przecież napisał w listach, że kochał Klarę nad życie. Zapewniał o tym niemal w każdym zdaniu! Nie sądzę, by dziadek pisał pełen miłości i czułości list tylko po to, żebyśmy myślały, że kochał babcię, a sam przez całe życie tęsknił za tamtą. Bzdura.

– Wiem, że kochał babcię, ale być może jako człowieka, nie kobietę. Pomogła mu, była mu bliska. Ale w sercu miał zawsze tamtą.

– Mamo, o czym w ogóle rozmawiamy? Dziadek dokonał czegoś niesamowitego, a my mówimy o tym, kogo kochał, a kogo nie. Przecież on przeżył Auschwitz. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest nosić to w sobie przez całe życie.

Laura zapadła się w fotelu. Zanurzała się w innym świecie, do którego nie miałam dostępu. Wpatrzona w coś, co widziała tylko ona, co mocno ją poruszało. Być może zobaczyła siebie na różnych etapach życia albo ojca i matkę, ich miłość i swoje zwątpienie. Wyglądała na wyczerpaną.

Odwróciłam się do okna. Przez chwilę obserwowałam pajęczą sieć utkaną po drugiej stronie szyby. Nici były precyzyjnie splecione. Jej twórca wisiał w samym centrum swojego dzieła, upajając się zrobioną przez siebie misterną pułapką na muchy. Przyglądałam się, jak pająk powoli przemieszcza się w lewy górny róg i zwija dla niepoznaki w kulkę. Odwróciłam się w stronę matki. Staralam się rozweselić ją uśmiechem, lecz w jej oczach czaiły się łzy.

– Lena, ja też myślę o tym, jak bardzo musiał być przerażony w tym obozie. I ona, ta dziewczyna, Sara. Wyobrażam sobie ich takich młodych, przecież to prawie dzieci, a już musieli być tak bardzo, bardzo dorośli i widzieć, przeżyć to wszystko – ściągnęła usta, z trudem powstrzymując płacz. – Ale my musimy żyć z jego tajemnicą, wielką miłością do kobiety innej niż moja matka, ze świadomością, że nie jest moim biologicznym ojcem. Nie wiem, co o tym sądzić. Nie umiem tego ocenić. Boże. Mój ojciec. Przecież to mój ojciec. Jakie to ma teraz znaczenie?

– Myślę o tym przez cały czas. Od chwili, gdy znalazłam pudełko. Ale może masz rację, może to nie ma już teraz znaczenia – odparłam, choć w rzeczywistości od wczoraj czułam się, jakby spadło na mnie gradobicie.

– Twoja babcia tak bardzo go kochała. Był diabelnie przystojny. Przy tym pełen miłości do świata. Wyobrażam sobie, jak podobał się kobietom. Ale to ona robiła te wszystkie codzienne wspaniałe rzeczy dla niego – głos Laury się załamał. – Choćby śniadania godne króla, z imbrykiem herbaty albo kawy, jajkami, owocami i jabłkami

w cieście. Otoczyła go opieką, jakby chciała mu wynagrodzić każdy dzień spędzony w obozie, wszystkie straty.

– Ale on ją uwielbiał! Robił dla niej wszystko, dbał o to, by była szczęśliwa! Mamo!

– Tak, masz rację – odezwała się po chwili Laura, omijając mnie wzrokiem. – Lena...

– Co jeszcze?! O czym jeszcze nie wiem? Tylko nie mów, że Klara o wszystkim wiedziała.

– Nie mogę tego wykluczyć – Laura pokręciła głową. – Moja matka była kobietą z klasą. Skrytą. Nigdy nie rozmawiała o problemach. Nie zdradzała sekretów. Uważała, że prywatne sprawy są wyłącznie prywatnymi sprawami – przerwała na chwilę. – Chodzi mi o coś całkiem innego.

Patrzyłam na matkę z niepokojem, bałam się tego, co ma do zakomunikowania. Jeszcze nie poukładałam sobie w głowie historii dziadka, a miała spaść na mnie nowa.

– Pamiętasz ten dzień, kiedy przyjechałam, a ty byłaś sama ze zmarłym dziadkiem? Zapytałaś mnie wtedy, czy czuję się winna, bo za rzadko go odwiedzałam.

– Pamiętam.

– Nie powiedziałam ci wtedy prawdy – zamilkła, by po chwili powrócić do urwanej myśli. – Jest coś, co spędza mi sen z powiek, nie daje spokoju. I ma to związek nie tylko z twoim dziadkiem, lecz także ze śmiercią babci. Myślę, że to była jego i moja wina.

– Jak to? – wydusiłam zdumiona.

– Mieszkaliśmy już w Warszawie – Laura nabrała mocno powietrza. – Pewnego dnia zadzwoniła twoja babcia, była jakaś nieswoja, niespokojna. Usłyszałam, że dziadka nie ma, wyjechał na cały dzień do kolegi. A ona musi mi o czymś powiedzieć, o czymś ważnym, ale nie przez telefon.

– I co? Powiedziała?

– Nie zdążyła. Zmarła. Tak nagle, we śnie. Jednego dnia żyła, następnego odeszła – Laura otarła łzę. – Tak więc, jeśli pytałaś, czy czuję się winna, to odpowiadam: tak, ale nie z tego powodu, że dziadek był sam. Czuję się winna śmierci babci. Obwinałam też twojego dziadka, że wyjechał i zostawił ją, wiedząc, że leczy się na serce. Miałam do niego głęboki żal o to, że jej nie dopilnował. A ona dla niego poszłaby w ogień, tak bardzo dbała i starała się, by był szczęśliwy. Jakiś czas temu pytałaś o to, co było między mną a dziadkiem Albertem, dlaczego nasze stosunki się ochłodziły. Masz odpowiedź. Ale największą złość czułam do siebie. Wręcz wściekłość. I bezsilność.

– Dlaczego od razu nie pojechałaś do babci?

– Miałam wtedy gorący okres, byłam zajęta otwarciem wystawy, musiałam być na miejscu. Planowałam jechać po weekendzie, spóźniłam się.

– Rozmawiałaś o tym z dziadkiem?

– Nie, nigdy nie poruszałam z nim tego tematu.

– Boże, czy w naszej rodzinie muszą być zawsze jakieś niedomówienia i tajemnice? Ale przecież on nie był niczemu winien! Babcia miała słabe serce i akurat wtedy tak wyszło, że odeszła.

– Nie mogę sobie tego darować. Dzisiaj rzuciłabym wystawę i zjawiała się u niej natychmiast.

– To nie twoja wina!

Podeszłam do matki i objęłam ją mocno.

– Wciąż słyszę jej roztrzęsiony głos. W jej przypadku to rzadkość, zawsze nad sobą panowała. Kiedyś zachodziłam w głowę, czym tak się wtedy martwiła, co ją tak do żywego poruszyło, że aż zdecydowała się wyjść z roli damy i zadzwonić do mnie.

– I nie masz żadnych podejrzeń, nic nie przychodzi ci do głowy?

– Nie. Niestety. A chciałabym je mieć. Bo może wtedy poczułabym spokój.

– Mamo, tak mi przykro.

– Już nic z tym nie zrobimy.

– Cała ta historia jest jak z filmu.

– Lena, to historia naszej rodziny. Życie.

Kiedy zadzwoniłam do Louisa, by opowiedzieć mu jeszcze raz całą historię, wysłuchał z tymi samymi emocjami, zapytał o Laurę i oznajmił, że przede mną życiowe zadanie: muszę spisać historię mojej rodziny.

– Ja nie mam takiej ciekawej opowieści. Moja rodzina jest nudna. Twoja jest jak z filmu – nieświadomie powtórzył moje słowa.

– Te wszystkie wydarzenia sprzed stu lat, ród osiadły na wyspie, miłości, rozdarte serca, silne kobiety, pełno fotografii. I Albert z historią, którą świat musi poznać. Opowiesz o niej w swojej książce. Pomogę ci ją wydać. Co ty na to?

– W książce? Nie wiem, co powiedzieć. Zaskoczyłeś mnie.

– Zrób to. Przekonasz się, że warto.

– Kocham cię.

– Myślisz o mnie?

– Myślę. Po to jestem. I też cię kocham.

*Może rzeczywiście?*, myślałam później. Może trzeba pisać właśnie o tym? O losach, które się przecinają i znikają? O drodze, którą każdy ma do pokonania? Jak w księdze: czytasz kartka po kartce aż do ostatniej linijki, która po chwili zniknie pod palcami. Myśląc o tym, poczułam, jak wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz.



Razem. Obok siebie. Wieczni. Już wszystko o sobie wiedzieli. Wszystko sobie wybaczyli. Eleonora i Tomasz. Melania i Jerzy. Klara i Albert.

Marmurowy rodzinny grobowiec był jak księga. Data urodzin i śmierci, a między nimi kreska. Zwykła kreska, cienka i krótka, a jaka pojemna. Mieści się w niej całe życie. Miłość, radość, ból i strach, zwyczajny dzień i dzień wielkich spraw, fala uniesień i zbawcza cisza, suma wydarzeń, decyzji, spełnione marzenia i milion niezrobionych rzeczy. Martwiła się i troszczyła: nie zmarznij, wróć na obiad. Mówiła: dzień dobry, jak się czujesz? Robiła herbatę i kawę. Pocieszała: wszystko będzie dobrze, jestem przy tobie. Chwaliła, doceniała, szła na kompromisy. Rozbrzmiewała śmiechem albo milczała. Pokonywała kilometry i bariery. Prosta, troskliwa i dobra. Mówiła: wystarczy, że jesteś.

Znicz palił się wysokim płomieniem. Obserwowałam matkę układającą w wazonie wielki bukiet astrów. Pochyliłam się, by podnieść kwiat, który upadł na ziemię, a gdy znów się wyprostowałam, zobaczyłam, że kilka metrów ode mnie stoi mężczyzna – ten sam, który po pogrzebie dziadka mówił ze wzruszeniem, że Albert Wroński przed laty bardzo mu pomógł, ten sam, którego spotkałam w pubie z harleyem davidsonem, kiedy siedziałam tam z Piotrem. Mężczyzna trzymał w ręku znicz. Skinął głową w naszą stronę.

– Przepraszam, nie chciałbym przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pan – Laura spojrzała na niego przychylnie.

– Może się przedstawię. Nazywam się Marek Lang.

Lang. Lang. Tak. Od początku wiedziałam, że skądś go znam. Chłopak ze szkoły, z młodszej klasy, chudy i drobny, który zawsze stał na końcu, starając się być niewidzialny, żeby tylko dali mu spokój, żeby tylko go nie przezywali. Syn krawcowej, u której Albert i Klara szyli czasem ubrania.

– Laura Wrońska – mama podała mu rękę.

– A my się już znamy. Pan... ty... chodziłeś do mojej szkoły – spojrzałam mu w oczy, po czym zwróciłam się do Laury: – Mamo, pamiętasz panią Lang? Szyła dla nas piękne rzeczy.

– Oczywiście! Jakże miałabym nie pamiętać? – obruszyła się Laura i zwróciła do Marka Langa: – To pana mama?

- Tak, to ona – uśmiechnął się.
- Co się z nią stało? Bo, zdaje się, wyjechaliście ze Starej Skały.
- Dziękuję, ma się dobrze. Mieszka z siostrą na Kaszubach, ja w Warszawie, a tutaj, niedaleko, otworzyłem bar.
- Świetny bar – dodałam.
- Naprawdę? Gdzie? – zdziwiła się Laura. – Byłaś tam?
- Tak. To naprawdę wyjątkowe miejsce.
- Miło mi.
- Dlaczego akurat tutaj? – zapytała Laura. – Nie lepiej w Warszawie?
- Dobrze pytanie – uśmiechnął się ponownie. – Może dlatego, że po objechaniu świata na harleyu ciągnie człowieka w dawne kąty.

A więc nie myliłam się, gdy – będąc w pubie z Piotrem – pomyślałam, że jego właściciel to podróżnik i harleyowiec. Nie odchodził, jakby wahał się, co zrobić.

– Od dawna noszę się z zamiarem, by paniom o czymś opowiedzieć. Nie wiem, czy teraz jest dobry czas. Ale jeśli nie teraz, to kiedy? Nie widzimy się często – zawiesił głos i spojrzał pytająco.

– Ależ proszę, skoro to ważne – odparła Laura.

– Dziękuję – skinął głową z wdzięcznością.

Milczał. Wiatr zatańczył wśród gałęzi brzozy i zdmuchnął z niej złote liście. Płomień znicza zadrżał.

– Byłem szczeniakiem – zaczął Marek Lang. – Nieśmiałym, zahukanym, w szkole gnębiła mnie grupka chłopaków, po lekcjach prześladował mnie ktoś jeszcze. Dorosły mężczyzna, właściciel warzywniaka niedaleko sklepu jubilerskiego pana Alberta. Kilka razy zachodziłem do niego z kolegą, patrzył na mnie spode łba, a kiedy pojawiłem się sam, powiedział mi parę przykrych słów, stanął tuż przy mnie i wycedził, że nie życzy tu sobie małego Żyda. Wyszedłem ze sklepu, pochlipywałem za rogiem, aż znalazła mnie pani Irena z księgarni i dała mi ciastko. Ze strachu nie pisałem słowa, ale ona się domyśliła, musiała dobrze znać tego człowieka, bo pogłaskała mnie po głowie i weszła do sklepu, by głośno i wyraźnie wyrazić swoją opinię o zachowaniu dorosłego miejscowego faszysty wobec małego chłopca.

Zamilkł. Było widać, że to wspomnienie z dzieciństwa drąży jego wrażliwe serce.

– Jakiś czas później miałem zanieść klientce mojej mamy próbkę materiału na garsonkę. Kobieta była chora i nie mogła przyjechać do mamy do pracowni, a czas naglił, bo garsonka musiała być gotowa na ślub. Droga częściowo wiodła przez las, jakieś dwieście metrów. Biegłem i oglądałem się za siebie, czułem się nieswojo, nie lubiłem chodzić po lesie sam, ale nie cofnąłem się, bo bardzo nie chciałem zawieść mamy. Była zapracowana i musiała na dodatek podjechać do urzędu załatwić jakieś papiery. I tam, w lesie, dopadł mnie on – Marek Lang nabrał powietrza i pokiwał głową. – Jechał na rowerze, okrążył mnie, nie zatrzymałem się, nie patrzyłem na

niego, przyspieszyłem kroku. Jechał tuż przy mnie, z boku, drażnił się ze mną, mówiąc jakieś obrzydliwe słowa. Pamiętam, że płakałem.

Teraz też w jego oczach pojawiły się łzy. Laura podeszła do niego i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Już dobrze. Nie musi pan mówić dalej – powiedziała ze zrozumieniem.

Lecz jego oczy zdradzały, że chce to z siebie wyrzucić.

– Zeskoczył z roweru. Rzucił go na ziemię. Stał tuż przede mną. Byłem przerażony. Stał tak blisko, że czułem tytoniowy odór z jego ust. Zapytał z ironią, czy znam drogę do domu, i kilka razy uderzył mnie w brzuch. Powiedział, że za chwilę mnie zgwałci, bo tylko to należy mi się od życia, a potem powiesi mnie na drzewie, tak jak Niemcy w czasie wojny powiesili kilku chłopców na kasztanach przy głównej ulicy. Świat wokół zawirował. Poczułem się jak w potrzasku, bez wyjścia. Przeraziłem się jeszcze bardziej. Zacząłem krzyczeć. Wtedy nadszedł pan Albert. „Co tu się dzieje?!”, krzyknął. „Co robisz temu chłopcu?!”.

Tamten wpadł w szal, krzyczał, że zabije nas obu, że pasujemy do siebie, bo podobne z nas psy. Pan Albert nakazał mi uciekać. Ruszyłem pędem przed siebie, ale zatrzymałem się za krzakami, chciałem zobaczyć, co się wydarzy. Obserwowałem, jak się kotłują, tamten wyjął nóż i chciał wbić panu Albertowi w ramię. Wtedy dopiero uciekłem. Nie wiem, co dalej się wydarzyło tam, w lesie. Dwa dni później przeczytałem nagłówek w gazecie codziennej: „Zaginął sprzedawca, jego los jest nieznan”. Ludzie gadali, ale dość szybko przestali, bo nie był lubiany. Nie wiadomo, co się z nim stało. Nigdy się nie odnalazł. Pan Albert uratował mi wtedy życie. I przez lata wiedziałem, że nade mną czuwa.

Stałyśmy osłupiałe.

Oddychał głęboko. Dało się zauważyć, że opowiadanie o tamtych zdarzeniach wiele go kosztowało. Był teraz trochę bezradny, w niczym nie przypominał właściciela Pub Rocks Lounge and Bar.

Pierwsza odezwała się Laura.

– Panie Marku... tak bardzo mi przykro. Ale to było tak dawno, ma pan już inne, dobre życie. Trzeba zapomnieć. Nie można w sobie hodować złych rzeczy, bo to obraca się przeciwko nam. Wiem coś o tym.

– Tak, wiem. Przepraszam. Pomyślałem tylko, że rodzina pana Alberta w końcu powinna się o tym dowiedzieć. Nic więcej.

Wyjął zapalniczkę z kieszeni i pstryknął palcem. Znicz zapłonął. Postawił go na pomniku, w miejscu, gdzie widniały wyryte imię i nazwisko: Albert Wroński. Ukłonił się z szacunkiem, odwrócił i odszedł. Patrzyłam za nim, jak mijał majaczące w oddali cmentarne alejki i przechodził przez bramę.

Zastanowiło mnie, dopiero teraz, z jakiego powodu ktoś, kto doznał w jakimś miejscu krzywd, wraca po latach, by otworzyć tam bar. Laurę myślała o tym samym,

bo zapytała:

– Nie wydaje ci się to dziwne?

– Słyszałem o drugiej Ziemi, ale leży tak daleko, że nawet tam nie dolecimy – Piotr stał za bramą i uśmiechał się szeroko.

Musiał mi się przyglądać od dłuższego czasu, bo miał minę, która mówiła: widziałem wszystko.

– Cholerne chwasty – mruczałam od pięciu minut pod nosem, wsuwając ręce w rękawice ogrodowe.

Twarde łodygi wyrosły wielkie jak pnie drzew. Zamierzałam je ciąć jedno po drugim, jakbym chciała wraz z nimi pozbyć się całego zła świata. Piotra dostrzegłam przez gałęzie krzewów, gdy za pomocą obcęarów próbowałam walczyć z lasem gigantycznych chwastów.

– Mogę pomóc? W ramach dbałości o Ziemię, na której żyjemy.

Zaskoczył mnie, nie sądziłam, że przyjedzie bez zapowiedzi. Gdy otworzyłam bramę, błyskawicznie mnie przytulił i przez chwilę trzymał w ramionach. Nie zdążyłam zareagować, zamurowało mnie. Milczał, a ja razem z nim.

– Cześć. Nie odbierasz telefonu – odezwał się pierwszy.

– Wiem, przepraszam. Wydarzyło się tyle... Muszę pozbierać myśli. I siebie.

– Rozumiem. Może jednak przeszkadzam.

– Nie – wysunęłam się z jego objęć. – Dopadła mnie rodzinna przeszłość, która nie jest łatwa.

– Mam sobie pójść?

– Tak. Nie. Zostań. Po prostu muszę się pozbierać, coś sobie poukładać.

Odsunął się ode mnie delikatnie, przez chwilę nie wiedząc, co zrobić.

– Piotr...

– A więc... Są tu gdzieś inne narzędzia poza obcęagami?

– Chcesz szczypcę czy nóż? A może piłę? W piwnicy jest dosłownie wszystko.

– Nie, poradzę sobie bez nich – machnął ręką, roześmiał się, zakasał rękawy i zabrał się do pracy, jakby nic się nie stało. Rzucił za siebie pędy chwastów i złamane gałęzie.

Zamierzałam to zrobić sama. Zaszłam się w ogrodzie, korzystając z okazji, że Laura pojechała na zakupy i do fryzjera. Starłam się skupić na tym, co tu i teraz, nie myśleć o niczym innym. Pragnęłam spokoju. Moją *idée fixe* było odnalezienie

krzewów białych róż, które Albert posadził dla Klary w dowód wielkiej miłości. Musiały gdzieś tutaj być, zarośnięte innymi krzewami i chwastami, zarzucone gałęziami. Obiecałam sobie, że je znajdę i odrodzę.

Białe róże. Dla Klary najpiękniejsze róże świata. Miała je w bukietcie ślubnym. Mówiła, że symbolizują miłość od pierwszego wejrzenia, a zakochana para, która je wybiera, będzie się darzyć miłością do końca życia.

Nie przeszkadzał mi wiatr, który stawał się zimny, smagający. Nareszcie znów czułam się częścią natury, elementem układanki, tym, czym jest człowiek – małym trybikiem w wielkim świecie, w samym sercu przyrody. Uwielbiałam ten stan.

Liście opadały z drzew. Fruwały na wietrze jak ptaki, mieniąc się kolorami w promieniach słońca. Jako dziecko łapałam je w locie albo podnosiłam z ziemi i układałam z nich bukiety. Zdobiły w wazonach stoły, komody i parapety. Wiatr nie ustawał, narastał, słyszałam jego głos, szept, szmer, mówił do mnie, jak to wiatr.

Zagubiłam się w ostatnich latach, a ostatnie dni pokazały mi to jasno i wyraźnie. Przepęłniały mnie uczucia tak skrajne, że gdyby ktoś mnie zapytał o to, czego pragnę, nie umiałabym jednoznacznie odpowiedzieć. Uświadomiłam sobie, że wszystko jakoś się toczyło, dzień gonił dzień, lecz nie czułam się sobą i nie żyłam tak, jak bym chciała. Czasem wydawało mi się, że jestem pozbawiona uczuć, pusta, innym razem, że nadwrażliwa, że brakuje mi ochronnej warstwy skóry. Na pozór było dobrze, wszystkim wydawało się, że żyję pełnią życia, mam świetną pracę, męża, mieszkanie w Paryżu, a ja czułam się jak wystrzelona bez żadnej wiedzy w kosmos. Pragnęłam odzyskać jedność ze światem, naturą, z lasem, rzeką, nad którą wydarzyły się najpiękniejsze chwile mego życia. Znów mieć w sobie mocne poczucie sensu. Odnaleźć w środku samej siebie magiczny klucz. Przecież kiedyś go miałam i mocno trzymałam w dłoni. Dziadek Albert mówił: „Życie jest jedno i mimo że bywa brutalne i niezrozumiałe, nikt nie chce wypuścić go z rąk, każdy chce żyć, czeka na lepsze chwile, z nadzieją, że nadejdą”.

Nie chciałam, by Piotr odjeżdżał. Jakaś część mnie podpowiadała, że los mi go zesłał po coś, bo nic nie dzieje się przypadkiem. Ale jednocześnie nie mogłam pozwolić, by tu został.

Zbliżyłam się do niego. Dotknęłam jego ramienia.

– Piotr, dziękuję, ale muszę to zrobić sama. Wiem, że może brzmi to dziwnie, ale sama muszę się tam dokopać.

– Nic nie brzmi dziwnie, Lena. Rozumiem, że mnie wyrzucasz i powinienem już sobie pójść. Zrobię to, ale wcale tego nie chcę – objął mnie mocno na pożegnanie.

Zerwał się wiatr. Niebo zasnuło się ciemnymi chmurami. Wydawało się, że za chwilę spadnie deszcz.

– Dziękuję. Za to, że tak wszystko rozumiesz.

Zamierzałam się odwrócić, by odprowadzić go do wyjścia, ale on wziął moją twarz w dłonie. Delikatnie dotknął moich ust, a ja poczułam dreszcze na karku. Zamknęłam oczy. Poddawałam się chwili. Pocałunek stawał się coraz bardziej śmiały i gorący. Aż przerodził się w muzykę, namiętną, pełną pożądania. Czułam dłonie Piotra wplecione we włosy, głaszczące moją twarz i szyję. Nie umiałam i chyba nie chciałam się przed tym bronić. Czułam jego usta, dotyk, nasze pożądanie, otaczające mnie silne ramiona. Tę cudowną otchłań, w której zatrzymuje się czas. Kiedy staliśmy przytuleni bez słowa, przenikał mnie spokój i pragnęłam, by ta chwila trwała. Ogarnęła mnie fala tęsknoty za bliskością, taką metafizyczną, zatraceniem się, jakimś szaleństwem. Pragnęłam tamtego Piotra, ale też mężczyzny, jakim się stał. Myślałam, że nigdy więcej tego nie poczuję. Próbowałam nie myśleć o tym, że kocham Louisa i jednocześnie jestem zakochana w Piotrze. Że na niego czekam, odkąd zobaczyłam go nad rzeką. W końcu to przyznałam. I byłam tym przerażona.

– Odkąd zobaczyłem cię pierwszy raz, jak schodziłaś w szkole po schodach, miałem pewność – powiedział cicho Piotr. – Ta pewność nie zniknęła. Kocham cię, Leno. Nie zakochałem się w tobie dzisiaj od nowa. Ja nigdy nie przestałem cię kochać.

Krople deszczu spadły kilkanaście minut później, po tym jak Piotr odjechał, a ja, połykając łzy, ścinałam olbrzymie pędy chwastów. Moim oczom powoli ukazywała się wyspa w centralnym punkcie ogrodu. Skarpa usypana z ziemi, otoczona i wzmocniona kamieniami. Na skarpie rosły krzewy, które kiedyś kwitły pąkami białych róż. W kilku miejscach otwierały się niewielkie i nieśmiałe pączki jak kielkująca w sercu nadzieja. Ogarnęło mnie wzruszenie. Stałam na środku skarpy i spijałam krople spadające na moją twarz, nie mogąc oderwać wzroku od krzewów, które wbrew wszystkiemu przetrwały. Patrzyłam na nie z czułością. Utracone i odnalezione białe róże. Jeszcze zakwitną.

Poczułam pewność, że znajdę wszystko, czego szukam. Poznam prawdę do końca. O dziadku, mamie, ojcu, sobie samej. Było mi obojętnie, jaka ta prawda jest. Nareszcie przekonam się, jak to jest odczuwać siebie. Przestanę uciekać. Przekonam się, czego chcę, stanę mocno na nogach. Czas w końcu dorosnąć, Leno Rey.

Przestało padać. Wyszło słońce. Położyłam się na trawie. Patrzyłam na wierzchołki drzew. I nagle zrozumiałam. Z całej siły poczułam, że moje życie zatoczyło koło. To był mój czas. Moja chwila. Otarłam łzy i spojrzałam w niebo.

Hotel Róża Wiatrów nie miał pięciu gwiazdek, był za to przytulną dziuplą o zapachu płatków róż. Właśnie tego oczekiwałam od małego hotelu między Sopotem a Gdańskiem: że będzie jak zagubiona na krańcu świata przystań.

Wtuliłam się w miękki biały szlafrok frotté z kapturem. Nikt nie wiedział, gdzie jestem. Nikt mnie tu nie znał. W tym tkwiła teraz moja siła.

Jeszcze rano jechałam pociągiem, wsłuchana w jego stukot piłam kawę w Warsie. Zajęłam strategiczne miejsce na końcu wagonu, było bardzo wcześnie, świat za oknem budził się leniwie, a ja przyglądałam się ludziom i rozmyślałam o liście dziadka.

*Musisz wyjaśnić sobie wszystko z Twoim ojcem. Wtedy będziesz wiedziała, kim jesteś i czego w życiu chcesz.*

Początkowo nie wzięłam sobie tych słów do serca. Mój ojciec przez te wszystkie lata stał się mi daleki, nie czułam się na siłach, by z nim rozmawiać, odnawiać relację. Lecz przesłanie listu zapadło mi w pamięć. Dziadek zawsze troszczył się o mnie i byłam pewna, że tym razem też chciał mi przekazać to, co uważał za słuszne.

Wiedziałam, że muszę to zrobić. Tak po prostu. Pojechać do ojca. Nagle, z zaskoczenia, by nie miał czasu na przygotowanie przemówień i spontanicznie powiedział coś, co będzie odpowiedzią na powracające od lat to samo pytanie.

– Mamo, jutro wyjeżdżam na dzień lub dwa – oznajmiłam Laurze poprzedniego dnia. – Nie gniewasz się?

Byłyśmy po kolacji. Sprzątałam ze stołu, Laura składała naczynia do zmywania.

– A to niespodzianka. Dokąd się wybierasz? Nic wcześniej nie mówiłaś...

– Mam zaległy wywiad, przełożyli termin ze względu na śmierć dziadka, ale najwyższy czas się do niego zabrać. To wywiad z aktorką, ona mieszka w Gdańsku, zresztą nieważne. Przy okazji odwiedzę ojca. Muszę z nim porozmawiać. Dasz mi jego adres?

Powiedziałam to tak lekko, jakby chodziło o wyjście do sklepu pana Wiktora po krówki ciągutki. Przez chwilę było słychać stukanie sztućcami o talerze.

Laura umyła ręce, zakręciła wodę w kranie i odwróciła się do mnie.

– Bardzo dobrze. Jedź. Porozmawiaj z nim.



– Tak. Może powinnam była to zrobić dawno temu.

– I tak, i nie. Wszystko ma swój czas.

Laura pogłaskała mnie po policzku. Zdjęła z uszu kolczyki z perłami. Położyła je na mojej dłoni. W świetle lampy perły wydawały się jeszcze bardziej błyszczące.

– Są twoje – spojrzała na mnie.

– Mamo. Nie. To przede wszystkim twoja pamiątka, to ty powinnaś je nosić.

– Moja droga Leno – mama weszła mi w słowo. – Te kolczyki należą już do ciebie. Będzie ci w nich pięknie, są wprost dla ciebie stworzone. Poza tym też jesteś jedną z nas, jedną z kobiet w tej rodzinie. Najmłodszą. Dla mnie najważniejszą.

Jechałam z kolczykami w uszach w wagonie restauracyjnym i sącząc kawę, obmyślałam scenariusz spotkania. Ojciec był w domu. Sprawdziłam to, dzwoniąc na numer stacjonarny. Gdy się odezwał, rozłączyłam się. Nawet jeśli zastałabym u niego jakąś kobietę, niewiele mnie to obchodziło. Już nie. Poza tym żadna z tych kobiet, z którymi się spotykał, nie miała szans, by być taką jak Laura. Byłam pewna, że mój ojciec dobrze o tym wie.

Przez pierwsze dziesięć lat mojego istnienia miałam ojca. Dziś wydają się one takie odległe, jakby wydarzyły się w innym życiu. Potem więcej go w domu nie było, niż był. Wyjeżdżał w podróże służbowe, by robić reportaże ze świata dla gazet i telewizji. Był kimś. Był wielki. Ludzie go podziwiali. Ale ja nie chciałam mieć ojca do podziwiania. Marzyłam o tacie, który jest. Codziennie i zwyczajnie. W niedzielne poranki, przy wspólnych śniadaniach, w naszej codzienności, która dzięki ojcu staje się pełniejsza, bogatsza. Tę lukę wypełnił mi dziadek Albert. Albert. Nie przyzwyczaję się do Janka. Dziadek dla mnie na zawsze pozostanie Albertem.

Nie mogłam przestać o nim myśleć. O jego życiu. Ale też o swoim, bo przecież nasze losy na zawsze zostały związane. Był wspaniałym dziadkiem, jedynym takim na świecie, niezwykłym czarodziejem. To, czy łączyły nas, czy nie, więzy krwi, nie miało żadnego znaczenia. Nie chciałam wierzyć, że nie był biologicznym ojcem mojej mamy. Wystarczyło przecież na nich spojrzeć, by się przekonać, jacy są do siebie podobni.

Ojciec. Jest taki ważny i tak bardzo dotkliwy jest jego brak. Pomyślałam, że moja matka miała szczęście, bo ojciec był przy niej i jej matce przez całe życie. Czy był biologicznym ojcem, czy nie – to nie miało znaczenia. Był najlepszym z najlepszych.

Siedzenie w Warsie albo w przedziale przy oknie sprzyja rozmyśleniom i wewnętrznym dyskusjom, ma to do siebie, że oprócz ponurych wizji albo nierealnych pomysłów przynosi plany na przyszłość i epokowe odkrycia. Sięgnęłam po telefon, aby sprawdzić godzinę. Na wyświetlaczu migąła ikonka dwóch nieodebranych połączeń od Louisa.

– Lena? – w telefonie odezwał się jego głos. – Dzwonię do ciebie i dzwonię. Co się dzieje? Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

Czułam się okropnie. Jak zdrajca i oszust. Tchórz.

– Tak. A u ciebie?

– Też. Pracuję, jak zawsze.

– Przepraszam. Nie zadzwoniłam, ale podjęłam decyzję spontanicznie. Jestem w pociągu, jadę do ojca. Muszę z nim porozmawiać. Wyjaśnić kilka spraw.

Zwykle uśmiechałam się do niego, mając nadzieję, że odczuwa mój uśmiech po drugiej stronie. Tym razem obawiałam się, że Louis wyczuje coś całkiem innego, przejrzy mnie na wylot i zranię go śmiertelnie, zanim cokolwiek zdążę mu wytłumaczyć. A to była ostatnia rzecz, której bym sobie teraz życzyła.

– Wiesz, to nawet dobrze. Macie szansę wreszcie porozmawiać. Tylko że to oznacza, że dzień twojego przyjazdu staje się coraz bardziej odległy.

– Przepraszam. Ale to dla mnie ważne.

– Wiem. Dobrze robisz, kochana Leno.

Do oczu napłynęły mi łzy. Louis zawsze okazywał mi wsparcie. Czułam się, jakby siedział we mnie ktoś, kto burzy układ domu, a przecież dom powinna cechować niezmiennosc. Ustalona raz na zawsze. Tak, by po otwarciu drzwi wiedzieć, co się za nimi znajdzie. Krajobraz za oknem przesuwał się, zmieniał, migały miasta, wsie, łąki, pola. Zatopiłam się w myślach. Zastanawiałam się, jak będzie wyglądało moje spotkanie z ojcem. Wszystkie pytania, które miałam przygotowane, sprowadzały się do jednego: Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego wybrałaś inne życie?

Robert Rey otworzył drzwi w szlafroku i z niedowierzaniem w oczach. Sama nie wiedziałam, co czuję, co powinnam czuć, bo trochę trudno zrozumieć, że człowiek stojący w progu to ten sam, który przed laty był mi bardzo bliski. Teraz właściwie obcy, niewiele o nim wiedziałam poza tym, że zabrał nagle swoją walizkę i wyprowadził się z naszego życia, zostawiając wspólne zdjęcia, pełno pamiątek i potworny ból. Przez pierwsze lata zajmował się mną i opowiadał o świecie, a potem, gdy potrzebowałam go najbardziej, był zajęty wychowywaniem swojego syna w nowej rodzinie. Ktoś mógłby powiedzieć, że w jakimś sensie przygotował mnie do życia, choć to doświadczenie było szorstkie i bolesne.

Gdy spotkałam go teraz, świeciło jesienne słońce, jak wtedy, gdy wychodził z domu, by już nigdy na stałe do niego nie wrócić.

Kiedy otworzył drzwi, pomyślałam, że to spotkanie być może będzie najmocniejszym przeżyciem i sprawdzianem z ojcostwa.

– Lena? Co tu robisz? Coś się stało?

– Nie, nic się nie stało. Ale może... niepotrzebnie przyszedłam.

– Nie, nie! Proszę, wejdz. Po prostu nie spodziewałem się.

– Przepraszam. Przyjechałam na wywiad i spontanicznie postanowiłam do ciebie wstąpić. W końcu... nigdy u ciebie nie byłam.

– Oczywiście – popatrzył na mnie wnikliwie. – Wejdz. Ale nie jestem sam.

– Może przyjdę później? Jest sobota i chyba jednak zbyt wcześnie na składanie wizyt.

– Nie. Zostań. Zaraz jemy śniadanie. Mam nadzieję, że dobre.

W jego zachowaniu wyczuwało się napięcie, pokrywał je przesadnymi gestami i uśmiechem. Przestraszyłam się, że za chwilę będę zmuszona poznać kobietę w negliżu, wypachnioną, lekko potarganą, może zawstydzoną moją obecnością, a może obnoszącą po mieszkaniu swoją władzę. Robert zaprowadził mnie do salonu i zniknął na chwilę. Zanim wyszedł, włączył jazz, który sączył się cicho. A więc to się nie zmieniło, lubi go nadal.

Rozejrzałam się po pokoju. Laura mówiła, że od lat mieszka sam, co wcale nie musiało oznaczać, że jest samotny. Proste meble, niby ładne, ale trochę bez ładu i składu. Zwykła meblościanka, fotele. Musiałam przyznać, że moja matka

w urządzaniu domu miała nietuzinkowy gust. Tu panowała zwyczajność, żeby nie powiedzieć – bylejakość. Jedynym atutem tego mieszkania był widok z okna na cudowne morze.

Na półce stały dwa zdjęcia w ramkach. Na jednym był mały chłopiec w ramionach mojego ojca. Na drugim ja na kocyku, obok ojciec trzymający mnie za rękę. Nie wierzyłam oczom. Poczułam, że za chwilę upadnę.

– Tato? Kto to jest? – usłyszałam z głębi mieszkania pytanie.

– Moja córka Lena – odpowiedział Robert, a w jego głosie można było wyczuć wzruszenie.

Tato? Powiedział do niego: „tato”?

A więc jest tutaj jego syn.

Zamierzałam wyjść, zanim obaj przyjdą do pokoju. Skierowałam się ku drzwiom i wpadłam wprost na ojca.

– Oto i ona. Moja córka Lena – wszedł do pokoju ubrany w dżinsy, białą, wyłożoną na spodnie koszulę, wypachnioną. Ku mojemu zdumieniu wziął mnie w ramiona. – Teraz mogę się z tobą przywitać. Mogę?

Kilka metrów za nim stał wysoki chłopak, który miał te same oczy co maluch ze zdjęcia. Urodę wziął od swojej matki, bo nie był podobny do Roberta z wyjątkiem załamania kącików ust podczas uśmiechu. Był ładny. Więc ładna musiała być też jego matka.

– A to jest mój syn, Michał. Poznajcie się – Robert wyzwolił mnie z objęć i uśmiechnął się do chłopaka, który najwyraźniej czuł się niezręcznie.

Podaliśmy mu rękę. Było mi niedobrze, czułam się dziwnie, nieswojo. Przede mną stał nieznajomy o imieniu Michał, który urodził się siedemnaście lat temu, by zająć moje miejsce. A wydawało mi się kiedyś, w dzieciństwie, że jesteśmy nie do pokonania, nie do zastąpienia, ojciec, mama i ja, we troje, jak monolit, jedność, na zawsze, po wsze czasy.

– Miło mi – mój głos wcale nie zabrzmiał przyjaźnie.

Michał się nie odezwał, zrobił się za to cały czerwony. Musiał się czuć niezręcznie. Zarówno on, jak i ja dalibyśmy wszystko, by stąd uciec.

– No to siadamy do śniadania – ojciec klasnął w dłonie, jakby właśnie ogłosił święto. – Idziemy do kuchni. Trochę zaspaliśmy dzisiaj, a Michał nie może się spóźnić na judo.

Robiłam wszystko, by nie dać po sobie poznać, ile emocji kosztuje mnie to spotkanie. Nie wiedziałam już, o co mi chodziło, kiedy wsiadałam do pociągu, ani co zrobić dalej, o czym rozmawiać. To wszystko nagle wydało mi się pozbawione sensu.

Kuchnia była nowoczesna, prosta i nie do końca uporządkowana. Na blacie stały kubki i talerze z zaschniętymi resztkami jedzenia. Michał zgarnął je szybkim ruchem

do zlewozmywaka. Robert otworzył lodówkę, a ja zastanawiałam się, co teraz jada, czy wraz ze zmianą życia zapragnął odmienić też swoją dietę i z mięsożercy nagle stał się weganinem.

Jajka. Bekon. Masło. Rozgrzana patelnia. Grubo pokrojony ciemny chleb. Bagietki. Widok ojca wbijającego jajka do miski cofnął mnie w czasie o dwadzieścia lat. Wyglądał podobnie, tylko trochę przytył, włosy miał szpakowate, a na twarzy przybyło mu bruzd. Patrzyłam na jego gesty, jak smaży plastry bekonu, miesza jajka widelcem, dodaje soli, pieprzu, pomidorów, szczypioru. A więc jednak. Ulubione śniadanie pozostało nim do dziś.

Robił je w każdą niedzielę, a ja przyglądałam mu się, siedząc w piżamie na stołku i wyjadając kogel-mogel, robiony w rodzinie od pokoleń. Kiedy z dumą nakładał na talerze przyrządzoną przez siebie jajecznicę, całował mamę, a potem mnie, czułam się najszcześniejszym dzieckiem na świecie.

Gdy siedliśmy teraz przy stole, w innych dekoracjach, w jego innym życiu, dla zajęcia czymś rąk smarowałam kromkę chleba masłem, wiedząc, że jej nie tknę. W głowie huczało mi pytanie, czy mój ojciec, zasiadając przez te wszystkie lata do niedzielnej jajecznicy, miał przed oczami tamte nasze poranki.

– A więc przyjechałaś na wywiad? Z kim? – zapytał Robert.

– Z pewną aktorką. Zobaczę, co z tego wyjdzie. Na początku pracy nie lubię niczego zdradzać – powiedziałam i przerzuciłam się na pytania do niego. – A ty wyjeżdżasz jak kiedyś? Podróżujesz?

– Czasem, ale rzadko. Bardziej skupiłem się na pisaniu.

Robert też zmienił temat i zaczął mówić o pogodzie, potem zajął się chrupaniem bagietki. Schowałam nos w kubku z kawą, który podał mi Michał. Kątem oka zauważyłam, że chłopak nie patrzy na nas, wydawało się, że chce jak najszybciej połknąć śniadanie i zniknąć. Nagle zrobiło mi się go żal. Chłopak jak chłopak, nie jest niczemu winien.

– Kiedyś poszłam na zajęcia judo, ale nie dałam rady – zwróciłam się do Michała. – Więc cię podziwiam. Długo trenujesz?

Spojrzał na mnie z wdzięcznością, że przerwałam niezręczną ciszę.

– Od roku.

– Świetnie, gratulacje.

– Dziękuję.

Ojciec zerkał na nas ukradkiem. Wydawał się zadowolony, że siedzimy razem przy stole. Sytuacja niecodzienna, wymknęła mu się spod kontroli, ale jak na razie wszystko układało się dobrze.

Michał odsunął krzesło i wstał.

– Przepraszam, muszę już iść – zrobił bezradną minę i zwrócił się do mnie: – Do zobaczenia.

Chwycił plecak i wychodząc z kuchni, rzucił w stronę Roberta:

– Tato, mogę cię prosić?

– Tak, oczywiście.

Ojciec wyszedł zaraz za nim i przymknął drzwi, ale i tak było słychać, co mówią.

– Pojadę do Gdyni, do mamy.

– Dobrze, ale zadzwoń i wróć.

– Tak, jasne. Cześć, tato.

– Cześć, do zobaczenia, synu.

Ojciec stanął w drzwiach kuchni, a ja zdałam sobie sprawę, że sytuacja, w którą weszłam sama i z własnej woli, zaczyna mnie przerastać.

– Nic nie zjadłaś – zauważył. – Nie smakuje ci. Napijesz się jeszcze kawy? – nie czekając na odpowiedź, włączył ekspres. – Cappuccino? Latte?

– Espresso, poproszę.

– Według życzenia – sięgnął po najmniejszą filiżankę.

– Miły chłopak. I ma ładne imię. Michał – usłyszałam swój głos.

– Ma bardzo dobry charakter. Polubiłabyś go. Mieszka z matką. Do mnie przyjeżdża, ma tu swój pokój.

– Ach, tak – poczułam się tu jeszcze bardziej obca. – Przepraszam jeszcze raz, że nie uprzedziłam. Sama nie wiem, co mi się stało.

– Przestań przeproszać. Mogłaś zrobić to już dawno temu, zawsze możesz. To jest też twój dom.

Spuściłam wzrok.

– Nie sądzę.

– Ależ tak.

Milczałam. Całe zapał i odwaga gdzieś wyparowały. Najchętniej pożegnałabym się, ale skoro już pokonałam tę drogę, ucieczka byłaby głupia i śmieszna.

– Przejdźmy do pokoju, będzie nam wygodniej – ojciec zaprosił mnie gestem ręki, przepuścił w drzwiach i ruszył za mną.

Po drodze zabraliśmy filiżanki z kawą i papierosy. W salonie usiedliśmy w fotelach, niedużych, za to bardzo wygodnych. Okna nie miały firan, tylko szare zasłony, za nimi roztaczał się widok na morze.

– Powiedz szczerze, przyszłaś z jakąś sprawą? Bo nie robię sobie nadziei, że tak po prostu do mnie.

Milczałam przez chwilę. Ojciec wydał mi się zagubiony i samotny.

– Nigdy u ciebie nie byłam. Pomyślałam, że skoro już jestem w Gdańsku, mogę cię odwiedzić. To było spontaniczne.

Popatrzył uważnie i lekko się uśmiechnął.

– Cieszę się. I dziękuję.

Zapadła cisza. Robert przysunął bliżej mnie espresso, szklankę z wodą i cukier. Wokół rozchodził się aromat kawy.

– Chciałabym cię o coś zapytać. To ma związek z dziadkiem.

– A jednak jest sprawa.

– Gdybym zamierzała tylko zadać ci pytanie, zrobiłabym to przez telefon. Nie fatygowałabym się.

– Przepraszam.

– Przyjechałam, bo chciałam się z tobą spotkać. Pytanie przyszło mi do głowy teraz i wcale nie muszę go zadawać.

Znów zapadło milczenie. Ojciec patrzył na mnie pytająco.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Może coś o tym wiesz? Spotkałam niedawno mężczyznę, nazywa się Marek Lang – na chwilę zawiesiłam głos. Miałam wrażenie, że ojciec poruszył się niespokojnie. – Coś ci mówi to nazwisko?

– Nie. Dlaczego tak uważasz?

– Wydawało mi się... Nieważne – machnęłam ręką. – A więc on powiedział, że jako chłopak padł ofiarą właściciela warzywniaka, który podobno prześladował go za żydowskie pochodzenie, poniżał na każdym kroku, aż w końcu dorwał go w lesie i tak się nad nim znęcał, że chyba by go zabił. Przeszkodził mu w tym dziadek. Akurat przejeżdżał na rowerze i gdy tylko zobaczył, co się dzieje, rzucił rower i obronił dzieciaka. Chłopak uciekł. Dzisiaj twierdzi, że nie wie, co wydarzyło się później. Jedno jest pewne: właściciel warzywniaka zniknął i ślad po nim zaginął.

– Pamiętam. I ten sklep, i sprzedawcę – Robert poprawił się na krześle. – Miał wąskie oczka i palce jak parówki, zawsze wydawał mi się lepki, dlatego nie lubiłem u niego kupować. Generalnie podejrzany typ. Po jego zniknięciu trwały przez pewien czas poszukiwania, rzeczywiście się nie odnalazł i w końcu warzywniak zamknięto. Co do reszty, nie wiem, co powiedzieć. Historia niesamowita, ale nie masz pewności, że jest prawdziwa.

– No tak, właściwie masz rację – zastanowiłam się przez chwilę. – Ale... on brzmiał bardzo wiarygodnie. Myślisz, że dziadek Albert miał coś wspólnego ze zniknięciem sprzedawcy z warzywniaka?

Na twarzy ojca nie drgnął nawet jeden mięsień. Przez chwilę milczał, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Wiesz, co o tym sądzę? To piękne, że Albert pomagał chłopcu żydowskiego pochodzenia. Cała reszta może być zmyślona.

– Naprawdę tak uważasz? W jakim celu ten człowiek miałby kłamać? – zachnęłam się. – Myślę, że dziadek na punkcie czyjejś krzywdy mógł mieć obsesję.

– Ale nie aż tak dużą, żeby kogoś zabić.

– Nie wiem. Nie umiem tego ocenić. Być może w takiej sprawie mógł. Kiedyś myślałam, że nie, ale po tym, co teraz wiem... Dziadek sam został okrutnie

skrzywdzony... – nabrałam powietrza. – Kilka dni temu odkryłam, że był więźniem Auschwitz. Nie mogę przestać o tym myśleć.

– Ach tak – Robert nie wydawał się tym zaskoczony. – Naprawdę?

Przyjrzałam się ojcu badawczo.

– Wiedziałaś.

– Tak. Ale chyba bardziej się domyśliłem.

– Niesamowite. Ty wiedziałaś, a mama i ja nie. Jak to?

– Wybacz. Prosił mnie, żebym nikomu nie mówił. Nawet nie pamiętam dokładnie, jak to się stało. To było dawno temu. Rozmawialiśmy przy okazji obchodów wyzwolenia Auschwitz o tym, jak nazizm zatrął ludzkie umysły. Wiesz, jak lubiliśmy dyskutować, czasem się spierać. W telewizji nadawano program o Auschwitz i on wtedy powiedział: „W moim baraku...”. Natychmiast zaczął się z tego wycofywać, ale było już za późno. Pod wpływem emocji, które ożyły, gdy zobaczył kadry z obozu w telewizji, zdradził swoją pilnie strzeżoną tajemnicę. Zapytałem, dlaczego to ukrywa. Odparł, że chciał zamknąć tamto życie i nigdy do niego nie wracać. Uszanowałem to, nie pytałem o nic więcej, on też nie mówił. Uznaliśmy temat za zakończony.

– Niebywałe. A my żyliśmy w niewiedzy. To nie jest w porządku.

– Dlaczego? Przecież to nie tak, że powiedział o tym specjalnie tylko mnie, a was pominął. I miał prawo do milczenia. Przeżył coś, jak się domyślam, potwornego i nie chciał o tym rozmawiać – ojciec zamilkł, by po chwili wrócić do urwanej myśli. – Mógł przecież być jednym z byłych więźniów, którzy opisują, opowiadają, udzielają wywiadów. To ma ogromną wartość w kontekście historycznej, zbiorowej pamięci. Ale trzeba uszanować, że ktoś po ciężkiej traumie chciał się schować, mieć święty spokój.

– Wiedziałaś również o tym, że wyprowadził z obozu dziewczynę?

– Nie... Wiedziałem tylko, że tam był. Nic więcej – Robert otworzył szeroko oczy i pokręcił głową. – Jak to? Naprawdę wyprowadził dziewczynę? Przecież o takich wydarzeniach mówi się głośno, trąbi na cały świat.

– Właśnie. Ale dziadek nie chciał. Dokonał wielkiej rzeczy i nie chciał o tym mówić. Zostawił spisane wspomnienia, stąd o tym wiemy. W przebraniu esesmana wyszedł z obozu, prowadząc przed sobą dziewczynę, w której kochał się jeszcze przed wojną.

– Jestem w szoku. Naprawdę! Totalnie mnie zaskoczyłaś.

– Też nie mogę się z tym oswoić – wyznałam szczerze.

– Nie wiem, co powiedzieć. Wielka szkoda, że nie poinformował o tym wcześniej.

– Zdawałaś sobie sprawę, że nazywał się inaczej?

– Inaczej? Nie... Jak to???



- Janek Walicki. To jego prawdziwe imię i nazwisko.
- Teraz to już mnie zastrzeżę.
- Wyjaśnił w liście, że zmienił nazwisko, bo chciał odciąć się od przeszłości.
- Lena, sprawdziłaś to jakoś?
- Nie. Jak? Gdzie mam szukać? I czego? Starych dokumentów? Wątpię, żebym cokolwiek znalazła. I właściwie po co?

Patrzeliśmy na siebie w milczeniu. Ojciec zapalił papierosa i zniknął w chmurze szarego dymu.

– Przepraszam, nie zapytałem, czy mogę. Może też masz ochotę? – zreflektował się i otworzył okno.

– Nie, dziękuję. Nie wiedziałam, że palisz.

– Tylko czasami. A wracając do Alberta... nie mogę wyjść z podziwu. I totalnego zaskoczenia – zaciągnął się ponownie. – Ale to był wyjątkowy człowiek. Od niego było coś trudnego do nazwania, coś, czego ludzie na ogół nie mają. Każdy myśli przede wszystkim o sobie, on myślał o całym świecie. Pomógł wielu ludziom.

– Tak. Masz rację. To cały dziadek Albert – zgodziłam się z nim.

– Słuchaj, słuchaj... – wstał podekscytowany i zaczął chodzić po pokoju. – Może zdecydujesz się jego wspomnienia opublikować?

– To, co napisał?

– Tak.

– Mówisz podobnie jak Louis.

– No widzisz. Zastanów się nad tym.

– Dziadek nie zostawił pisemnej zgody.

– Ale wszystko opisał dla was – to oczywiste, ale może też po to, by wreszcie opowiedzieć o tym świecie – ojciec usiadł, by po chwili znów wstać, jakby nie mógł wytrzymać w jednym miejscu.

– Jakbym słyszała Louisa.

– Sądzi podobnie. To znak. Powiedz, czy czujesz się na siłach, by to opracować i wydać? Mówię poważnie i mogę ci w tym pomóc.

– Nie wiem. Za wcześniej, żebym mogła teraz o tym myśleć.

– Zastanów się nad tym.

– Może za jakiś czas. Teraz to ostatnia rzecz, o której myślę.

– Oczywiście – zgodził się, a widząc moje niepewne spojrzenie, dodał: – Przecież ja tylko poddaję pomysł.

– Tak, dziękuję.

– A co do tego mężczyzny... chłopaka, to tak stara sprawa, że nie warto do niej wracać i rozbierać jej na czynniki pierwsze – posłał mi znaczące spojrzenie. – Chwała Albertowi, że pomógł nękanemu dzieciakowi, ale on na pewno tego

sprzedawcy nie zabił. Nie skrzywdziłby muchy, wiesz o tym dobrze. Jeśli wtedy, w tym lesie, cokolwiek się stało, to był to wypadek. Zostaw to tak, jak jest.

Urwał, a ja pomyślałam, jakie to dziwne – nagle, po latach znaleźć się u ojca, rozmawiać z nim, pić kawę i słuchać jego rad. Tak długo unikałam z nim kontaktu, uśmierając w ten sposób ból, nigdy jednak nie przestałam za nim tęsknić.

I oto znalazłam się w jego mieszkaniu, patrzyłam, jak krąży po pokoju z papierosem albo filizanką w dłoni. Zamierzał w końcu usiąść, gdy zadzwonił telefon. Wyszedł z salonu, dając mi ręką znak, żebym poczekała, po czym w sąsiednim pokoju prowadził z kimś rozmowę. Ogarnęły mnie wspomnienia. Przez moment, jak w dobrym śnie, miałam wrażenie, że to nigdy się nie wydarzyło, on nie odszedł i rodzice wciąż są razem. Byłam jednak w obcej kuchni, obcym mieszkaniu, mimo że należało do niego.

Rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty. Gwiazdka. Kartka z bałwanem i reniferem. A potem druga na Nowy Rok. Po jednej stronie szampan wylewający się z kieliszków, po drugiej kolorowe fajerwerki. Gdyby wtedy stanął w drzwiach, byłabym najszcześniejszą z córek. A moja matka najszcześniejszą z żon. Wrócił pod koniec stycznia z kolejnej dziennikarskiej wyprawy, z kolejnym materiałem na film dokumentalny, tym razem o Afryce. Zawsze po dłuższej nieobecności w domu musiał uczyć się od nowa w nim żyć, do wszystkiego przyzwyczajając, do noży w prawej szufladzie od okna i kubków w lewej szafce z magnezem, który przywiózł z poprzedniej podróży filmowej do Włoch. Nie chciałam prezentów, tej całej góry niespodzianek, oddałabym je wszystkie w zamian za to, aby nigdzie nie wyjeżdżał, został z nami w domu. Jego jednak coś gnało w świat, jakaś tęsknota za czymś, czego – będąc z nami – nigdy by nie miał. Mama mówiła kiedyś, że po tym związku zostały w niej pamięć o miłości i rysa.

Oczekiwałam od niego wyjaśnienia, które pomoże mi wreszcie wszystko sobie poukładać. Czegoś, co będzie inne od stereotypowych tłumaczeń dojrzałego mężczyzny, który poczuł, że pociąg odjechał, a on został na peronie i musi zrobić wszystko, by w biegu wskoczyć do innego, lepszego, pędzącego wprost w samo centrum nieziemskiej ekscytacji.

– Tato – usłyszałam swój głos i zobaczyłam, że na dźwięk tego słowa Robert drgnął. – Powiedz mi, co wtedy się stało. Dlaczego wyjechałeś?

Chciałam poczuć ulgę, zamiast niej zaczął narastać we mnie gniew. Robert wyglądał jak skulony pod ciosem. Doskonale wiedział, że to pytanie kiedyś padnie, ale było chyba ostatnim, którego się teraz spodziewał.

– Widzę, że to trudny dzień dla mnie. Nie jestem pewien, czy chcę o tym rozmawiać – odparł wymijająco.

– A nie przyszło ci do głowy, że dla mnie trudne były całe lata? Nie myślałeś o tym, co czuję?

– Myślałem.

– Nieprawda – czułam, jak rośnie we mnie wzburzenie. – Nic cię to nie obchodziło. Więc teraz jesteś mi winien chociaż wyjaśnienie.

– Posłuchaj. Uspokój się – próbował ukryć zakłopotanie. – Teraz nie umiem tego wytłumaczyć. Wtedy tak zdecydowałem.

– I nie potrafisz tego wyjaśnić nawet teraz?

– Nie.

– Odwiedzałeś nas w weekendy, żeby uciszyć wyrzuty sumienia?

– Przyjeżdżałem, bo chciałem was widzieć.

– A mama. Mówiłeś, że jest miłością twojego życia.

– Bo jest.

– Tato???

Robert wstał i podszedł do barku. Wyjął butelkę czerwonego wina i sięgnął do szafki po kieliszki. Postawił je na stole.

– Napijesz się?

– Nie ma jeszcze południa.

– Jakie to ma znaczenie?

– Ma. Ale tak, poproszę.

– Naprawdę chcesz tej rozmowy teraz? Rozdrapywania ran?

– Chcę odpowiedzi. Nigdy jej nie usłyszałam.

Robert nalał wina do kieliszków i wypił solidny łyk, zamknął oczy, jakby rozkoszował się jego smakiem albo ważył słowa, które za chwilę wypłyną z jego ust.

– Spróbuj, wino ma ciekawy smak – wyjaśnił. – Pytaj. O co chcesz.

– Mama.

– Mama?

– Chcę usłyszeć coś o mamie.

– Laura... Nie wiem, co powiedzieć.

– To, co przychodzi ci do głowy. Pierwsza myśl.

– Morze, które widzisz przez okno, czasem piękne, a czasem niebezpieczne.

– Mama jest niebezpieczna?

– Kochałem twoją matkę. Jest cudowna. Ale nie umiałem żyć z jej doskonałością, każdego dnia się z tym mierzyć, z jej sztuką, światem, do którego nie miałem dostępu i którego nie rozumiałem. Byłem poza nim. Byłem z nią, ale nigdy nie miałem jej w pełni.

– Nie wiedziałam, że miłość polega na tym, żeby mieć kogoś w pełni – zachnęłam się.

– Tak, masz rację, lecz wtedy nie potrafiłem tego ogarnąć. I tak wyszło.

– A nie pomyślałeś o mnie?

- Myślałem każdego dnia.
- Lecz to nie było na tyle silne, by zostać.
- To nie tak... Ja...

– A jak? Jak? Powiedz – przerwałam zniecierpliwiona.

Zastanawiał się przez chwilę. Dolał sobie wina. Wypił od razu połowę kieliszka. Zapalił kolejnego papierosa.

– Możemy o tym nie mówić? To już przeszłość.

– Ale wciąż boli.

– Olga... matka Michała, dała mi normalność, taką prostą zwyczajność. Wtedy poczułem się jak w domu, przyjąłem to z ulgą.

– A u nas nie było ci jak w domu? Przecież sam nie wierzysz w to, co mówisz – cała się teraz trzęsłam.

– Nie wiem. Czasem tak, czasem nie. Ale kochałem Laurę. Była bardzo ważna w moim życiu. Jest. Od dwunastu lat mieszkam sam. Z Olgą rozstałem się dość szybko. To wszystko. Tak wyszło.

– Nigdy tego nie zrozumie, tato.

Omijał mnie wzrokiem, nie chciał, by nasze oczy się spotkały, a ja myślałam o tym, że historia miłosna z jego nową kobietą i iluzją lepszego życia nie była warta zburzenia tego, co mieliśmy, ani tego, że latami bolały ciało i złamane serce.

Laura powiedziała kiedyś, że w każdym człowieku drzemie druga natura, mroczna strona i cała sztuka polega na tym, by stale wydobywać z siebie tę jaśniejszą, lepszą, kochać za to, co się widzi z zamkniętymi oczami, albo za to, co się czuje, kiedy druga osoba milczy. Dobrze zapamiętałam te słowa. Mama wyjaśniła, że to stara modlitwa indiańska, którą Robert, chyba największy na świecie fan kultury i mądrości Indian, spisał dla niej, kiedy się poznali. Dalszy ciąg modlitwy brzmiał: „To samo zrobię dla ciebie, wędrując u twego boku, a jeśli będziesz ze mną, nauczę cię latać, a ty nauczysz mnie pozostać”.

– Jaka ona była? Wtedy, kiedy się poznaliście? – odezwałam się nagle.

– Lena...

– Powiedz. Przecież musisz mieć w pamięci jej obraz – wypłam kilka łyków wina, co dodało mi jeszcze większej odwagi. – Tylko nie mów formułkami, ogólnikami. Powiedz coś prawdziwego.

Spojrzał na mnie z powagą. Odchylił się na krześle. Zagryzł usta.

– Dużo wymagasz. Ale dobrze. Spróbuję, chociaż łatwiej mi pisać, niż mówić. Pamiętam wszystko doskonale, Lena – wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać, starannie dobierając słowa: – Laura. Wychodziła ze sklepu, prawie na nią wpadłem. Jasna cholera, pomyślałem, co się dzieje. Była tu i teraz, z krwi i kości, a jednocześnie jakby nie stąpała po ziemi, bo ona nie szła, tylko unosiła się nad chodnikiem. Pomyślałem, że oto zobaczyłem anioła – delikatnie uśmiechnął się do

wspomnień. – Sprawiała, że patrząc na nią, czułem, że pocał mi się ręce, jestem rozproszony. Jej wzrok prześlizgnął się po mnie, zarejestrował moją postać, ale nie zatrzymał się na dłużej. Poszła przed siebie, a ja nie byłem w stanie wykonać żadnego ruchu, stałem oniemiały. Nawet nie wiem, jak była ubrana, pamiętam tylko piękną twarz.

Przełknęłam ślinę. Bałam się odezwać, by nie spłoszyć chwili. Jeszcze kilka minut temu chciałam mu wykrzyczeć pytanie, czy zdaje sobie choć w części sprawę, jak bardzo samotna może się czuć siedemnastolatka, jaką może mieć wokół siebie pustkę. Lecz teraz, gdy powiedział te wszystkie słowa o matce, myślałam tylko o tym, że w głębi duszy on chyba nadal ją kocha.

– Mogłeś zostać, tato – powiedziałam przez łzy. – Ona kochała cię ze wszystkim, co masz. Mówi się, że takie kobiety albo kochają, albo odchodzą, zostawiając za sobą kurz. Mama do nich należy, ale ciebie by nie zostawiła. Nigdy. Wbrew pozorom to silna kobieta.

– Wiem.

– Powiedz. Dlaczego odszedłeś? Tak naprawdę.

– Złożyło się na to kilka rzeczy – znów westchnął i zdusił papierosa w popielniczce. – Trudno o tym mówić teraz.

– Zrozum, muszę to wiedzieć – spojrzałam mu prosto w oczy. – By dalej żyć.

Wstał i przysunął fotel w moją stronę tak, by usiąść dokładnie naprzeciw mnie. Patrzył poważnie.

– Nie wiem. Chyba wydawało mi się, że jestem zakochany w kimś innym. Zapragnąłem nowego życia. Pociągnęło mnie w inną stronę.

– Znudziłeś się?

– Nie...

– Nie miałeś nudnego życia z mamą.

Zamilkłam. Kątem oka zobaczyłam, że mój ojciec chce coś powiedzieć i próbuje ukryć zakłopotanie.

– Laura była i jest nadzwyczajną osobą. Wolną duszą, której nie można oswoić ani zamknąć w klatce.

– Chciałabym być taka jak ona. Mama to prawdziwa kobieta, tato. Sam mówiłeś, że jest uosobieniem boskiej równowagi, zmienna, nawet po pięć razy każdego dnia, ale w sumie taka sama, bo wszystko się równoważy. To twoje słowa. Zapamiętałam je.

– Tak mówiłem?

– Tak. I że nigdy nie można się z nią nudzić, że nie spotkałeś takiej drugiej.

– To potwierdzam.

– Powiem ci coś. Przez te lata sporo przeczytałam. Szukałam odpowiedzi. Musiałam wziąć skądś moc dla siebie.

– Nie wiedziałem. Przepraszam.

– Nie wiedziałeś? Tak trudno się domyślić? I wiesz co? Dowiedziałam się o sobie, że wcale nie urodziłam się silna. Taką siebie stworzyłam i stwarzam nadal – wyznałam. – Musiałam walczyć o siebie. Mama miała podobnie. Bywało, że pogrążała się w mroku, ale zawsze z niego wychodziła. Rezultat jest taki, że nie musi szukać niczego poza sobą, by wypełnić pustkę. Uważam to za sukces. Jestem z niej dumna. I z siebie też.

Ojciec patrzył na mnie i milczał. W dłoni trzymał kolejnego papierosa, jego palce drżały, popiół osypywał się na podłogę.

– Chcę być tak silna jak ona, wiesz? – ciągnęłam. – Bo ona nie potrzebuje potwierdzenia od nikogo, by być, kim jest. I to jest niezwykle. To jest moc, której ty się bałeś, tato.

W salonie zapadła cisza. Siedziałam na krześle, naprzeciw ojca i czułam się trochę jak wtedy, gdy szlochałam sama, po cichu, bo przy mamie trzymałam fason, musiałam być silna za nas obie. Leżałam w wannie, a szum wody zagłuszał mój płacz, albo siedziałam zamknięta w swoim pokoju, tracąc poczucie czasu. Czy mój ojciec wiedział, że tak to przeżywałam? Być może. Bardziej prawdopodobne jednak było to, że nawet się tego nie domyślał.

– Właściwie nie wiem, po co przyjechałam – zachnęłam się – Chyba po to, by ci o tym powiedzieć.

– Lena, proszę.

– Prosisz? Tato, o co? Żeby nigdy nie rozmawiać? Ja czekam na to od lat. Jesteś mi to winien – byłam coraz bardziej wzburzona. – Myślisz, że było mi łatwo podjąć decyzję o tym, żeby do ciebie przyjechać? Dla mnie to jedno z najtrudniejszych spotkań.

Kątem oka zobaczyłam, że Robert jest poruszony, pali kolejnego papierosa, a fason, który starał się trzymać od początku mojej niezapowiedzianej wizyty, ulatuje z każdym moim słowem.

– Przypomnij sobie wszystkie momenty, gdy mama miała złamane serce. Ale wiesz? Ona się z tego podniosła. I teraz, nawet jeśli ktoś ją złamie, to tylko na chwilę.

– Przestań, Lena.

– Dlaczego nie chciałeś takiej kobiety, tato? – ciągnęłam dalej. – Wolaleś inne, tylko nie ją?

– Lena, dość.

– Nie. Powiem. Wreszcie. Nie mówiłam przez siedemnaście lat. Mam już trzydzieści cztery i nie możesz mi niczego zabronić.

Pochylił głowę. Pierwszy raz widziałam, jak ojciec się kurczy, stara się zmniejszyć do rozmiarów szpilki, by w końcu zniknąć.

– Mama... Laura była twoim światłem w najciemniejszych dniach. Nie zaprzeczysz, pamiętam to dobrze. Była ramieniem, na którym wiele razy się opierałaś. Ona była twoją inspiracją. Gdyby nie ona, nigdy nie odbyłbyś swoich podróży, które były dla ciebie cenniejsze od niej. Ode mnie. Ale wiesz co? Nie dbam już o to. Wybaczyłam ci. A ona ma na sobie blizny bitewne, ale przytuliła je i oswoiła. Chciałam tylko o tym powiedzieć – wyprostowałam się dumnie. – Jeśli znajdziesz w życiu drugą taką kobietę, to ją zatrzymaj.

Urwałam zaskoczona swoją przemową. Czułam wypieki na twarzy.

– Pójdę już. Dziękuję za śniadanie.

Wstał i ogarnął mnie ramieniem.

– Nie wiem, co powiedzieć. Lepiej już nic nie powiem – spojrzał na mnie, a ja zobaczyłam w jego oczach miłość. – Jesteś nadzwyczajną młodą kobietą. Cieszę się, że piszesz. Jestem z ciebie dumny. Jesteś uparta, to dobrze.

„Mam to po tobie”, chciałam powiedzieć, lecz ucisk w gardle był tak mocny, że nie mogłam wydusić słowa.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu nieswoim głosem. – Do widzenia, tato.

– Do widzenia. Dobrze, że byłaś. Zadzwoń czasem do starego ojca. Nie traćmy kontaktu.

Otworzył przede mną wielkie białe drzwi i nagle się zatrzymał.

– Chciałem być dobrym ojcem. Staralem się.

Zamarłam. Wiedziałam, że muszę jakoś zareagować, nie miałam jednak pewności, czy będę w stanie.

– Byłeś dobrym ojcem – mój głos zadrżał. – Miałam wspaniałe dzieciństwo. Skończyło się, kiedy się wyprowadziłeś i wszystko było inaczej.

Jechałam windą na dół i myślałam, że nasze pożegnanie było jednym z tych momentów, gdy znów mogłabym wdrapać się na jego kolana i stukać w klawisze jego maszyny do pisania, mocno i gorliwie, aż do bólu palców. Albo popędzić z nim na bagna i rozlewiska, kiedy zimą ścisnęły mróz i lód. Usiąść na sankach i czuć smaganie wiatru na twarzy, podczas gdy on, trzymając sznurek, biegł przed siebie, ciągnąc mnie na sankach, odwracał się co kilka metrów roześmiany, z policzkami czerwonymi od mrozu, w czapce, która nie zakrywała jego czoła i uszu. Mogłabym wysłuchać po raz setny opowieści, gdy w czasach studenckich siarczyste mrozy dochodziły do minus trzydziestu stopni, a on szedł w podobnej czapce ze stacji kolejowej do domu i odmroził sobie uszy, które w zderzeniu z domowym ciepłem obwisły i zrobiły się sine. Znów sobie wyobrażać, jak tata idzie, a jego uszy kłapią, śmiać się z nim z tego do łez. Albo puścić na wodę łódki miniaturki, które rzeźbił dla mnie z kawałków kory drzew. Znów posłuchać, jak mówi, że warto pisać. Chwytać chwile i zapisywać je tak, jak je widzimy. Swoją wizję świata.

Wciąż mam prezenty, które przysyłał mi na każde urodziny. Głównie książki, notesy, pióra. W domu wciąż stoi jego maszyna do pisania marki Mercedes sprzed prawie stu lat. I biurko. Byłam pewna, że zostawił je specjalnie dla mnie. Podobnie jak stos białych kartek, które nigdy nie zostały zapisane.



– Znalazłam list.

– Jaki list?

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Mamo? Halo?

Rozłączyłam się i ponownie wybrałam numer matki. Byłam znów w pensjonacie Róża Wiatrów, za sobą miałam spotkanie z ojcem i wywiad z aktorką, teraz mogłam się rozkoszować widokiem przyrody i ciszą, którą przeszywał jedynie wrzask ptaków. Przede mną na okrągłym stoliku stał kubek czarnej herbaty, a na talerzu leżała wielka kanapka, którą kupiłam w Gdańsku, czekając na autobus. Pomyślałam, że w pensjonacie nie wszędzie jest zasięg, próbowałam dodzwonić się z różnych kątów pokoju, zmieniałam miejsce z kanapy na krzesło pod oknem, ostatecznie wyszłam na taras.

– Mamo? Słyszysz mnie?

Po drugiej stronie znów cisza. A przecież usłyszałam wyraźnie, że Laura odebrała połączenie.

– Znalazłam list – powtórzyła Laura. – Dlaczego zachowujesz się, jakbyś nie słyszała, co mówię?

– Słyszę, mamo. U ciebie była cisza. Jaki list?

– Tak, list.

– Nic nie rozumiem. Od kogo?

– Ona przeżyła.

– Kto?

– Sara.

– Mamo... Nie żartuj.

– Lena... Daleko mi do żartów.

– No przecież to niemożliwe.

– A jednak. Mam w ręku list.

– Nic nie rozumiem. Od kogo ten list? Możesz powiedzieć?

Chwila ciszy po drugiej stronie była nie do zniesienia. Trzeba przyznać, że Laura potrafiła budować napięcie.

– List napisała Sara – oznajmiła Laura drżącym głosem. – Sara Rawicz. Do twojego dziadka.

Zamurowało mnie. Szybko jednak odzyskałam przytomność umysłu.

– Skąd przypuszczenie, że ona żyje? Przecież mogła napisać w Grębowie, zanim... zanim zginęła. Może coś przeczuwała, gdy została tam sama, i postanowiła napisać list, który dziadek znalazł, gdy po nią przyjechał.

– Nie, Leno. Napisała dużo później.

– Jest na nim data?

– Tak. Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty rok. Na kopercie stempel. Toronto, Ontario, Kanada – Laura była bardzo przejęta.

Poczułam, że moje serce zaczyna bić szybciej i mocniej. Nabrałam powietrza.

– Ale przecież dziadek nigdy jej nie odnalazł. Ona spłonęła w szopie.

– No właśnie w tym rzecz, że nie spłonęła. Świadczy o tym ten list.

Ponownie nabrałam powietrza.

– Gdzie go znalazłaś? – zapytałam ostrożnie.

– W jego rzeczach w piwnicy. Robiłam tam lekkie porządki, coś układałam, wyrzucałam rupiecie, wiesz, czasem człowieka coś nachodzi, gdy jest w domu sam – Laura zrobiła pauzę.

– Mamo, w jakich rzeczach?

– W stosie gazet na makulaturę.

– Zamierzał wyrzucić list od Sary?

– Może ukrył go tam i o nim zapomniał.

– Niemożliwe... Naprawdę? I ten list przez cały czas był w domu? – dociekałam.

– Czy coś jeszcze znalazłaś oprócz listu?

– Nie. Myślałam, że znajdę jakieś fotografie, może jej... Sary, ale nie, jedynie list.

– I to wszystko?

– Tak. Ale to i tak wystarczająco dużo. Jak dla mnie zbyt wiele. List przeczytasz jutro.

– Mamo, to jest tak nieprawdopodobne...

– Takie się wydaje, ale list jest prawdziwy.

– A może to pomyłka. Skąd pewność, że pisała go ona? Być może napisał go ktoś inny tak, jakby pisała Sara. Nie wiemy tego. W takich sprawach trzeba być bardzo ostrożnym.

– Nie sądzę – weszła mi w słowo Laura. – Po co miałyby ktoś inny pisać pięćdziesiąt lat po wojnie? Dla żartu? Nie. Poczekaj... coś ci przeczytam, posłuchaj: „Janku, myślałam, że nie żyjesz”.

Zapadło milczenie, pełne napięcia i pytań, na które trudno znaleźć odpowiedzi.

– Czy to możliwe.... Czy to w ogóle jest możliwe?

– Od godziny sama zadaję sobie to pytanie – głos Laury się załamał. – Zaczekaj. Muszę się uspokoić.

– Mamo, ty znów płaczesz.

– Nie, nie płaczę. Chyba mam jakiś kryzys. Zaraz przejdzie.

– Co mogę zrobić?

– Nic, zaraz, poczekaj. Daj mi chwilę.

Byłam pewna, że w tym momencie moja matka połyka łzy. Oczyma wyobraźni widziałam ją skuloną, zapłakaną, szukającą chusteczki.

– Mamo, błagam, uspokój się. Jedź może do pani Elizy. Nie siedź w domu sama. Ja wrócę jutro przed południem.

– Nie, zostanę tutaj. Nie zniosłabym teraz gadania Elizy Berg.

– Odłóż ten list, proszę. Połóż się spać. A jutro przeczytamy go razem. To jakaś dziwna sprawa. Nie wiem, kto go napisał i w jakim celu, bo Sara nie przeżyła, dziadek wyraźnie przekazał nam, że stracił ją na zawsze. Przecież szukał jej po wojnie przez Polski Czerwony Krzyż. Nigdy się nie odnalazła. Uspokój się, mamo, proszę cię.

– A jednak. Przeżyła – odezwała się Laura już trochę spokojniejszym głosem. – Tylko dlaczego mój ojciec nic o tym nie wspomniał w swoich wspomnieniach albo w listach?

– Widocznie uznał, że to już jest inna historia. Może odnalezienie Sary po latach nie miało już dla niego znaczenia. Przecież przeżył całe życie z Klarą, bardzo ją kochał. A swoimi wspomnieniami chciał zrzucić z siebie cały ciężar przeszłości, tamtego życia, powiedzieć nam, kim jest. To wszystko.

Zapadła cisza. Dopiero po dłuższej chwili milczenia usłyszałam od Laury to, o czym myślałam niemal od początku naszej rozmowy.

– A jeśli ona nadal żyje?

– Czy to powinno nas obchodzić, mamo? – próbowałam zbagatelizować jej pytanie, lecz stałam na drżących nogach w obawie przed tym, co jeszcze może nas spotkać. – Przecież to przeszłość dziadka.

– Tak. Masz rację – przyznała Laura, a jej głos był już bardziej spokojny.

– Odkładam list i czekam na ciebie.

Po skończonej rozmowie nie myślałam o niczym innym, tylko o tajemniczym liście od Sary. Czy rzeczywiście jest możliwe, żeby żyła gdzieś w świecie i po latach przysłała list? Zdawałam sobie sprawę, że matką targają skrajne emocje, bo po przeczytaniu wspomnień dziadka poczuła sympatię do młodej Sary i jednocześnie nie mogła znieść, że ich miłość w ogóle się wydarzyła. A teraz spadła na nią wiadomość, że Sara przeżyła i korespondowała z jej ojcem.

– Czy to w ogóle jest możliwe? – powiedziałam na głos i w tym samym momencie przyszedł mi do głowy pomysł.

Włączyłam laptop i czekając, aż się uruchomi, ugryzłam spory kęs kanapki. Byłam głodna, wyczerpujący dzień dał o sobie znać.

Trochę drżałam na samą myśl o tym, co zamierzam zrobić. Ale ciekawość była silniejsza.

Sara Rawicz.

Postanowiłam, że jeśli rzeczywiście przeżyła wojnę i jest gdzieś w świecie, spróbuję ją odnaleźć. Weszłam na portale społecznościowe. Pojawiło się dziesięć kobiet o nazwisku Sara Rawicz. Wszystkie młode, mieszkające w Los Angeles, Dubaju, Pakistanie.

Rawicz. Zadałam sobie pytanie, dlaczego szukam kobiety o nazwisku Rawicz. Przecież ona najprawdopodobniej nazywa się całkiem inaczej. Na pewno wyszła za mąż, jej dzieci i wnuki też noszą inne nazwisko. A może... wcale nie zmieniła nazwiska, bo miała nadzieję, że Janek Walicki kiedyś ją odnajdzie? Tak czy inaczej, postanowiłam szukać jej gdzie indziej. Zaczęłam wpisywać kolejno nazwy stron i grup związanych z drugą wojną, obozami koncentracyjnymi, Polonią rozsypaną po świecie.

Napisałam zgrabną treść: „Szukam kobiety o nazwisku Sara Rawicz, podczas wojny młodej dziewczyny, więźniarki obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, z którego uwolnił ją Jan Walicki. Będę wdzięczna za kontakt, za każdy trop”.

Informację zamieściłam na stronie amerykańskiej Polonii i forum dyskusyjnym o Auschwitz, stronie muzeum obozu koncentracyjnego, portalu ludzi, którzy szukają swoich bliskich zagubionych w czasie wojny, oraz na różnych polonijnych forach, w kilku grupach o tematyce wojennej, historycznej, poświęconej obozom zagłady. Treść napisałam też w języku angielskim, bo skoro istnieje prawdopodobieństwo, że Sara mieszka w Kanadzie, jej dzieci albo wnuki być może nie znają języka polskiego, a to one najpewniej będą jej wiadomość odczytywać. Tego, że Sara Rawicz, obecnie kobieta licząca ponad osiemdziesiąt lat, może mieć swoje konto, raczej nie brałam pod uwagę. Nie miałam też zbytnej nadziei, że na wysłaną wiadomość otrzymam jakąkolwiek odpowiedź.

Wieczór spędziłam na jedzeniu kanapki w pokoju hotelowym i surfowaniu po internecie. Połączenie było słabe, co chwila się zrywało, sprawdzenie czy przeczytanie czegokolwiek trwało wieki.

Odpowiedziałam na SMS od Louisa, który pisał, mimo że przyrzekł milczenie. *Tak, wszystko w porządku, wracam jutro do domu, nie martw się, Lena.*

Piotr milczał. Poczułam lekkie ukłucie, ale przecież tego chciałam – spokoju, przestrzeni do przemyśleń, więc mi to dał.

Niecierpliwie czekałam na wiadomość w sprawie Sary Rawicz, ze świadomością, że może nigdy nie nadejść.

Za oknem wisiała idealnie okrągła księżycowa kula. Była pełnia. Wyszłam na taras. Czułam, że ta noc jest w moim życiu przełomowa. Myślałam o wietrze na wyspie, na której się wychowałam. O skale, na którą zawsze chciałam wejść. O domu rodzinnym, który nigdy nie może zostać sprzedany. O białych różach kwitnących dla Klary. O gołębiu, pięknym ptaku z piórami w kolorze najczystszej bieli patrzącym w moje oczy jak ktoś, kto się troszczy i chce się przekonać, czy jestem szczęśliwa i jak wygląda moje życie. Nie umiałam powiedzieć, skąd wzięły się w mojej głowie myśli, które zatrwożyły mnie na tyle, że nie mogłam spokojnie oddychać. A jeśli okażą się prawdą? I wyjdzie na jaw, kim w moim życiu i życiu mojej rodziny jest Sara Rawicz? Zadrżałam na samą myśl.

Babcia Klara i dziadek Albert mówili, że kiedyś każdy człowiek zrozumie, że wszystko, co się wydarzyło w jego życiu, było po coś, miało swój cel, każda dobra chwila i każda zła.

– Moja mała Leno, już teraz twój dzień jest nauką, zbieraniem doświadczeń, ważne, żebyś o tym wiedziała, bo im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej i piękniej możesz żyć – pewnego dnia powiedziała Klara. – Pamiętaj, że zegar gna do przodu, nigdy się nie cofa, choć czasem byśmy tego chcieli.

Poczułam napływające do oczu łzy. Klara, ta ostoja, kobieta silna mimo życiowych burz i nie wiadomo jakich jeszcze doświadczeń, o których miałam się dopiero dowiedzieć, odeszła za szybko i zbyt nagle. Wolałabym nie wiedzieć, że była nieszczęśliwa i cierpiała. Klara była na to za dobra, za prawa, za wspaniałomyślna. Poczułam ją mocno w sobie, jej serce, energię, miłość i to coś nieuchwytnego, magicznego, co miały wszystkie kobiety z domu na wyspie. Tak bardzo chciałam je dogonić. Być jak one.

Przeczuwałam, że wkrótce poznam kolejną historię, która zachwieje życiem moim i matki, być może też życiem innych ludzi, których jeszcze nawet nie znam. Coś płynęło w moim kierunku, wyczuwałam to mocno i nie mogłam już tego zatrzymać.

Koperta z listem budziła we mnie skrajne emocje, od ciekawości po strach. Jeśli list istotnie napisała Sara, to jest w nim może jej własna wersja zdarzeń. I będę mogła skonfrontować ją z opowieścią dziadka. Może znajdę wyznanie miłosne

napisane przez Sarę kilka dni przed śmiercią albo historię kobiety, która została uratowana po raz drugi i gdzieś w świecie ułożyła sobie życie.

Z zamyślenia wyrwało mnie przenikliwe zimno. Weszłam do pokoju oświetlonego księżycową poświatą. Zapaliłam lampkę na szafce, od razu zrobiło się przytulnie. Usiadłam przy stoliku, pochyliłam się nad laptopem. Niepewnie spojrzałam w ekran.

W jednej z grup ktoś polubił mój post dotyczący Sary Rawicz. Ktoś napisał komentarz z radą, żeby szukać w grupie o nazwie Holokaust. Kilka osób post udostępniło. Poza tym cisza.

Surfując po internecie, zastanawiałam się, gdzie jest teraz Sara. Jeśli przeżyła wojnę i nadal żyje, wcale nie musi mieszkać w Kanadzie, a to, że list szesnaście lat temu został stamtąd wysłany, jeszcze nic nie znaczy. Sara może mieszkać daleko, może blisko, może teraz już niczego nie pamięta, nie wie, co się wtedy wydarzyło, może ma rodzinę, dzieci, wnuki, przeżyła wspaniałe życie. Być może kiedyś nawet ją gdzieś spotkałam, mijając na ulicy w Warszawie, Paryżu, Rzymie, nie wiedząc, kim jest.

Dalsze poszukiwania w sieci zaprowadziły mnie na stronę poświęconą ludziom, którzy przeżyli obozy koncentracyjne. Hashtag #auschwitzbirkenau odkrywał ich wstrząsające relacje. Łączyło ich jedno: uwięzieni w przeszłości nigdy nie zaznali spokoju. „...o piątej rano apel, codziennie. Byłam przeraźliwie chuda, mama popychała mnie, tak bym stała w pierwszym rzędzie, tam, gdzie stoją silni, zdolni do pracy. Przeżyłam...” „...Rozdzielali matki i dzieci, wszędzie było słycać krzyki i przeraźliwy płacz...” „...Trzeba było iść z podniesionymi rękami, patrzeć, jak biją nasze matki, ojców i dzieci...” „...Najgorsze doświadczenie w moim życiu to selekcja. Ten strach. Nie da się z niczym porównać...” „...Rano była czarna kawa. Wieczorem kawałek chleba i odrobina wodnistej zupy. Przez cały czas byliśmy głodni. Przez cały czas myślało się i rozmawiało o jedzeniu...” „...Jestem już stara. Każdego dnia patrzę na zdjęcia mamy i siostry. Rozmawiam z nimi. Całuję zdjęcia. Pamiętam dzień, kiedy zostały spalone, szorowałam na kolanach podłogę, esesmanka darła się, a ja połykałam łzy...” „...skazani na śmierć w komorze gazowej ustawiali się przed wejściem z napisem »łaźnia«. Dostawali kostkę mydła. W środku wieszali na hakach swoje rzeczy. Buty wiązali parami, by się nie pogubiły...” „...Jesteśmy jak eksponaty w muzeum. Ogląda się nas, słucha, często z niedowierzaniem. Ale to wydarzyło się naprawdę...” „...Nie pozwólcie, by kiedykolwiek to się powtórzyło...”.

Czytałam wstrząsające relacje i połykałam łzy.

Zobaczyłam Janka i Sarę. Wyobraziłam ich sobie, jak każdego dnia walczą w obozie o przeżycie. Wyobraziłam ją sobie w płaszczu, trochę za dużym, którym owinał ją ukochany, gdy stała na drodze i go żegnała. Patrzyła, jak odjeżdża furmanką, do samego końca, do chwili, gdy stał się punktem i zniknął. Staralam się

zobaczyć dziadka takiego, jakim był wtedy. Nie moim dziadkiem, nie ojcem Laury, tylko Jankiem, młodym, zakochanym Jankiem Walickim, dla którego nie liczyło się nic poza Sarą Rawicz, jego światłem w świecie mroku i zła.

Wstałam od stolika. Zaparzyłam sobie kubek zielonej herbaty. Znalazłam ją w szafce wśród innych herbat, cukiernicy i paczki paluszków, którą najpewniej zostawili poprzedni turyści.

Ponownie usiadłam przed ekranem. Czekałam. Forum i portale zamarły, zrobiło się późno. Wiedziałam, że nie zasnę. Będę czekać. Muszę wiedzieć. Sprawdzić. Noc była rześka, przez uchylone okno wpadał wiatr od jeziora. Przeniosłam się na łóżko, oparłam się wygodnie o poduszki. Przed sobą miałam laptop i wirtualną przestrzeń. Czekałam. Wciąż czekałam.

Drzewa za oknem przestały szumieć, wokół panowała cisza, noc zamykała oczy do snu. Poszłam do łazienki, wzięłam prysznic, ponownie sprawdziłam pocztę, przeczytałam teorie o życiu w kosmosie i końcu wszechświata, artykuły o wdzięczności i sile wybaczenia. Ktoś napisał: „To, że komuś wybaczasz, nie znaczy, że akceptujesz to, co zrobił, albo o tym zapominasz. Wybaczasz dla siebie, żeby przestać się dręczyć i ruszyć dalej”.

Zamknęłam oczy. Może to był sen. Może tylko mi się wydawało. Poczułam czyjąś energię, obecność, jakby w pokoju oprócz mnie był ktoś jeszcze.

Potem śniło mi się, że schodzę po schodach, coraz niżej i niżej. Powoli odrywam nogi od stopni i stawiam je na kolejnych. Schody zdają się nie mieć końca. Patrę w dół. Zamierzam schodzić, ale w ostatniej chwili reflektuję się, że pode mną już nie ma więcej stopni. Jest tylko przepaść. Ogarnia mnie panika, nie wiem, co zrobić. Wycofać się? Skoczyć? Oddycham głęboko. Zamykam oczy i skaczę.

Świtało. Drżałam z zimna, byłam zwinięta w kłębek, kołdra leżała na podłodze, na niej laptop, zasypiając, musiałam go zrzucić. Podniosłam się z łóżka. Sięgnęłam po niego. Spojrzałam na ekran. Przez kilka godzin nic się nie zmieniło. Nikt się nie odezwał, nie napisał. Położyłam się z powrotem na godzinę, po czym wstałam i zaczęłam zbierać swoje rzeczy. Szybko umyłam się i ubrałam. Zeszłam na śniadanie. Byłam jedynym gościem pensjonatu, który wstał tak wcześnie. Dochodziła siódma trzydzieści. Za godzinę miałam autobus do Gdańska, na dworzec, skąd odjeżdżał pociąg do Warszawy.

Wróciłam do pokoju i zbierałam się do wyjścia. Ostatnią rzeczą czekającą na zapakowanie był laptop. Już miałam włożyć go do torby, gdy nagle rozległ się dźwięk powiadomienia. Jedno głośnie kliknięcie.

Dostałam wiadomość z wydawnictwa. Sekretarz redakcji pytał, czy mogę wcześniej oddać wywiad, bo naczelna ma plan, by go opublikować w najbliższym numerze. Poczułam ulgę, a zaraz po niej rozczarowanie, że to nie wiadomość od

Sary. Odłączyłam kabel z zasilania i sięgnęłam po etui na komputer, gdy usłyszałam kolejny dźwięk powiadomienia. Błyskawicznie znalazłam się przy ekranie.

Wiadomość przysłała na prywatną skrzynkę i pochodziła ze strony Pamięć o Auschwitz. Przeszył mnie dreszcz.

Zanim ją przeczytałam, na sekundę zamknęłam oczy.

Fotografia.

Czarno-biała, z zagiętym rogiem. Ktoś ją zeskanował i przysłał. Na zdjęciu postać, chyba dziewczyny, ale nie byłam pewna. Podczas obróbki musiał wystąpić jakiś błąd i zdjęcie było zamazane. Ktoś o nazwisku John Williams właśnie napisał: *Sara Rawicz. My grandmother.*

Błyskawicznie odpisałam, że proszę o ponowne przesłanie zdjęcia, i odszukałam Johna Williamsa na portalu społecznościowym. Weszłam na jego profil. Po wpisach zorientowałam się, że nie korzysta z serwisu zbyt często, a zdjęcia rodzinne zamieszcza na jego stronie ktoś inny, jakaś młoda kobieta. Wśród zdjęć z wakacji i jedzenia pizzy albo lodów w przydrożnym barze znalazłam kilka przedstawiających całą rodzinę podczas różnych uroczystości. Starsza, elegancka kobieta i starszy, elegancki mężczyzna, a wokół nich dwóch mężczyzn i dwie kobiety, potem młodszy i maluchy. Wśród nich John. Pomyślałam, że chyba jest w moim wieku albo trochę młodszy. Portret rodziny od pradziadków do prawnuków. Moją uwagę przykuła starsza kobieta. Miała ciemne włosy i promienną twarz. Odniosłam wrażenie, że jej uśmiech rozświetlił pokój Róży Wiatrów, w którym stałam gotowa do wyjścia, myśląc, że nie mogę się spóźnić na autobus.

John Williams mieszkał w Toronto. Zerknęłam na zegarek w dolnym rogu laptopa. Pokazywał siódmą, co oznaczało, że u niego jest plus minus pierwsza w nocy.

– *Who are you?* – wyświetliło się na ekranie.

Zaraz potem przyszło po raz drugi zdjęcie. Tym razem było wyraźne.

Wstrzymałam oddech. Zakręciło mi się w głowie.

Młoda kobieta na brzegu jeziora. W letniej sukience. Bez butów. Jej stopy dotykały wody. Ciemne pukle włosów okalały twarz. Uśmiechała się.

Dopiero teraz uważnie się jej przyjrzałam.

Wstrzymałam oddech po raz drugi.

Sara Rawicz wydała mi się znajoma. Była do kogoś podobna. Kogoś mi przypominała.

– *Who are you?* – John zapytał ponownie.

Kim jesteś? Kim jesteś? Kim jesteś?

– Dobrze pytanie – odbiło się echem od ścian.

Nagle zrobiło mi się gorąco. Odeszłam od ekranu. Otworzyłam szeroko okno.

Drzewo szumiało drobnymi liśćmi, na gałęzi siedział ptak, duży gołąb, i patrzył wprost na mnie, a jego pióra lśniły bielą tak mocno, że musiałam zmrużyć oczy. Ten



sam? Niemożliwe...

*Nie jest prawdziwy i to wszystko nie dzieje się naprawdę, myślałam.*

Podeszłam do lustra na środkowej ścianie hotelowego pokoju. Poczułam się jak wysadzona na inny, nierzeczywisty ład.

Już wiedziałam, do kogo jest podobna Sara Rawicz.

Jak to możliwe? Jak to w ogóle jest możliwe?

Dziewczyna ze zdjęcia, które przysłał John Williams, miała moją twarz.

## OD AUTORKI

Opowieść o ucieczce z Auschwitz jest inspirowana prawdziwymi wydarzeniami i historią pary, która w 1944 roku uciekła z obozu zagłady. Opowieść ta została opublikowana w polskiej edycji „Marie Claire”.

# Przypisy

1. Czarny Łoś (1863–1950) – szaman Siuksów Oglala, jego losy i nauki zostały opisane przez Johna G. Neihardta w książce *Black Elk Speaks* (wyd. polskie *Czarny Łoś. Opowieści indiańskiego szamana*, Zysk i S-ka, Poznań 1994). [\[wróć\]](#)
2. Oglala – Indianie północnoamerykańscy, plemię ludu Lakotów, wraz z innymi ludami tworzyli tzw. Wielki Naród Siuksów. [\[wróć\]](#)
3. Naprzód! [\[wróć\]](#)
4. Ręce do góry! [\[wróć\]](#)
5. Wychodź! Wychodź! [\[wróć\]](#)
6. Wszyscy wychodź! Dalej! [\[wróć\]](#)
7. Naprzód! Szybciej! [\[wróć\]](#)
8. Postać prawdziwa. Josef Mengele, ur. 16 marca 1911 roku, doktor medycyny i antropologii, Hauptsturmführer SS, pełnił funkcję lekarza obozowego w Auschwitz-Birkenau. Prowadził selekcje transportów, skazywał słabych, niezdolnych do pracy i chorych więźniów na śmierć przez rozstrzelanie, zastrzyk z trucizny lub w komorach gazowych, uważając, że nie ma sensu ich leczyć. Przeprowadzał na więźniach, także na dzieciach, nieludzkie eksperymenty pseudomedyczne. Uciekł z Auschwitz w mundurze zwykłego żołnierza dziesięć dni przed wyzwoleniem obozu. W 1949 roku dzięki pomocy jednego z austriackich biskupów przedostał się do Argentyny. Nigdy nie stanął przed sądem, choć przez cały czas był poszukiwany, a za pomoc w jego schwytaniu wyznaczono nagrodę w wysokości dziesięciu milionów marek. Zmarł w Brazylii 7 lutego 1979 roku, pochowano go pod nazwiskiem Wolfgang Gerhard. Przeprowadzone w 1992 roku badania DNA potwierdziły tożsamość Josefa Mengelego. [\[wróć\]](#)
9. Szybciej, szybciej! [\[wróć\]](#)
10. Na co czekasz? [\[wróć\]](#)
11. A ty? [\[wróć\]](#)
12. Maly Zimetbaum i Edward Galiński 24 czerwca 1944 roku uciekli z obozu w Auschwitz. Zostali pojmani przez hitlerowców. Byli torturowani i zostali poddani publicznej egzekucji. W Muzeum Auschwitz jest przechowywana pamiątka, którą przekazał w 1968 r. Wiesław Kielar. Są to dwa pukle włosów zawinięte w papier. Na jego brzegu ołówkiem Galiński napisał: „Mally Zimetbaum 19880, Edward Galiński 531”. [\[wróć\]](#)
13. Naprzód! Szybciej! Naprzód! [\[wróć\]](#)
14. Stój! [\[wróć\]](#)
15. Wstawaj! [\[wróć\]](#)
16. Prosto! [\[wróć\]](#)
17. Jest panu zimno? [\[wróć\]](#)
18. Nie... Ja... Jestem chory. [\[wróć\]](#)

19. Postać prawdziwa. Maria Mandl (lub Mandel), ur. 10 stycznia 1912 roku; nadzorczyni kobiecej służby pomocniczej SS w niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych, kierowniczka obozu dla kobiet Auschwitz-Birkenau w Brzezince. Uznana za zbrodniarkę wojenną i osądzona w pierwszym procesie oświęcimskim 24 listopada – 22 grudnia w Krakowie, skazana na karę śmierci przez powieszenie; wyrok wykonano 24 stycznia 1948 roku. [\[wróć\]](#)
20. Postać prawdziwa. Irma Grese, ur. 7 października 1923 roku; członkini personelu pomocniczego SS i obozowej załogi SS, nadzorczyni w niemieckich nazistowskich obozach koncentracyjnych: Ravensbrück, Auschwitz-Birkenau (zastępczyni głównej nadzorczyni obozu dla kobiet w Brzezince), Bergen-Belsen (kierowniczka obozowej służby pracy). Uznana za zbrodniarkę wojenną i osądzona w procesie Bergen-Belsen 17 września–17 listopada 1945 roku w Lüneburgu, skazana na karę śmierci przez powieszenie; wyrok wykonano 13 grudnia 1945 roku. [\[wróć\]](#)
21. Czego pan sobie życzy, panie Rottenführer? [\[wróć\]](#)
22. Jestem z wydziału politycznego. [\[wróć\]](#)
23. Ładne perfumy. [\[wróć\]](#)
24. Nadzorczyni [\[wróć\]](#)
25. To jest ta Rawicz. [\[wróć\]](#)
26. Wróci tu pan, panie Rottenführer? [\[wróć\]](#)